

VIRGINIA FEITO

Pani March

przełożył
Tomasz
Wyżyński



VIRGINIA FEITO

Pani March

przełożył Tomasz Wyżyński



Tytuł oryginału: *MRS. MARCH*

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Maciej Korbasiński, Marta Stochmiałek

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcie na okładce: © Tom Kelley Archive/Retrofile RF/Getty Images

Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © 2021 by Virginia Feito

By arrangement with the Proprietor. All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2023

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN: 978-83-8252-046-0

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer.

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku

[JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Cytat

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI
XXII
XXIII
XXIV
XXV
XXVI
XXVII
XXVIII
XXIX
XXX
XXXI
XXXII
XXXIII
XXXIV
XXXV
XXXVI
XXXVII
XXXVIII
XXXIX
XL

Podziękowania

*Dla moich rodziców,
państwa Feito*

*Plotkarze ściszyli głosy,
By domysł zmienił się w prawdę.*

Dylan Thomas, *Plotkarze*,
przeł. Tomasz Wyżyński

I

George March wydał kolejną powieść.

Był to duży tom, na okładce znajdowała się reprodukcja starego holenderskiego malowidła przedstawiającego podręczną skromnie dotykającą szyi. Pani March minęła imponującą piramidę egzemplarzy w twardej oprawie na wystawie jednej z księgarń w sąsiedztwie. Książka, wkrótce mająca zostać uznana za opus magnum George'a Marcha, pojawiała się już na listach bestsellerów i w klubach książki – pani March na razie o tym nie wiedziała – sprzedawała się nawet w rzadziej uczęszczanych księgarniach i entuzjastycznie polecali ją sobie przyjaciele. „Czytali państwo nową książkę George'a Marcha?” stało się modnym sposobem nawiązania rozmowy na przyjęciach.

Szła do swojej ulubionej cukierni z francuskimi wypiekami – ślicznego małego lokalu z czerwoną markizą i białą ławką na zewnątrz. Dzień był chłodny, ale nie lodowato zimny; pani March spokojnie podziwiała bezlistne drzewa rosnące wzdłuż ulicy, liliowe gwiazdy betlejemskie ozdabiające wystawy sklepowe, ludzi widocznych w oknach domów.

Kiedy dotarła do cukierni, zerknęła na swoje odbicie w szklanych drzwiach, po czym otworzyła je i weszła do środka. W górze zadźwięczał blaszany dzwoneczek, oznajmiając jej przybycie. Natychmiast poczuła ciepłe oddechy klientów w lepkich od potu ubraniach; z kuchni, gdzie pieczono ciastka, nadpływały fale gorąca.

Przed ladą ustawiła się długa kolejka, wijąca się wokół nielicznych stolików zajętych przez pary i grupki biznesmenów, którzy pili kawę lub spożywali śniadanie, nie zwracając uwagi na hałaśliwe rozmowy sąsiadów.

Serce pani March zabiło mocniej. Przed rozmowami z ludźmi zawsze odczuwała specyficzną ekscytację połączoną z domieszką nieufności. Stanęła w kolejce, uśmiechając się do otaczających ją nieznanym, i zdjęła zamszowe rękawiczki. Prezent od George'a na Boże Narodzenie przed dwoma laty. Miały nietypowy odcień: jasnozielony, podobny do listków mięty. Nigdy nie wybrałaby takiego koloru, nie wierzyłaby, że jest jej w nim do twarzy, ale czuła dreszczyk emocji na myśl, że nieznanymi, widząc ją w zielonych rękawiczkach, uważają ją za beztroską, pewną siebie kobietę, która wybrała taką odważną barwę.

George kupił rękawiczki w ekskluzywnym domu towarowym sieci Bloomingdale's, co zawsze jej imponowało. Wyobrażała sobie George'a w stoisku z galanterią, przekomarzającego się z przymilną ekspedientką, w ogóle niezaambarasowanego tym, że robi zakupy w dziale z damską odzieżą. Kiedyś próbowała kupić w Bloomingdale's trochę bielizny. Tamtego lata było gorąco i parno: halka lepiała się do pleców, a sandały do chodnika. Wydawało się, że nawet ulice się pocą.

W środku dnia Bloomingdale's odwiedzały głównie zamożne panie domu. Leniwie podchodziły do stojaków z ubraniami, z ironicznymi uśmiechami na ustach pokrytych szminką o barwie pastelowego różu. Wyglądały, jakby wstąpiły do sklepu przypadkowo, niemal wbrew własnej woli, lecz w końcu postanowiły przymierzyć kilka ubrań i może coś kupić. Pani March czuła po

południu większy lęk niż wieczorem, kiedy w marketach pojawiały się robotnice oblegające półki sklepowe – szybko przesuwały wieszaki i nie zwracały sobie głowy podnoszeniem sukienek, które spadły na podłogę. Nie miały ani krzty wdzięku, ani poczucia godności.

Tego ranka w Bloomingdale's panią March wprowadzono do dużej przebieralni o różowych ścianach. W rogu stała wielka kanapa z aksamitnym obiciem, a obok telefon, którym mogła wezwać ekspedientkę. Wyobrażała sobie, że młoda kobieta chichocze i szepce za drzwiami. Wyposażenie pokoju i ściany pomalowane na naiwny, cukierkowy róż kojarzyły się z piętnastolatką żującą gumę balonową. Stanik, który wybrała, kołysał się prowokacyjnie na wieszaku na drzwiach przebieralni, miękki, jasny, przyjemnie pachnący bitą śmietaną. Przycisnęła koronki do nosa i powąchała, niepewnie dotknęła bluzki, ale nie mogła się zdobyć na zdjęcie biustonosza i przymierzenie stanika.

Skończyło się na tym, że kupiła bieliznę w niewielkim śródmiejskim sklepiku prowadzonym przez kulejącą kobietę pokrytą brodawkami, która trafnie odgadła właściwy rozmiar biustonosza, popatrzawszy na ubraną panią March. Podobało jej się to, że sprzedawczyni zachowuje się przymilnie, komplementuje jej sylwetkę i – co sprawiło pani March największą przyjemność – krytykuje inne klientki, głośno wygłaszając pełne zawodu uwagi o ich figurach. Kobiety obecne w sklepie spoglądały z wyraźną zazdrością na kosztowny strój pani March. Nigdy więcej nie poszła do Bloomingdale's.

Teraz, stojąc w kolejce w cukierni, spojrzała na trzymane w dłoni zamszowe rękawiczki, a później paznokcie. Z przerażeniem

zauważyła, że są suche i popękane. Znowu wciągnęła rękawiczki, a kiedy uniosła wzrok, spostrzegła, że ktoś stanął tuż przed nią. Uznała, że nieznajoma się pomyliła, i postanowiła ustalić, czy po prostu chce pozdrowić kogoś stojącego w kolejce – ale nie, w dalszym ciągu stała przed nią w milczeniu. Pani March z niepokojem zastanawiała się, czy się do niej odezwać. Wpychanie się do kolejki jest dość niegrzeczne, jeśli taka była intencja kobiety, ale może nie? Nic nie powiedziała i przygryzła zębami policzek – nałogowy zwyczaj odziedziczony po matce. Kobieta zapłaciła i odeszła pod kasy, po czym przysła kolej na panią March.

Uśmiechnęła się zza kontuaru do Patricii, właścicielki cukierni, kobiety o bujnych włosach i rumianych policzkach. Lubiła Patricię, przywodzącą na myśl bohaterkę powieści Dickensa, tęgą, dobroduszną szynkarę o niewyparzonym języku opiekującą się grupką obdartych sierot.

– Ach, nasza największa elegantka! – odezwała się Patricia na widok pani March, która rozpromieniła się i rozejrzała po sklepie, by sprawdzić, czy ktoś słyszał słowa właścicielki. – To co zwykle, kochanie?

– Tak, ciemny chleb z oliwkami – odpowiedziała pani March. – Tym razem proszę też o dwa pudełka makaroników. Te większe.

Patricia krzątała się za ladą. Szukała zamówionych towarów, jej bujne loki kołysały się w obie strony. Pani March wyjęła portmonetkę, w dalszym ciągu uśmiechając się z rozmarzeniem z powodu komplementu Patricii, i pogładziła czubkami palców ostre guzki na strusiej skórze.

– Czytałam powieść pani męża – powiedziała Patricia, po czym zniknęła na chwilę za kontuarem. – Kupiłam ją dwa dni temu i już

prawie skończyłam. Nie mogłam się oderwać. Jest fantastyczna! Naprawdę fantastyczna!

Pani March przysunęła się bliżej i oparła o szklaną gablotę z sernikami i muffinkami różnych rodzajów. W cukierni panował gwar i chciała lepiej słyszeć słowa Patricii.

– Och, bardzo się cieszę – odpowiedziała, zaskoczona tematem rozmowy. – Jestem pewna, że George też będzie zadowolony.

– Wczoraj wieczorem wspomniałam siostrze, że znam żonę autora i że musi być strasznie dumna.

– Cóż, napisał wcześniej tyle książek...

– Ale po raz pierwszy to pani jest pierwowzorem głównej bohaterki, prawda?

Pani March zdrętwiała, ściskając w ręku portmonetkę. Jej rysy stwardniały, poczuła ściskanie w żołądku i miała wrażenie, że za chwilę pobiegnie do toalety. Patricia niczego nie zauważyła, postawiła zamówione artykuły na ladzie i zajęła się sumowaniem rachunku.

– Ja... – zaczęła pani March, czując ukłucie w piersi. – Co masz na myśli?

– No cóż... główną bohaterkę. – Patricia się uśmiechnęła.

Pani March zamrugła z otwartymi ustami, nie mogąc wykrztusić słowa. Miała wrażenie, że jej myśli ugrzęzły w smole, że nie może ich oderwać od kości czaszki.

Zapadła chwila milczenia. Patricia zmarszczyła brwi.

– Oczywiście mogę się mylić, ale... jesteście przecież takie podobne. Tak mi się wydawało... Wyobrażałam sobie panią w czasie lektury. Zresztą sama nie wiem...

– Ale... czy główna bohaterka nie jest... – Pani March pochyliła się i szepnęła: – Nie jest... dziwką? – Patricia roześmiała się dobrodusznie. – I do tego nikt nie chce z nią sypiać? – dodała pani March.

– Tak, oczywiście, ale to jeden z sekretów jej uroku. – Uśmiech Patricii przybladł, gdy zobaczyła minę pani March. – Tak czy inaczej, nie o to chodzi... Jej sposób mówienia, manieryzmy, a nawet styl ubierania się...

Pani March zerknęła na swoje długie futro, nogi w pończochach i lśniące skórzane półbuty z chwostami na noskach. Później spojrzała na Patricię.

– Przecież to okropna baba – powiedziała. – Brzydka i głupia. Nigdy nie chciałabym być kimś takim.

Zabrzmiało to bardziej emocjonalnie, niż zamierzała, i na tęgiej twarzy Patricii pojawił się wyraz zdziwienia.

– Och, no cóż... Po prostu pomyślałam... – Zmarszczyła brwi, pokręciła głową i skrzywiła się głupawo. Pani March czuła do niej pogardę. – Jestem pewna, że się pomyliłam. Rzadko czytam książki, nie znam się na literaturze – uśmiechnęła się promiennie, jakby sprawa była załatwiona. – Czy to wszystko, pani March?

Pani March przełknęła ślinę, czując mdłości, i popatrzyła na brązowe papierowe torebki leżące na kontuarze, w których znajdowały się chleb z oliwkami, muffinki i makaroniki zamówione na przyjęcie jutro wieczorem. Miało to być domowe, urządzone ze smakiem spotkanie najbliższych przyjaciół George'a (przynajmniej tych najważniejszych), by uczcić premierę ostatniej powieści. Odsunęła się od lady, patrząc na rękawiczki trzymane w brzydkich dłoniach, zaskoczona, że znowu je zdjęła.

– Chyba... chyba czegoś zapomniałam – powiedziała, cofając się o krok. Kiedy znowu znalazła się w bezpiecznym miejscu, hałas zmienił się w konspiracyjne szepty. Odwróciła się, by zidentyfikować winowajców. Zauważyła uśmiechniętą kobietę siedzącą przy jednym ze stolików i powiedziała do Patricii: – Przepraszam, muszę sprawdzić, czy...

Zostawiła torby na ladzie i poszła do wyjścia wzdłuż zakręconej kolejki. Słyszała pomruki klientów cukierni, czuła na skórze gorące, cuchnące oddechy i nacisk ciał. Desperacko przepchnęła się przez drzwi i wyszła na chodnik. Lodowate powietrze rozdarło jej płuca i przez chwilę nie mogła oddychać. Oparła się o pobliskie drzewo. Z tyłu rozległ się dźwięk dzwonka w drzwiach sklepu. Przeszła na drugą stronę ulicy. Nie oglądała się za siebie, na wypadek gdyby Patricia pobiegła za nią. Nie chciała patrzeć do tyłu, bo mógł to być ktoś inny.

II

Pani March szła szybko ulicą, bez określonego celu. Nie podążała normalną trasą – bez codziennego chleba z oliwek i muffinek jedzonych na śniadanie nic nie wydawało się zwyczajne. Przypuszczała, że makaroniki da się czymś zastąpić, bo do przyjęcia zostało sporo czasu. Albo może później posłać po nie Marthę. Patricia i Martha nigdy się nie spotkały, choć Patricia mogłaby coś podejrzewać, gdyby Martha poprosiła o te same artykuły. „Nie mogę wysłać Marthy, to zbyt ryzykowne” – powiedziała na głos pani March i mijający ją mężczyzna lekko się zachnął.

Uważała za dziwne, że nigdy więcej nie zobaczy Patricii, która przez wiele lat stanowiła stały element jej życia. Kiedy tamtego ranka wciągała rajstopy i wybrała czerwonobrazową spódnicę pasującą do marszczzonej kremowej bluzki, nie wyobrażała sobie, że ujrzy Patricię po raz ostatni. Wybuchłaby śmiechem, gdyby ktoś to zasugerował. Patricia na pewno w końcu zrozumie, że było to ich ostatnie spotkanie, i przeanalizuje szczegóły – co pani March miała na sobie i co mówiła – a potem ona również będzie się dziwić, że wydarzyło się coś tak kompletnie niezrozumiałego.

Może sytuacja nie jest aż tak dramatyczna, ale Patricia nie powinna pleść trzy po trzy. Niestety, okazała się jedyną osobą, która ośmieliła się zasugerować podobieństwo między panią March a tą kobietą. „Postacią literacką” – poprawiła się. Johanna nie ma nic

wspólnego z rzeczywistością. Pierwowzorem może być prawdziwa osoba... ale przecież George nigdy... prawda?

Z rozpaczą skręciła w ruchliwą ulicę rojącą się od przechodniów. Wokół trąbiły samochody. Z billboardu uśmiechała się do niej porozumiewawczo kobieta, unosiła brwi jak klientka cukierni. NIE MIAŁA POJĘCIA – brzmiał podpis i pani March zatrzymała się tak nagle, że wpadł na nią jakiś mężczyzna. Wysłuchiwała wylewnych przeprosin, po czym doszła do wniosku, że powinna usiąść, i weszła do najbliższego lokalu, ciasnej kawiarenki.

Wydawała się obskurna i niezbyt przytulna. Farba na suficie się łuszczyła, stoły były pokryte spiralnymi plamami, jakby wycierano je w pośpiechu, porysowana klamka toalety wyglądała, jak gdyby ktoś próbował się do niej włamać. Zauważyła dwóch klientów, niezbyt ciekawe typy. Snuła się koło wejścia, czekając na wolne miejsce, choć wiedziała, że w lokalach tego rodzaju trzeba się zwrócić do kelnera. Zdjęła jasnozielone rękawiczki w kolorze listków mięty, a kiedy na nie spojrzała, natychmiast przypomniały jej się niedawne nieprzyjemne wydarzenia. Słowa Patricii, powieść George'a. Johanna.

Wstydziła się do tego przyznać, ale nawet nie przeczytała książki. W ogóle jej nie znała. Przed rokiem przejrzała jedną z wczesnych wersji. Wiele lat wcześniej czytywała w dawnym mieszkaniu rękopisy George'a, siedząc bosko w wiklinowym fotelu i ssąc plasterki pomarańczy. Tamte czasy odeszły w przeszłość, zniknęły w szarej, skażonej terażniejszości. Oczywiście miała ogólne pojęcie o powieści – wiedziała, że główna bohaterka to gruba, żalosna prostytutka – ale się nad tym nie zastanawiała. Uważała, że Johanna jest odrażająca, a opisy niesmaczne, zbyt obrazowe: nie chciała dalej czytać.

„Manieryzmy” – mruknęła pod nosem. Znowu popatrzyła na swoją dłoń. Zastanawiała się, czy Johanna też miała popękane paznokcie.

– Dzień dobry pani. Jest pani sama?

Popatrzyła na kelnera w czarnym fartuchu, który wyglądał dziwnie ponuro w tej kawiarence.

– Nie, nie jestem sama...

– A zatem stolik dla dwóch osób?

– No cóż, nie jestem pewna. Przyjaciółka, z którą mam się spotkać, może nie przyjść. Może ten? – Wskazała stolik pod ścianą w pobliżu toalety.

– Naturalnie. Czy woli pani poczekać na przyjaciółkę, czy chce pani od razu coś zamówić?

Pani March miała wrażenie, że widzi na twarzy kelnera zadowolony uśmiech człowieka sprawdzającego bluff.

– Zaczekam – odpowiedziała. – Złożymy zamówienie razem.

– Tak, madame.

Pani March przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy nazwano ją „madame”. Była nieprzygotowana i wstrząsnęło nią to niczym policzek. Tuż przed swoimi trzydziestymi urodzinami pojechała z George’em do Paryża na cykl spotkań autorskich. Została rano w apartamencie hotelowym, a George podpisywał książki. Zamówiła dekadencje śniadanie: rogaliki, filiżankę czekolady oraz francuskie naleśniki z masłem i cukrem. Kiedy kelner wtoczył wózek, przyjęła go w luźnym szlafroku, z włosami ciągle wilgotnymi po kąpieli, z rozmazanym makijażem. Martwiła się, że wygląda zbyt prowokacyjnie, zbyt zmysłowo, z wargami nieco nabrzmiałymi po wycieraniu śladów wina z poprzedniego wieczoru. Podziękowała kelnerowi (chudemu młodemu człowiekowi, zaledwie

dwudziestoletniemu, z opaloną szyją) i dała mu napiwek. „Dziękuję, madame” – powiedział i wyszedł z pokoju. Tak po prostu. W ogóle nie wydała mu się atrakcyjna. Prawdopodobnie uznałby jej nagie ciało za odrażające. Choć nie była jeszcze na tyle stara, by być jego matką, musiał ją za taką uważać.

Kelner w czarnym fartuchu kręcił się w pewnej odległości, z roztargnieniem gładząc strupek na nadgarstku.

– Czym mogę pani służyć, madame?

Kiedy zamówiła dwie kawy – espresso dla siebie i latte dla wyobrazonego gościa – odetchnęła głęboko i zaczęła się zastanawiać nad książką George’a. Johanna. Pamiętała, że główna bohaterka miała na imię Johanna. Szepnęła to imię. Nigdy wcześniej o tym nie myślała, nie zastanawiała się, dlaczego wybrał to imię. Nigdy w życiu nie poznała żadnej Johanny. Ciekawe, czy George poznał. Miała nadzieję, że tak, bo dowodziłoby to, że ta monstrualnie karykaturalna postać jest portretem kogoś zupełnie innego.

Trzymała w ręku filiżankę espresso i przypomniała sobie – czując współczucie dla siebie – jak wspierała George’a na początku jego kariery: słuchała go, zawsze przyznawała mu rację, nigdy się nie skarżyła. George wiele razy powtarzał przeproszająco, że pisanie nie daje pieniędzy; to samo mówił jego ojciec (mniej przeproszająco). W owych czasach George zabierał ją wieczorami do swojej ulubionej taniej włoskiej restauracji, w której kelnerzy recytowali z pamięci menu – zawsze inne, zawsze nowe. Siedzieli przy stoliku bez obrusa, paliła się między nimi świeca i opowiadał jej swój najnowszy pomysł na fabułę, jakby on także miał każdego wieczoru nowe menu. Zdumiewało ją, że ten szacowny wykładowca uniwersytecki szczerze interesuje się jej opiniami. Była grzeczna, nigdy nie zaprzeczała,

uśmiechała się, kiwała głową i mówiła komplementy. Wszystko dla niego, dla George'a.

Czym zasłużyła na takie upokorzenie? Teraz cały świat będzie patrzeć na nią inaczej. George dobrze ją zna – może przyjął, że nigdy nie przeczyta powieści? Ryzykowne założenie. Nie, pomyślała z pogardą, wcale dobrze jej nie zna. Johanna – w tej chwili wyraźnie ją sobie wyobrażała, siedzącą w zatłoczonej kafejce, spoconą, z poczerniałymi zębami, w poplamionej sukience – w ogóle nie przypomina pani March. Johanna prowadziła nędzne, groteskowe życie, miała brodawki na piersiach. Pani March wyobraziła sobie, że odwiedza wszystkie księgarnie w Nowym Jorku, wykupuje cały nakład powieści i pali go na ogromnym ognisku w grudniową noc – szalony pomysł, oczywiście.

Bębniła palcami w blat stołu, zerknęła niewidzącym wzrokiem na zegarek i w końcu, nie mogąc dłużej znieść lęku, postanowiła iść do domu i przeczytać książkę. George miał w gabinecie kilkanaście egzemplarzy, a wróci dopiero wieczorem. Zapłaciła za kawę, przepaszając za nieobecność przyjaciółki, Johanny, której nietknięta latte stygła na stole. Kelner w czarnym fartuchu nie zwracał na nią uwagi, gdy wychodziła na zimną ulicę; rajstopy zmarszczyły jej się na kostkach, jakby reagując na chłód.

W drodze do domu pani March minęła sklep z odzieżą, w którym dwie ekspedientki rozbierały manekina na wystawie. Kobiety gwałtownie szarpały ubranie – jedna zdjęła kapelusz, a druga zaczęła ściągać sukienkę, obnażając lśniącą pierś bez sutka. Manekin miał wyraziste błękitne oczy o długich czarnych rzęsach i pani March musiała odwrócić wzrok.

III

Państwo Marchowie mieszkali w dość ładnym apartamencie w dzielnicy Upper East Side, z zieloną markizą nad wejściem. Znajdował się na niej numer domu – tysiąc czterdzieści dziewięć – napisany kursywą: każde słowo zaczynało się od dużej litery jak w tytule książki albo filmu (oczywiście po angielsku).

Budynek, o niewielkich kwadratowych oknach z małymi kwadratowymi klimatyzatorami, był w ciągu dnia pilnowany przez umundurowanego, służbistego portiera, który pozdrowił panią March, gdy weszła do holu. „Jest uprzejmy, ale mną gardzi” – pomyślała. Zawsze to podejrzewała, choć przypuszczała, że traktuje w ten sam sposób wszystkich pozostałych lokatorów. Jak mógł nimi nie gardzić, skoro musiał im służyć i przystosowywać się do ich zwyczajów? Żyli w luksusie i nie raczyli nawet na niego spojrzeć. A może inni sąsiedzi próbowali czegoś się o nim dowiedzieć? Może traktuje ją oziębło, bo nigdy nie interesowała się jego życiem prywatnym, nigdy nie zauważyła, że nosi obrączkę, nie zwracała uwagi, czy ozdabia recepcję dziecięcymi rysunkami? Musi ją uważać za nieciekawą, godną pogardy, zwłaszcza w porównaniu z innymi mieszkankami budynku – emerytowanymi tancerkami baletowymi, byłymi modelkami i dziedziczkami wielkich fortun (kilkoma). Przeszła przez hol, jak co roku ozdobiony z okazji Bożego Narodzenia. W rogu, w pobliżu wejścia stała choinka udekorowana gwiazdami i cukierkami w kształcie lasek, bez motywów religijnych

(żadnego chóru aniołów ani wiejskiej szopki); nad lustrem wisiały jodłowe wieńce z plastiku. Pani March popatrzyła na swoje odbicie i jak zwykle uznała, że wygląda brzydko; próbowała poprawić włosy.

Kiedy wchodziła do windy – wspaniałej eleganckiej kabiny – obejrzała się, czy ktoś chce również wejść. Często czuła się niezręcznie w czasie spotkań z sąsiadami. Nie miała dziś ochoty wygłaszać banalnych uwag na temat sytuacji w kraju, stanu budynku, a szczególnie rozmawiać o pogodzie (największy horror).

W lustrach w windzie odbijało się kilka pań March – wszystkie patrzyły na nią z zaniepokojeniem. Odwróciła wzrok i spojrzała na podświetlane guziki z numerami pięter. W końcu winda zatrzymała się na piątym. Pani March zamknęła oczy, westchnęła i próbowała wziąć się w garść.

Kiedy dotarła do drzwi apartamentu numer sześćset sześć, była już trochę spokojniejsza. Zawsze uważała, że to piękny, estetyczny numer. Po takim złym dniu czułaby się gorzej, gdyby wróciła do mieszkania o numerze sto dwadzieścia trzy albo innym, równie niepokojącym.

Otworzyła drzwi, poczuła prąd świeżego powietrza – pewnie Martha wietrzyła salon – i ruszyła pośpiesznie korytarzem, za wszelką cenę chcąc uniknąć spotkania ze służącą. Weszła do swojej sypialni, w której usłyszała za ścianą szybki jazz dobiegający z mieszkania sąsiadów. Ściany były haniebnie cienkie jak na taki luksusowy apartament. Pani March zaczęła się zastanawiać, nie po raz pierwszy, dlaczego nie zajęli się tym w czasie remontu po zakupie apartamentu. Prawdopodobnie nie zwracała wtedy uwagi na hałasy.

Zdjęła płaszcz i rękawiczki, jakby uwalniała się ze zbroi, po czym ściągnęła buty i wyszła do holu, lekko stąpając po drewnianej podłodze, która tak często zdradzała jej obecność. Stała nieruchomo przez kilka sekund, oświetlona ciepłymi promieniami słońca wpadającymi przez otwarte drzwi sypialni. Pozostałe drzwi w korytarzu były zamknięte. Podeszła na palcach do drzwi gabinetu George'a, wślizgnęła się do środka i cicho zamknęła je za sobą, słysząc wołanie dobiegające z salonu – prawdopodobnie był to głos Marthy.

Niemal spodziewała się zobaczyć publiczność nagradzającą brawami jej popis żalosnej głupoty, lecz zobaczyła tylko ciemnoczerwoną tapetę z chińskimi scenami, półki pełne książek i abstrakcyjne obrazy uchodzące za dzieła sztuki. Pani March w sekrecie przypuszczała, że George, podobnie jak ona, kompletnie nie rozumie sztuki współczesnej, choć oboje udawali jej entuzjastów. Pod jedną ze ścian stała ogromna skórzana kanapa typu chesterfield, pokryta okruszkami, z dziurkami wypalonymi przez popiół z cygar. George czasem sypiał w gabinecie, gdy intensywnie pracował nad nową książką.

Okno wychodziło na ceglany mur. George nie lubił, gdy coś rozpraszało jego uwagę w trakcie pisania, lecz nawet ten dość ponury widok musiał mu się wydawać rozpraszający, ponieważ biurko było zwrócone w stronę drzwi.

Pani March podeszła do biurka, prawie czując wyrzuty sumienia. Nigdy nie ośmielała się wchodzić do gabinetu George'a pod jego nieobecność, a cóż dopiero zakradać się w sekrecie. Matka nazywała takie zachowania buszowaniem w cudzych rzeczach.

Jak niewidoma przesunęła palcami po blacie, dotykając piór z monogramami. Uniosła wieczko porcelanowego słoja i obejrzała jego zawartość (cygara i pudełka zapalek). Zauważyła, że z notesu wystaje róg wycinka prasowego. Wyjęła go delikatnie. Z czarno-białej fotografii, prawdopodobnie pochodzącej z kroniki szkolnej, uśmiechała się do pani March piękna młoda dziewczyna. Miała długie ciemne włosy i policzki z dołeczkami, uśmiechała się naturalnie, jakby zdjęcie nie było upozowane. Nagłówek brzmiał: ZAGINIONA SYLVIA GIBBLER W DALSZYM CIĄGU NIE ZOSTAŁA ODNALEZIONA. PRAWDOPODOBNIENIE NIE ŻYJE. Uznała za dziwne, że George przechowuje wycinek dotyczący takiej makabrycznej sprawy. Poczowała ściskanie w żołądku. Niewyraźnie pamiętała, że krajowe media opisywały zaginięcie Sylvii Gibbler, która zniknęła ze swojego domu w Maine. Poszukiwania trwały wiele tygodni i nie dały żadnych rezultatów. „Pewnie zbiera materiały do książki” – pomyślała, wsuwając wycinek z powrotem do notesu.

W końcu zauważyła to, czego szukała – spostrzegła na skraju blatu jaskrawe, barokowe kolory okładki najnowszej powieści George'a. Po lewej stronie biurka stał na podłodze cały karton egzemplarzy autorskich.

Wzięła książkę. Wydała jej się ciężka, jej palce pozostawiały tłuste ślady na lśniącej powierzchni okładki. Dotknięcie wytrąciło ją z równowagi. Okładka była dziwnie gładka, jak skóra węża, którego musiała kiedyś wziąć do ręki w czasie szkolnych zajęć z biologii. Nerwowo otworzyła powieść, szukając dedykacji. Zerknęła na stronę tytułową i początek pierwszego rozdziału, potem znowu na stronę tytułową. Niczego nie znalazła. Było to dziwne, ponieważ George zawsze zaczynał powieści od dedykacji. W jednej z dawnych książek

uhonorował również panią March. Po jej opublikowaniu poprosiła, by umieszczał autografy dla przyjaciół właśnie na tej stronie, bo chciała zwrócić na siebie uwagę.

Przerzuciła kilka kartek i z frustracją pogodziła się z myślą, że tym razem nie ma dedykacji. Otworzyła powieść na przypadkowej stronie; grzbiet zatrzeszczał. Czytała szybko, nieuważnie, lecz mimo to docierały do niej słowa, tak piękne i miękkie, że topiły się jak wosk.

Lafirynda z Nantes. Słaba, brzydka, godna pogardy, żalosna kreatura, niekochana, niegodna miłości. Opis Johanny mógł pasować do pani March, ale był tak ogólnikowy, że nie potrafiła ocenić, czy George celowo ją sportretował. Johanna zawsze nosiła futra, a jej szorstkie dłonie były okryte rękawiczkami (pani March przejrzała książkę, szukając wzmianki o ich kolorze – padłaby trupem, gdyby była to barwa listków mięty). Johanna regularnie prasowała i perfumowała halki, choć rzadko ktoś je widywał, bo klienci, płacący z litości, nie chcieli z nią sypiać. W końcu spotkał ją nieunikniony los, skutek biedy i nędzy, śmierć godna włoskiej opery, ropa z jątrzących się ran wsiąkająca w futro z norek...

Coś tak odrażającego opisanego tak pięknie. Pomyślała, że zastawił na nią pułapkę, że chce, by przeczytała książkę i stopniowo utożsamiła się z odrażającą bohaterką. „Cały świat będzie wiedział, że to ty. Przejrzą cię na wylot, poznają wszystkie twoje grzeszki”.

Pod wpływem niepokojącej intuicji przejrzała grubo tom i dotarła do podziękowań – wydawca, agent literacki, profesorowie specjalizujący się w historii Francji, rodzice („zawsze w naszych myślach i modlitwach”) – aż dotarła do ostatniego zdania: „W końcu

przekazuję wyrazy wdzięczności swojej żonie, nieustannemu źródłu inspiracji”.

Chwyciła się za pierś. Oddychała ciężko, konwulsyjnie i nagle zauważyła, że ciekną jej z oczu łzy. Uniosła książkę, uderzyła nią w biurko, otworzyła na stronie z fotografią autora, wydrapała George’owi oczy, potargała zszyty grzbiet i wyrwała garść stronic – fruwały po pokoju jak ptasie pióra.

Zrozumiała, co zrobiła, dopiero wtedy, gdy ostatnia kartka wylądowała na podłodze. Jęknęła. „O nie” – powiedziała na głos. „O nie, o nie, o nie...” Splotła dłonie i mocno je ścisnęła, jak często w chwilach zdenerwowania. W tej chwili wiedziała już, że Johanna również miała taki nawyk.

Wyjęła z pudła egzemplarz autorski książki i położyła go na biurku, zastępując ten, który zniszczyła. Później podkasła spódnicę i ściągnęła rajstopy, pochylona, niepewnie przestępując z nogi na nogę – włosy opadły jej na twarz, ciekło jej z nosa. Uklękła na podłodze i wepchnęła do rajstop pozostałości zniszczonej książki: wyrwane strony, strzępy papieru, resztki okładki. Związała lśniące rajstopy, tworząc coś w rodzaju worka. Doszła do wniosku, że to jedyny sposób, by przenieść dowody rzeczowe do kosza na śmieci w kuchni (gdzie George nigdy nie zajrzy).

Po raz ostatni zerknęła na gabinet i wyszła równie cicho, jak weszła.

W holu oparła się o ścianę, drżąc na całym ciele. Minęła salon – wzdrygnęła się, słysząc dźwięk przesuwanego fotela – i dotarła do kuchni. Chłodna podłoga pokryta terakotą wydała się rozkosznie bezpieczna.

Kosz na śmieci znajdował się za zasłoną pod zlewem. Pani March z trudem ją odsunęła i umieściła worek wykonany z rajstop w zatłuszczonym pudełku po torcie. Triumfalnie wyszła z kuchni i nagle zauważyła Marthę.

– Ach... – powiedziała służąca, zaskoczona jej widokiem. Dawno temu zawarły niepisaną umowę, że Martha dzierży niepodzielną władzę w kuchni. Kiedy przebywały razem w apartamencie, zawsze starannie się omijały, co czasem wymagało pewnej ekwilibrystyki. Krążyły wokół siebie, przechodziły z pokoju do pokoju, jakby grały w gorące krzesła, nigdy się nie spotykając. Tak przynajmniej zachowywała się pani March.

– Wszystko w porządku, proszę pani?

– O tak – odpowiedziała pani March, lekko zdyszana. – Zastanawiałam się po prostu, czy nie podać dziś na kolację spaghetti. George przepada za spaghetti z kiełbasą.

– Nie mamy wszystkich potrzebnych składników. Spaghetti na kolację... radzę z tego zrezygnować, pani March. Zwłaszcza po wczorajszej zapiekance z kurczaka z warzywami.

Martha, około pięćdziesięcioletnia, miała szerokie ramiona i włosy związane w bolesnie ciasny kok. Lekko piegowata, bez makijażu, z oczami otoczonymi czerwonymi obwódkami, wydawała się anielsko cierpliwa. W gruncie rzeczy pani March trochę się jej bała. Obawiała się, że Martha pragnie zająć jej miejsce jako pani domu, relegując ją do roli sprzątaczk.

– Proponowałabym na dzisiejszy wieczór filety z włócznika atlantyckiego – powiedziała służąca.

– Cóż, może... – odparła pani March. – Ale George naprawdę przepada za spaghetti...

Martha zrobiła krok do przodu. Cóż za tupet!

– Radzę podać spaghetti w przyszłym tygodniu.

Pani March przełknęła ślinę i skinęła głową. Martha uśmiechnęła się poważnie, prawie przepaszająco, i pani March wycofała się z kuchni. Miała nadzieję, że służąca nie zauważyła jej gołych łydek.

IV

Kiedy wieczorem zasiedli do kolacji, pani March obserwowała George'a. Wszedł do jadalni, wpatrując się w czubki swoich butów i drapiąc się po podbródku, pogrążony w myślach. Zesztywniała i czekała, aż na nią spojrzy, by posłać mu przygotowany uśmiech. Nie uniósł oczu, więc odsunęła krzesło i usiadła. Uśmiech zbladł.

Kolację podano w niewielkiej jadalni połączonej z salonem z przeszklonymi drzwiami. W tle brzmiały nokturny Chopina. Stół był bogato zastawiony, zwyczajowo tego nauczyła panią March matka, która często powtarzała, że zdrowe małżeństwo opiera się na wartościach rodzinnych. Po powrocie z pracy mąż zawsze powinien widzieć piękną żonę i wspaniały dom, z którego byłby dumny. To podstawa udanego związku. Matka podkreślała, że jeśli pani March nie potrafi być dobrą gospodynią, powinna zaangażować odpowiednią służącą. Marthę nauczono nakrywać do stołu, każdego dnia i każdego wieczoru stawiała na nim srebrne świeczniki, serwetki z monogramami, ciemny chleb z oliwkami w srebrnym koszyku, masywną karafkę z winem. Na stole leżał haftowany obrus należący niegdyś do babki pani March (stanowiący część jej wyprawy małżeńskiej, z którą matka rozstała się niechętnie, ponieważ córka wychodziła za rozwodnika i do tego brała tylko ślub cywilny).

Piękne nakrycie stanowiło w domu zwyczaj, nawet jeśli pani March sama siadała do stołu, co często się zdarzało. Kiedy George intensywnie pracował nad książką, prawie nic nie jadł, z wyjątkiem kanapek przynoszonych do gabinetu przez Marthę. Wyjeżdżał na wieczory autorskie albo konferencje; spotykał się na wykwintnych kolacjach i lunchach z agentami literackimi albo wydawcami. W takich dniach pani March również puszczała Chopina, korzystała ze srebrnych sztućców i luksusowej porcelany; popijała wino z zabytkowego, ozdobnego kieliszka, obserwowana przez postacie z wiktoriańskich portretów olejnych wiszących na ścianach jadalni.

Państwo Marchowie najczęściej spożywali posiłki w milczeniu. Wydawało się, że cisza uspokaja George'a. Pani March zerknęła kątem oka na męża. Pod konserwatywnym, szarym blezerem uwypuklał się brzuch, brodę pokrywały nierówne kępki włosów. Jadł dość głośno, choć nie otwierał ust. Słyszała chrzęst gryzionych szparagów, widziała, jak porusza winem w ustach, nim je połknie; kiedy rozchyłał wargi, w ich kąciku widać było kropelkę śliny. Wytrącało ją to z równowagi. Poza tym od czasu do czasu głośno, niepokojąco pociągał nosem. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się. Ona również się uśmiechnęła.

– Wszystko gotowe na jutrzejsze przyjęcie? – spytał.

– Hm, tak sędzę. – W głosie pani March zabrzmiała nuta niepewności, jakby nie była zupełnie pewna, czy przygotowania zakończyły się sukcesem. Gdyby coś się nie udało, kompletnie by się załamała. Nonszalancko spytała, nakładając sobie z półmiska nową porcję filetów z miecznika Marthy: – Co z powieścią? Jakies nowiny?

George przełknął kęs jedzenia i otarł usta serwetką. Pani March uznała, że chce się z czegoś zwierzyć.

– Całkiem nieźle – odparł. – To chyba mój największy sukces. Tak przynajmniej mówi Zelda.

Zelda była agentką literacką George'a. Palila jak komin, mówiła ochryplym głosem, nosiła fryzury na boba i używała jasnobrązowych szminek. Uśmiechała się, szczerząc zęby. Pani March wątpiła, czy Zelda, zawsze otoczona swiatą zapracowanych asystentów, kiedykolwiek przeczytała choć jedną powieść George'a. Z pewnością nie od deski do deski.

– Cudownie, kochany – powiedziała. – Czy... – ostrożnie, ostrożnie – ...chciałbyś, żebym ją przeczytała? – Martha jadła kolację w kuchni, szczęk jej sztucców rozlegał się w holu i docierał do jadalni.

George wzruszył ramionami.

– Jak wiesz, uwielbiam twoje komentarze, ale w tej chwili nie mogę nic zmienić, bo książka już się ukazała.

– Masz oczywiście rację. Nie przeczytam jej. Właściwie po co?

– Nie to miałem na myśli.

– Tak, wiem – odparła pani March nieco łagodniejszym tonem. – W końcu ją przeczytam. Kiedy skończę obecną lekturę. Wiesz, że nie znoszę czytać dwóch książek jednocześnie. Nie mogę się skoncentrować na żadnej z nich i wszystko zaczyna się mieszać...

Poczuła dotknięcie i spojrzała na swoją dłoń. George uspokajająco położył na niej rękę.

– Przeczytaj powieść, kiedy będziesz miała ochotę – odezwał się łagodnie.

Uspokoila się trochę. Nie chciała kapitulować, zdawała sobie sprawę, że później będzie ją to męczyło.

– Przeczytałam fragmenty, naprawdę.

– Wiem.

– Jest bardzo... obrazowa.

– Tak, to cecha tamtej epoki. Jak wiesz, prowadziłem długie studia historyczne.

Pani March dobrze wiedziała: wyjazd do Nantes, rozmowy z historykami z Bibliothèque Universitaire, książki przysyłane do domu przez uczonych z całego świata pragnących udzielić pomocy – obserwowała roczne studia męża. Nie zwracała na nie uwagi, bo nie przypuszczała, że George może tak ją zohydzić.

– Prowadziłeś studia nad... ladacznicami?

– Oczywiście. – Kiwnął głową. – Nad całym tłem epoki.

Dalej jadł, nie zwracając na nią uwagi. Pani March głęboko odetchnęła. Może Patricia się pomyliła? Może pierwowzorem lafiryndy z Nantes, żalostnej Johanny, nie jest wcale pani March? „A może – pomyślała z nagłym dreszczem zadowolenia – pierwowzorem jest jego matka?!” Stłumiła radosny chichot.

Po kolacji pożegnali się z Marthą, która czekała przy drzwiach bez fartuszka, z kwadratową oliwkową torebką dyndającą na nadgarstku. Zamknęli za nią drzwi, George poszedł do swojego gabinetu, a pani March do sypialni. Świeża pościel, biała flanelowa koszula nocna i egzemplarz *Rebeki* Daphne du Maurier w twardej oprawie na nocnym stoliku.

Oparła plecy na poduszce i westchnęła z ulgą, którą mylnie brała za zadowolenie. Ostrożnie ujęła powieść czubkami palców, jakby nie chciała jej poplamzić kremem do rąk, ale kiedy próbowała obrócić stronicę, kciuk ześlizgnął się po papierze, rozmazując słowo „tchórzostwo”. Spojrzała ponuro na wysoki stos książek na stoliku George’a. Zawsze zazdrościła mężowi intymnego kontaktu

z książkami: tego, jak ich dotykał, gryzmolił na marginesach, gniótł kartki. Wydawało się, że się z nimi przyjaźni, znajduje w nich coś, czego pani March nie potrafiłaby odnaleźć, choćby nawet z całych sił próbowała.

Z determinacją wróciła do lektury. Po chwili okazało się, że nie jest w stanie się skupić – stale myślała o budzących onieśmienie gościach zaproszonych na przyjęcie i możliwych wpadkach związanych z cateringiem. W końcu zażyła ziołowe tabletki kupione bez recepty przed dwoma tygodniami. Farmaceutka zapewniała, że działają bardzo łagodnie, ale poskutkowały i wkrótce pani March zapadła w głęboki sen. Nawet nie zauważyła, kiedy George w końcu położył się spać – i czy w ogóle wrócił do sypialni.

Marchom nie udało się zaangażować kucharza z modnej restauracji w West Village, który artystycznie łączył tradycje kulinarne wielu regionów świata i szczyił się tym, że należy go rezerwować z dwumiesięcznym wyprzedzeniem (pani March nigdy wcześniej nie korzystała z jego usług), więc wynajęli firmę cateringową. Trzy razy dzwoniła z prośbą o potwierdzenie. Nadzór miała sprawować Martha, znacznie lepiej znająca się na sprawach związanych z prowadzeniem kuchni.

Rankiem w dniu przyjęcia pani March zajęła się salonem, sprawdziła stereo i temperaturę w apartamencie. Ustawiła pod jedną ze ścian rząd krzeseł, na wypadek gdyby George albo jego agent literacki postanowili wygłosić przemówienie do zebranych. Przetoczyła do sypialni telewizor z salonu. Wymieniła żarówkę w poziomej lampie nad oryginalnym obrazem pędzla Edwarda Hoppera i przesunęła choinkę do rogu pomieszczenia, zwracając uwagę, by nie uszkodzić kolorowych łańcuchów i rozkołysanych bombek. Kupili choinkę obok Rockefeller Center, tuż po Święcie Dziękczynienia. George zaniósł ją do domu z pomocą redaktora wydawnictwa. „Po tylu latach ciągle lubi chłopięce zabawy takie jak dźwiganie choinki” – mruknęła pani March. Chętnie ćwiczyła w myślach przyszłe rozmowy, bo dzięki temu czuła się do nich przygotowana: dawało jej to poczucie bezpieczeństwa.

Kiedy ustawiła choinkę obok jednego z okien, w miejscu, gdzie na pewno nikt jej nie potrąci, jej uwagę zwróciła duża oprawiona fotografia na jednej z półek z książkami. Obejrzała ją dopiero wtedy, gdy robotnicy wyszli do kuchni. Było to stare zdjęcie Pauli, córki George'a z pierwszego małżeństwa. Rodzice nazywali ją Paulette, co budziło niesmak pani March.

Zacząła w sekrecie spotykać się z George'em jako dwudziestojednoletnia studentka ostatniego roku. George, w owym czasie trzydziestodwuletni obiecujący pisarz, prowadził na uczelni zajęcia z literatury i creative writing. Nigdy w nich nie uczestniczyła. Poznali się w kolejce w bufecie. George postawił na swojej tacy opakowanie jogurtu i nonszalancko zauważył: „Powściągnij swój apetyt, moja droga!”. Mówił w stronę pani March, która nie zdawała sobie sprawy, że cytuje Dickensa¹, ale roześmiała się z zachwytem, powtórzyła cytat i pokręciła karcąco głową, jakby uwaga George'a wydała jej się niestosowna.

Pamiętała słowa koleżanki z akademika na pierwszym roku: „George March to najprzystojniejszy facet na kampusie”. Ta ocena długo ją frapowała, nim po raz pierwszy go zobaczyła; dodawała jej odwagi, kiedy się poznali. Do dziś wspominała z triumfem słowa koleżanki, traktując je jak coś w rodzaju cennej pamiątki rodzinnej.

George uwodził ją powoli, subtelnie – tak subtelnie, że często się zastanawiała, czy w ogóle ją uwodzi. Pojawiał się w miejscach, gdzie przebywała, ale zawsze na pozór przypadkowo, spontanicznie. Spotykali się przez sześć lat; w tym czasie przestał być obiecującym pisarzem i zmienił się we wschodzącą gwiazdę literatury współczesnej. W końcu w rozczulający sposób poprosił ją o rękę przy jogurcie.

Marzyła o tradycyjnym ślubie w kościele, ale George wziął ślub kościelny z pierwszą żoną, więc skończyło się na ślubie cywilnym, co do dziś wywoływało gniewne uwagi matki (jeśli akurat nie cierpiała na demencję).

Zawarcie związku małżeńskiego z George'em w obecności wszystkich ludzi, którzy uczestniczyli w jego pierwszym ślubie, okazało się groteskowym przeżyciem; można się było tego spodziewać. Słyszeli, jak przysięga innej kobiecie wierność w zdrowiu i w chorobie. Po kilku latach przysięga poszła w niepamięć, z kominka zdjęto fotografie w ramkach... Było nieuniknione, że wartość drugiego małżeństwa zmniejszyła się w ich oczach. Kiedy pani March przysięgała George'owi dozgonną miłość, miała wrażenie, że słyszy szept jednego z gości: „Miejmy nadzieję, że tym razem będzie lepiej”.

Wprowadzili się do nowego apartamentu, założyli wspólny rachunek bankowy i zamieszkali z ośmioletnią córką George'a, Paulą. W miesiącach poprzedzających małżeństwo pani March czuła przerażenie na myśl o spotkaniu z byłą żoną George'a; przygotowywała się psychicznie na awanturę, a przynajmniej ledwo skrywaną niechęć. Okazało się jednak, że ich relacje układają się poprawnie. Dawna pani March zaprosiła przyszłą panią March na kawę; spędziły razem dwie godziny, prowadząc banalną dyskusję na temat edukacji zagranicznej; na przemian ukradkowo zerkały na zegar, aż wreszcie spotkanie się skończyło.

Problemem okazała się córka, co pani March odkryła z rozczarowaniem. Spodziewała się spotkać uległą, mniejszą wersję samej siebie, którą mogłaby ubierać w ażurowe sukienki bez rękawów i kształtować zgodnie ze swoimi upodobaniami. Paula

okazała się zarozumiała, uparta, zbyt ładna. Zadawała impertynenckie pytania („Dlaczego masz takie suche ręce?“, „Dlaczego tata pracuje, a ty nie?“). Zawsze próbowała zwrócić uwagę ojca; kiedy wybuchła burza albo otarła sobie kolano, krzyczała żałośnie: „Tato, och, tato!” (miała podejrzanie donośny głos jak na osobę cierpiącą straszliwy ból). George chwalił się Paulą przed przyjaciółmi, czego pani March nie znosiła. Zawsze się wtrącała – przedrzeźniała George’a, który mówił, że dziewczynka jest wyjątkowa i utalentowana – lecz w głębi duszy chciało jej się krzyczeć.

Czuła przerażenie na myśl, gdy Paula przyjeżdżała w odwiedziny; po jej wyjeździe zawsze pozostawały ślady. Różowa sukienka z falbankami, złożona i schowana przez Marthę między rzeczami pani March w garderobie. Tłuste ślady palców pomazanych czekoladą na ulubionym kocu pani March z wielbłądziej sierści. Brudne szklanki z niedopitą wodą na każdym meblu.

Nawet pod nieobecność Pauli wyczuwało się jej zapach: charakterystyczną, kwiatową, agresywną woń, której nie dało się usunąć sprayem bergamotowym rozpaczliwie rozpylanym przez panią March w całym apartamencie.

Aby udowodnić całemu światu, że potrafi wychować nieskończenie miłsze, wrażliwe dziecko, a także w pewien sposób ukarać Paulę, pani March sama urodziła dziecko. Była zadowolona, że to chłopiec, zadowolona, że nie skazano jej na obserwowanie nieskazanego odbicia własnego dzieciństwa w dorastającej dziewczynce.

Jonathan, obecnie ośmioletni, zajmował pokój, w którym wcześniej nocowała w czasie wizyt Paula. Pani March

wyremontowała go, ozdobiła i zmieniła nie do poznania. Wytapetowała ściany tkaniną w szkocką kratę z domu mody Ralph Lauren, która sprawiała, że w zimie sypialnia stawała się przytulna, ale duszna w gorących miesiącach roku, kiedy w pokoju powstawał własny mikroklimat. Wyrzuciła wszystkie markowe zabawki Pauli, Myszki Miki i księżniczki Disneya; zastąpiła je prostymi, tradycyjnymi akcesoriami, jak drewniany koń na biegunach i stare sanki. Na półkach ustawiła absurdalnie drogie pierwsze wydania książek dla dzieci (*Przygody Hucka*, *Mały lord*). Na jednej ze ścian powiesiła rząd oprawionych okładek „National Geographic”. Jonathan nigdy nie przeczytał ani jednego numeru – a ponadto pani March nigdy by nie pozwoliła, by oglądał fotografie afrykańskich wieśniaczek z gołymi biustami, z obojczykami ozdobionymi naszyjnikami z paciorków, z obwisłymi piersiami zwisającymi do pępek. Mimo to w obecności gości dumnie twierdziła, że to ulubione zdjęcia syna. Pokój Jonathana wyglądał jak projekt z czasopisma o dekoracji wnętrz.

Jonathan był bałaganiarskim, niekiedy kapryśnym chłopcem, ale miał spokojny, introwertyczny temperament. Jego odzież pachniała trawą boiska piłkarskiego i płynem do płukania tkanin. Pojechał z wycieczką szkolną do ośrodka Fitzwilliam, klubu specjalizującego się w szermierce i szachach, leżącego w północnej części stanu Nowy Jork. Miał wrócić za kilka dni. Pani March czasem się zastanawiała, co w tej chwili robi, i z dumą myślała, że to oznaka tęsknoty za synem.

Paula, mająca obecnie dwadzieścia trzy lata, żyła jak królowa. Prawdopodobnie uważała, że należy jej się to z racji urodzenia. Mieszkała w Londynie, o czym od dawna marzyła pani March – steki

restauracji Wolseley, drinki w hotelu Savoy, a w soboty sztuki teatralne na West Endzie. Paula często dzwoniła do George'a, by poznać najświeższe nowiny. Zawsze pytała o panią March, która uważała to za wścibstwo.

Pani March patrzyła z pogardą na oprawioną fotografię, na której dziesięcioletnia Paula pozowała w uwodzicielskiej pozie – oczy o barwie karmelu, łukowate brwi, zaciśnięte pełne wargi. Dziesięcioletnia Paula nalegała, by George postawił fotografię w tym miejscu, z pewnością dlatego, że znajdowała się na wysokości oczu i musiał ją zobaczyć każdy gość wchodzący do salonu. Pani March położyła ją poziomo na wyższej półce, twarzą w dół, i znowu zajęła się przygotowaniami do przyjęcia.

Ułożyła na kanapie poduszki, umieszczając z przodu perkalową, z wzorem przedstawiającym drozdy dziobiące owoce. Rzuciła na kanapę kaszmirowy koc. Powtarzała tę czynność kilkakrotnie, aż udało jej się stworzyć niedbały, artystyczny efekt sugerujący, że w trakcie lektury straciła rachubę czasu, zapomniała o przyjęciu, po czym przypomniała jej o nim grzeczna uwaga Marthy (potulniejszej, służalczej wersji Marthy), po czym odrzuciła koc i zajęła się przygotowaniami.

Tego ranka pani March poszła do kwaciarni – drogiej, przy Madison Avenue, mającej własną szklarnię – i kupiła kilka dużych bukietów czerwonych róż z dodatkiem gałązek eukaliptusa i ostrokrzewu, a ponadto rozłożyste sosnowe gałęzie pokryte igliwem, przypominające miotełki perkusistów jazzowych w klubie Carlyle. Położyła dwie gałęzie w salonie, a jedną w toalecie dla gości, gdzie umieściła również świecę o zapachu magnolii, imponujący wybór zagranicznych mydełek i złocisty pojemnik balsamu do rąk,

który zwykle trzymała w swojej szafce nocnej. Obawiała się, że Martha może go wziąć za mydło w płynie. Balsam był francuski i pani March podejrzewała, że Martha nie zrozumie francuskiego zwrotu *pour mains*.

Wyprostowała obraz wiszący nad sedesem – kokieteryjną, zartobliwą scenkę przedstawiającą kilkoro dziewcząt kąpiących się w strumieniu. Przez gałęzie drzew rosnących na brzegu świeciły promienie słońca, padając na jasne włosy i ciała dziewcząt. Uśmiechały się skromnie ze spuszczonej oczami, zwrócone w stronę widza. Bezcenny obraz, kupiony za grosze w starej galerii sztuki na skraju bankructwa. Pani March podziwiała go przez jakiś czas. Uważała się za kobietę potrafiącą docenić sztukę o podtekstach erotycznych, choć nie знаła nazwiska malarza i nie przepadała za nagością. W końcu opuściła toaletę, w tej chwili intensywnie pachnącą sosną.

Weszła do kuchni. Była przyjemnie ciemna i spokojna, pani March słyszała cichy pomruk lodówki. Wkrótce mieli przybyć pracownicy firmy cateringowej, co o mało nie wzbudziło w niej poczucia winy. W końcu postanowiła nie podawać na deser makaroników, lecz babeczki z serem i malinami z maleńkiej piekarni po drugiej stronie parku (tuż obok cukierni Patricii) i dobre, staroświeckie truskawki ze śmietaną. Owoce, stojące na podłodze kuchni w drewnianych skrzynkach, wyglądały wspaniale. Lśniły, miały intensywną barwę czerwonych maków. Śmietana, ubita z cukrem pudrem i ekstraktem wanilii z Madagaskaru, stała w kryształowym szklanym naczyniu, puszysta jak mgiełka. Wyobraziła sobie twarze gości, pełne zachwyty i podziwu – z domieszką zazdrości – i pękała z dumy.

Podziwiała zamówione wiktuały stojące w kuchni. Doszła do wniosku, że z pewnością będzie to wspaniałe przyjęcie. Jeszcze nigdy nie uczestniczyła w podobnym wydarzeniu, a środowisko literackie na długo je zapamięta.

1 Nawiązanie do zdania: „Powściągnijcie swoje apetyty, moi drodzy” z rozdziału piątego Życia i przygód Nicholasa Nickleby Charlesa Dickensa, tom I, przeł. Anna Przedpełska-Trzeciakowska i Tadeusz Jan Dehnel, Czytelnik, Warszawa 1953 (przyp. tłum.).

VI

Nie znaczy to, że nie uczestniczyła w ekskluzywnych przyjęciach. Zaliczyła ich nawet dość sporo.

Kiedy była nastolatką, rodzice często wydawali wykwintne kolacje. Goście w garniturach, z czarnymi krawatami, wynajęci kucharze i kwartety jazzowe. W takie dni pani March i jej siostra Lisa jadły wcześniej kolację w kuchni – zwykle resztki pozostawione przez kucharzy, które spożywały w ponurym milczeniu, zerkając na różowe, lśniące tartinki przeznaczone dla gości, które wydawały się z nich drwić. Czasem je podkradały.

Później rodzice zamykali je w sypialniach mających wspólną łazienkę. Najczęściej spędzały wieczór w pokoju Lisy, bo była starsza i dysponowała telewizorem. Oglądały horrory, a niekiedy europejskie filmy z wyższej półki, chichocąc od czasu do czasu na widok gołych aktorek i wstrzymując oddech.

Niepokoiliły je piskliwe krzyki dobiegające z salonu albo zwierzęce pomruki na korytarzu. Pewnego wieczoru ktoś delikatnie nacisnął klamkę w drzwiach, a później zaczął ją szarpać, jakby chciał je wyważyć. Siostry siedziały bez ruchu i wpatrywały się z fascynacją w drzwi, aż grzechot ustał.

Rodzice zamykali z panią March i Lisą kota wraz z kuwetą, jedzeniem i miską z wodą, żeby nie denerwował gości miauczeniem, nie ocierał się o nich, pozostawiając włosy na ich ubraniach, albo – tylko nie to! – nie wskoczył na stół. Drapał pazurami drzwi

i miauczał, pragnąc się wymknąć. Pani March, wytrącona z równowagi jego mękami, dotykała drzwi, jakby chciała je otworzyć, a potem udawała zdenerwowanie, by myślał, że ona również jest uwięziona.

Nazajutrz po przyjęciu dom pachniał inaczej, perfumami z drewna sandałowego i cygarami, a także aromatycznymi świecami – co wydawało się dziwne, ponieważ rodzice ich nie używali.

Kiedy pani March skończyła siedemnaście lat, w końcu zaproszono ją na kolację. Ojciec wspomniał o tym mimochodem przy sobotnim śniadaniu, czytając gazetę.

Czując się bardzo dorosła albo zdenerwowana (a może jedno i drugie?), ukradła z barku butelkę sherry. Piła ją w swojej sypialni, początkowo nieśmiało i powoli, a później wielkimi łykami.

Wieczorem z przesadnym ożywieniem dyskutowała z przyjaciółmi rodziców o sztuce i teatrze. Śmiała się perliście z dowcipów, których nie rozumiała. Przerwała głęboką, intelektualną dyskusję o wpływie dziedziczności i wychowania na charakter człowieka, cytując Mary Shelley, której książki studiowała w szkole. Jadła kolejne dania przygotowane przez kucharza (była to ciężka, dekadenccka uczta jak z epoki Tudorów) – w tym pieczoną dziczyznę i ciasto z mięsnym nadzieniem – i dalej piła. Ocknęła się po wyjściu gości: stała samotnie, trzymając w ręku kieliszek porto, choć nie pamiętała, by go napełniła.

W nocy ścisnęła deskę od sedesu, klęcząc na chłodnej terakotowej podłodze toalety dzielonej z siostrą. Wymiotowała aż do rana, oczyszczając ciało z ciężkostrawnych, mięsnych potraw, wyrzucając włókniste kawałki.

Ukrywała się w sypialni, aż minęła pora lunchu. Kiedy w końcu wyszła, meble w salonie wydawały się stać w nieco innych miejscach, wśród książek ojca panował bałagan, a na chińskim porcelanowym wazonie znajdował się niebieski smok, choć miała wrażenie, że poprzednio zawsze był tam ptak.

Rodzice siedzieli na przeciwległych krańcach kanapy. Czytali dwa egzemplarze tej samej książki, z pozoru nie zwracając uwagi na smród aksamitu przesiąkniętego alkoholem. Nie spojrzeli na córkę, gdy weszła do salonu. Nie wspomnieli o przyjęciu, co pani March uznała za ponurą, milczącą akceptację jej wad – matka nalegała, że umyje jej włosy. Zawsze pomagała córce myć głowę, robiła to do czasu, gdy pani March wyjechała na studia.

Tego dnia, dzień po przyjęciu wydanym przez rodziców, pani March klęczała na podłodze łazienki, a matka siedziała na skraju wanny i mydliła jej głowę. Nie rozmawiały, ale matka wyjątkowo mocno szarpała włosy, a pani March powstrzymywała mdłości, co było bardzo trudne z opuszczoną głową. Uważała to za karę za swoje zachowanie poprzedniego wieczoru. Kiedy matka szorowała skórę jej głowy, przysięgła, że do ukończenia studiów nie weźmie do ust ani kropli alkoholu.

Dotrzymała słowa, pojawiała się na imprezach uniwersyteckich bardziej jako gość niż uczestniczka. Przemykała się jak duch po akademikach, bywała na zebraniach bractw studenckich, patrzyła na pijanych studentów grających w ping-ponga i pary całujące się namiętnie w ciemnych zakamarkach.

Na jednej z imprez na kampusie poznała swojego pierwszego ważnego chłopaka, Darrena Turpa. Narzuciła sobie inną surową regułę: straci dziewictwo z pierwszym chłopakiem, który powie jej,

że ją kocha. I tak się też stało w nietypowo gorący wiosenny dzień, półtora roku później, gdy leżała spocona na materacu Darrena w akademiku (jego ojciec, stary przyjaciel dziekana, załatwił mu pojedynczy pokój). W końcu zasnęli, a wieczorem, kiedy pani March się obudziła, prawie nic nie pamiętała. Czuła na powiekach promienie słońca, a prześcieradło owinięło jej się wokół kostek i miała wrażenie, że ktoś trzyma ją za nogi. Wyślizgnęła się cichutko z łóżka i obejrzała prześcieradło przy świetle harcerskiej latarki Darrena. Niczego nie zauważyła – nawet rdzawej smugi jak po okresie. Błona dziewicza, rzekoma świętość, musiała już dawno pęknąć.

Spotykała się z miłym, bezpretensjonalnym Darrenem do ostatniego roku studiów, kiedy poznała George'a i natychmiast się w nim zakochała („George March to najprzystojniejszy mężczyzna na kampusie”). Powiedziała Darrenowi, że powinni się rozstać, niczego nie wyjaśniając. Prosił, by zmieniła decyzję, a przynajmniej ją przemyślała. Kiedy zdecydowanie odmówiła, domagał się, by zadzwoniła do jego matki i poinformowała ją osobiście. „Matka zasługuje na wyjaśnienie po wszystkim, co dla ciebie zrobiła!” – rzucił. Pani March spędziła kilka Świąt Dziękczynienia w domu państwa Turpów w Bostonie, gdzie ona i Darren spali w sąsiednich pokojach, by nie urazić pani Turp, dumnej ze swego konserwatyizmu. Każdego ranka o świcie wchodziła cicho do jej pokoju – pani March na początku podejrzewała, że chce sprawdzić, czy młodzi ludzie nie spędzili razem nocy, lecz okazało się, że pani Turp zabiera ręczniki, by je ogrzać w suszarce bębnowej przed porannym prysznicem.

W końcu, kilka minut po zerwaniu z Darrenem, zatelefonowała do pani Turp z budki przed kafeterią. Lało jak z cebra, na niebie co kilka sekund grzmiało i błyskało. Ledwo się słyszały z powodu burzy.

– Uważam, że ja i Darren powinniśmy się rozstać...

– Co takiego?

– Darren i ja uważamy, że...

– Nie słyszę cię!

– Zrywam z Darrenem! – krzyknęła pani March do słuchawki przyciśniętej do lewego ucha, zatykając palcem prawe.

Przez chwilę panowała cisza, po czym pani Turp powiedziała chłodnym, twardym głosem:

– W porządku. Dziękuję. Życzę ci powodzenia.

Rozłączyła się. Pani March wyszła z budki i nie odezwała się do Darrena, który spacerował tam i z powrotem po ulicy, kompletnie przemoczony. Oplakiwała ich związek przez szesnaście minut, bo tyle trwał powrót do akademika.

Kiedy poślubiła George'a, zrezygnowała z narzuconego sobie zakazu spożywania alkoholu. Zaczęła pić wino i koktajle Kir Royal na coraz liczniejszych przyjęciach, na które zapraszano męża robiącego karierę powieściopisarską. W czasie jednej z uroczystości, ekskluzywnego rautu po godzinach otwarcia Metropolitan Museum, gości oprowadzono po wystawie, której jeszcze nie udostępniono publiczności, a następnie wzięli udział w koktajl party w specjalnej jadalni dla wybrańców. Uczestnicy krążyli między stołami, czepiając się ich jak łodzi ratunkowych.

Pani March znowu spotkała wtedy Darrena. Minęło osiem lub dziewięć lat, odkąd się rozstali, ale miał te same pokryte plamami policzki i te same kędzierzawe włosy; był ubrany w taką samą

płócienną koszulę w prążki (choć z przykrością zauważyła, że nie pamięta tej konkretnej koszuli, jakby na zawsze zachowała prawo do znajomości całej jego garderoby).

George z ożywieniem z kimś rozmawiał, co pozwoliło pani March podejść do Darrena, stojącego w rogu i popijającego różowy koktajl. Klepnęła go w bark; kiedy się odwrócił, spuścił nos na kwintę.

– Och, to ty... – powiedział.

Ponieważ goście patrzyli, pani March hałaśliwie się roześmiała, jakby usłyszała żart.

– Widziałem cię wcześniej z profesorem Marchem – odezwał się Darren. – Naprawdę ze sobą chodzicie? – Spojrzał w stronę George'a, pogrążonego w rozmowie z grupką gości.

– Tak... jesteśmy małżeństwem – powiedziała pani March z nieskrywaną dumą. Uniosła dłoń i dotknęła masywnej obrączki na palcu. – Nie jest już profesorem – dodała w nadziei, że Darren spyta o ostatni sukces George'a.

Prychnął i dodał:

– Powinienem się domyślić.

– Czego?

– Że zdradziłaś mnie z profesorem.

Pani March przełknęła ślinę.

– Nie zdradziłam cię.

– Oczywiście, że mnie zdradziłaś! Ktoś mówił, że widział was razem dzień po tym, jak ze mną zerwałaś. Nie mogłaś odczekać nawet czterdziestu ośmiu godzin? – Pani March oniemiała. To, że posuwa się do takich niedorzecznych insynuacji, wydawało się idiotyczne, choć trochę jej pochlebiało. Darren uważał ją za tak

ważną, że analizował jej życie. – Nie dziwię się, że postanowiłaś złapać profesora. Robisz wszystko na pokaz.

– Nie bądź niemądry.

– Nie zależało ci na mnie? A może się mną zainteresowałaś, bo moja rodzina jest bogata?

Pani March zamierzała powiedzieć, że jej rodzice są bogatsi, ale zamiast tego uciszyła Darrena:

– Daj spokój, ludzie patrzą.

– Cóż, powinnaś wiedzieć, że ostatnio odnoszę sukcesy. Zatrudnili mnie w „New Yorkerze”. Nieźle płacą, jak pewnie słyszałaś.

Wiadomość była dość nieprzyjemna, ponieważ George niedawno złożył w „New Yorkerze” opowiadanie, które bezceremonialnie odrzucono.

– Moje gratulacje! – rzekła potulnie pani March. Miała ochotę chlusnąć na niego drinkiem, napluć mu w twarz. Nie, tak naprawdę chciała wiedzieć, kto mu naplotkował o niej i o George’u i czy ktoś jeszcze wie o tej niewielkiej skazie na jej reputacji. Oszołomiona alkoholem i muzyką, opuściła Darrena; przez chwilę dręczyło ją wspomnienie głupiego zwrotu „moje gratulacje”. Z wysiłkiem udawała wesołość i bez troskę do końca przyjęcia, cały czas unikając kędzierzawej głowy kołyszącej się groźnie w tłumie gości.

Później wypytała dyskretnie przyjaciół i odkryła, że ją okłamał. Został tylko gońcem redakcyjnym – i do tego kiepsko opłacanym. George stawał się celebrytą (tak przynajmniej sądziła pani March), natomiast Darren nie zrobił kariery literackiej (ani jakiegokolwiek innej). Zwyciężyła. Miała rozpaczliwą nadzieję, że Darren nigdy nie

przeżyła nową książkę George'a. Dostarczyła mu ogromnej satysfakcji.

VII

Dzień przyjęcia z okazji premiery powieści George'a zbliżał się frustrująco powoli. Temat wisiał w powietrzu niczym trująca mgiełka. Unosił się nad każdą rozmową pani March, czaił się w każdej chwili ciszy. Wydawało się, że apartament się z nią zgadza – pokoje doprowadzono do idealnego stanu, meble ustawiono w dziwnych miejscach, w których wydawały się zdziwione i nieszczęśliwe.

Była zbyt podekscytowana, by coś zjeść, ale poprosiła Marthę o przygotowanie lekkiej przekąski – „żeby nie dostała wzdęcia”. Nie chciała, by Martha się domyśliła, jaki lęk budzi w niej przyjęcie, jak całkowicie ją absorbuje i sprawia, że pozostałe sprawy odchodzą na dalszy plan.

Leniwie jadła warzywa, popijając je dużymi łykami wody i oddychając przez usta, podobnie jak wtedy, gdy była małą dziewczynką i zmuszano ją do jedzenia czegoś, czego nie lubiła. W holu tykał z dezaprobatą zegar stojący; kojarzył się z ubranym w perukę wiktoriańskim sędzią, który cicho cmoka, wyrażając potępienie dla przestępcy. Kiedy wybijał godziny, wydawało się, że ogłasza wyrok skazujący.

Kucharz i kelnerzy przygotowali potrawy, po czym wyszli się przebrać w oficjalne stroje. Pani March pomyślała nagle, zaszokowana, że wcale nie odeszli i że schowali się w holu, by ją

nastraszyć. Odsunęła talerz z warzywami i przykryła go serwetką, by ukryć, jak niewiele zjadła.

Kiedy Martha sprzątała ze stołu, pani March popędziła do sypialni. O tej porze apartament był oświetlony ostrymi promieniami słońca. Zaciągnęła zasłony, obawiając się, że rozboli ją głowa. Zdjęła buty, położyła się na łóżku, wygładziła spódnice, splotła ręce na brzuchu i popatrzyła na sufit. Usiłowała się zdrzemnąć, lecz pulsowanie krwi w uszach było zbyt głośne. Prześladowała ją myśl, że popełniła nieodwracalny błąd w sprawie katering. Czy goście również nie mogą się doczekać przyjęcia? Czy myśl o nim paraliżuje każdą ich myśl, nie pozwala czymkolwiek się zająć? Prawdopodobnie nie. Przełknęła ślinę, miała wysuszone, popękane wargi. Zerknęła na zegarek, na posuwającą się skokami wskazówkę sekundnika, aż doszła ona do za kwadrans czwartej, najwcześniejszej godziny, gdy pani March mogła się przebrać.

Szybko wstała i otworzyła drzwi garderoby obok sypialni. Od dawna prześladowało ją podejrzenie, że chociaż markowe ubrania są w dobrym guście, jej sposób ich układania albo noszenia sprawia, że wydają się pospolite, tandetne. Podejrzewała, że takie wrażenie robią również jej meble i rzeczy osobiste, lecz szczególnie odzież. Sukienki nie podkreślały jej urody jak w przypadku innych kobiet – były za ciasne, za krótkie, zbyt obszerne albo nie pasowały do figury – zawsze wydawało się, że nosi cudze rzeczy.

Stała bez ruchu przed garderobą, spoglądając na sukienki, spódnice, komplety złożone ze spodni i żakietu, przyglądając się tkaninom i wzorom. Pomyślała: „Jakie to dziwne, że kiedyś włożę ostatnie ubranie przed śmiercią. Bluzkę, w której wydam ostatnie tchnienie, spódnice opinającą brzuch w czasie ostatniego posiłku”.

Nie musi w nich umrzeć (przez chwilę wyobrażała sobie szpitalną piżamę) ani zostać pochowana (siostra, niewolnica konwencji, prawdopodobnie wybierze do trumny najbrzydszą sukienkę), ale i tak będą to ostatnie noszone przez nią stroje. Czy umrze właśnie dzisiaj, nim zdąży wydać przyjęcie? Dopóki to sobie wyobraża, nigdy to nie nastąpi. Często uprawiała takie gierki z samą sobą. Skoro się zastanawia, czy to ostatnie ubranie w jej życiu, to na pewno okaże się to nieprawdą. Jeśli wyobrazi sobie, że dziś umrze, nie spotka jej nic złego. Głupi nawyk, lecz jakie naprawdę jest prawdopodobieństwo, że spotka nas coś strasznego, jeśli się tego spodziewamy? Bardzo niewielkie. Nikt nie mówi: „Dziś zmarła moja żona, zgodnie z oczekiwaniami”. Albo: „Był to straszliwy wypadek, który przewidziałem”.

Przesunęła dłonią wieszaki, szukając sukienki, którą od dawna chciała włożyć na przyjęcie, ciemnozielonej sukni z długimi rękawami. Górna część ramion pani March zwiotczała z wiekiem, więc starannie je zasłaniała.

Znalazła sukienkę ukrytą między dwoma kompletami w pepitkę. Wyjęła ją. Pamiętała, że wcześniej nosiła ją tylko raz, w czasie kolacji przed kilkoma miesiącami. Uczestniczyli w niej George i jego kuzyn Jared. Chociaż uważnie studiowała listę gości dzisiejszego przyjęcia, dręczył ją niepokój, że Jared mimo wszystko też się pojawi. Spotkała go tylko dwa razy i nie mogła dopuścić, by widział ją dwa razy w tej samej sukience. Oczywiście ciepło ją powita, spodziewając się, że żona sławnego kuzyna okaże się nienagannie ubrana, ale gdy spostrzeże, że pani March nosi tę samą suknię, biżuterię i fryzurę, z pewnością skupi uwagę na bardziej eleganckich uczestniczkach przyjęcia.

Zauważyła ciemnoniebieską sukienkę z odkrytymi ramionami ukrytą w zakamarku w tylnej części garderoby. Nigdy jej nie nosiła. Nie oderwała nawet metki ze sklepu. Miała intensywny, lecz elegancki odcień; wydawało się mało prawdopodobne, by któraś z uczestniczek przyjęcia włożyła coś podobnego. Ale, niestety, była bez rękawów. Wyjęła ją z szafy i obejrzała obie sukienki trzymane w rękach. Niebieski kolor był z pewnością ładny, lecz nie mogła ryzykować, że ktoś sfotografuje jej nagie ramiona. Powiesiła suknię z powrotem w garderobie.

Zdjęła z wieszaka sukienkę o barwie butelkowej zieleni, zaniósła na rękach na łóżko jak śpiące dziecko i położyła na kołdrze. Obok umieściła złotą broszkę i okrągłe złote kolczyki.

Później zajęła się włosami. Nawijała je ciasno na wałki, pasmo po pasmie.

Oszlifowała i polakierowała paznokcie. Zawsze robiła to samodzielnie, nie korzystając z usług zawodowych manikiurzystek, by nie oceniały stanu jej paznokci (w przeszłości często to robiły w obecności innych klientek, zadawały pytania w rodzaju: „Dlaczego pani paznokcie są takie żółte?” albo: „Czy nie zmywa pani lakieru zbyt późno?”).

Czekała, aż paznokcie wyschną, i spoglądała na zegarek powoli odmierzający sekundy. Zdjęła z głowy gorące wałki. Kiedy rozwijała jeden z loków, wałek musnął jej skórę i sparzył ją w tylną część ucha. Syknęła i dotknęła piekącej mażowiny kawałkiem wilgotnego papieru toaletowego.

Rozebrała się, unikając widoku swojego nagiego ciała w lustrze. Skóra na brzuchu była zwiotczała, nigdy się nie wygładziła po urodzeniu Jonathana. Rozstępy ciągnęły się aż do trójkąta ciemnych

włosów między nogami. Z trudem wcisnęła obwisły brzuch w ciasny, kremowy gorset, po czym włożyła butelkowozieloną suknię. Kiedy w końcu popatrzyła na siebie w lustrze łazienki, uśmiechnęła się – sztucznie, jakby pozowała do fotografii. Zakołysała się, udając, że trzyma w dłoni kieliszek, i zalotnie zachichotała. „Dziękuję państwu za przybycie” – powiedziała do lustra. „To dla nas ogromny zaszczyt”.

Próbowała różnych szminek – wszystkich nieużywanych, wyschniętych ze starości i lśniących jak stearyna – po czym po kolei je ścierała, plamiąc policzki i podrażniając wargi papierowymi ręcznikami. W pewnym momencie z wściekłością narysowała na szyi cynobrową kreskę. W końcu, pokonana, wróciła do spokojnej, kremowej szminki, której zawsze używała. W przyływie niezdecydowania wyplątała się z butelkowozielonej sukni, wróciła do garderoby i przymierzyła ciemnoniebieską. Skrzywiła się, widząc w lustrze wybrzuszenie w pasie. Ramiona wydawały się jednocześnie napięte i obwisłe. Zerwała sukienkę z przytłumionym okrzykiem. Przymierzyła jedwabną bluzkę, zwykle noszoną ze starymi spinkami do mankietów matki ze szklanymi imitacjami klejnotów, i czarną spódnicę – po czym wybrała butelkowozieloną suknię.

* * *

George wrócił do domu o zmroku, gdy pani March eksperymentowała z lampami na suficie i podłodze i sprawdzała, jaka kombinacja oświetlenia stworzy przytulną, ale żywą atmosferę. Zachowywała się jak spokojna, opanowana kobieta, nuciała lekko pod nosem. Manipulowała przy lampach, a kelnerzy uprzejmie ją ignorowali, nie zwracając uwagi na teatralne popisy.

Zerknęła z niepokojem na zegarek. Niektórzy goście zapewne byli już w drodze, małżeństwa kłóciły się w windach i na tylnych siedzeniach taksówek, kobiety tak starannie ufryzowane, że wyglądały jak po wizycie w salonie, mężczyźni udający, że ciągle mogą nosić garnitury od Armaniego sprzed dziesięciu lat.

Po raz ostatni bez przekonania próbowała włożyć inną sukienkę, a tymczasem George wiązał krawat w łazience.

– Wiesz, zadzwoniła Paulette i złożyła mi gratulacje – powiedział ni w pięć, ni w dziewięć.

– Ach tak? – spytała.

– Nie, nie, tylko nie zaczynaj...

– Czego nie zaczynać? Powiedziałam tylko „ach tak”.

– To miło, że zatelefonowała, zwłaszcza że ma teraz bardzo absorbujące sesje zdjęciowe...

– Tak, jest niezwykle utalentowana – odpowiedziała pani March.

– Robi wspaniałą karierę.

Pani March poczuła mdłości na myśl, że w czasie przyjęcia George zacznie opowiadać, jaki jest dumny z Pauli. Wcześniej puściła wodze wyobraźni i marzyła o tym, że George wygłosi mowę, w której opowie o swojej miłości do ukochanej żony, a goście zaczną jej gratulować dobrego smaku. Jej oczekiwania dotyczące wieczoru mogły być zbyt wygórowane.

– Tak, wspaniałą – odparł George, poprawiając spinkę do mankietów. – Chce kupić dom w dzielnicy Kensington.

– Cudownie...

– Tak. Podobno jest piękny, a do tego to ma znaczenie historyczne. Mówi, że zawsze możemy się tam zatrzymać po przyjeździe do Londynu.

Jedna z powiek pani March zatrzepotała; myśl o tym, że mogłaby spać w domu Pauli, być jej wdzięczną za cokolwiek, wydawała jej się nie do przyjęcia. Uspokoila się, patrząc na palce George'a, który zapinał drugą spinę do mankietów. Czy widziała już wcześniej te spinki?

– Robi wspaniałą karierę – powtórzył cicho, z roztargnieniem.

Na pewno nie widziała wcześniej tych spinek, co ją zaniepokoiło. Dobrze znała wszystkie spinki, krawaty i poszetki George'a; większość podarowała mu na przestrzeni lat. Skąd się wzięły te spinki? Zrobiła krok do przodu, otworzyła usta, by się odezwać, gdy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi.

Pojawili się pierwsi goście, grupka złożona z pięciu osób, jakby w sekrecie umówili się wcześniej w pobliżu domu. „O Boże, kto chciałby rozmawiać z tą babą sam na sam?!” – wyobraziła sobie ich komentarze. Zresztą ona również czuła niepokój na myśl, że mogłaby prowadzić banalną konwersację z jedną lub dwiema osobami, które przyszły wcześniej. Z ulgą zostawiła gości w salonie, udając, że musi się czymś zająć; w rzeczywistości poszła do toalety przylegającej do sypialni i ostrożnie usiadła na klapie sedesu, by nie pognieść sukni.

Wkrótce apartament wypełnił się gośćmi. W tle grała muzyka – żywa, nowoczesna wersja *Dziadka do orzechów*, którą pani March uznała za idealny podkład do koktajl party w zimie. Harmonizowała z gwarem męskich głosów i okazjonalnymi piskliwymi śmiechami kobiet.

Kilku gości – starych przyjaciół George'a – podarowało mu oprawioną czarno-białą fotografię jego dziadka, który stał z poważną miną obok łaciatego angielskiego setera. W jednej ręce trzymał

strzelbę, a w drugiej kaczkę wiszącą głową w dół. Powaga, dostojny wyraz twarzy mężczyzny – a także pyska psa – miały w sobie coś wyjątkowo absurdalnego, spotęgowanego przez to, że ktoś uznał fotografię za godną oprawienia. Postanowiła ukryć ją w garderobie za pudłami na kapelusze zaraz po wyjściu gości.

W czasie przyjęcia, gdy do salonu stale wchodziły nowe osoby, pani March poprosiła Marthę, by regularnie zaglądała do toalety dla gości, składała ręczniki, rozpylała sosnowy odświeżacz powietrza i przecierała deskę sedesową oraz podłogę słabym roztworem amoniaku. Ostra woń amoniaku z domieszką natrętnego leśnego aromatu była tak niezwykła, że uczestnicy przyjęcia u państwa Marchów natychmiast ją sobie przypominali, gdy odwiedzali szpitale albo mijali sklepikarza wylewającego na ulicę wiadro z wodą po myciu podłóg.

VIII

Pani March obserwowała kobiety. Szczególnie przykuła jej uwagę jedna, w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat, co sprawiało, że wydawała się najmłodszą uczestniczką przyjęcia. Pani March podziwiała bujne złociste loki, olśniewająco prostą ciemnoczerwoną suknię pięknie opinającą smukłe ciało. Skurczyła się wewnętrznie, poczuła się zdemaskowana, jakby niezgrabnie próbowała udawać młodszą kobietę – „stara krowa udająca jałówkę”, jak powiedziałyby jej matka. A jej włosy... były rzadkie i brzydkie, nawet nie wiedziała, jaki mają kolor. Spociła się i cienkie, wilgotne kosmyki przykleiły się do czoła.

Wśród gości krążyli kelnerzy z tacami. Leżały na nich tartaletki z serem brie, tartaletki z cebulą i tartinki z wędzonym łososiem. Z głośników zestawu stereofonicznego dobiegała rozmarzona piosenka śpiewana przez Annę Marię Alberghetti. Pani March jeszcze raz spojrzała na młodą kobietę rozmawiającą z dwoma zafascynowanymi mężczyznami i zauważyła, jak nonszalancko wsuwa za ucho kosmyk złocistych włosów, po czym instynktownie zrobiła to samo. Musnęła wrażliwą małżowinę i dotknęła bolesnego strupka. Skrzywiła się lekko, zaciskając zęby, po czym ukradkiem podeszła do grupki mężczyzn otaczających młodą kobietę, jakby miała coś na sumieniu. „Wszystko w porządku?” – spytała, mocno splatając dłonie. Obrócili głowy i popatrzyli na nią. Dziewczyna paliła papierosa luksusowej marki, długiego i kremowego jak jej

szyja. Kiedy uniosła go do ust, na kościstych nadgarstkach zabrzęczały bransoletki.

– Bardzo się cieszę, że panią widzę, pani March – odezwał się jeden z mężczyzn. Pani March pamiętała jak przez mgłę, że to prywatny bankier George'a. Zapomniała jego nazwisko, ale wiedziała, że czasami gra z George'em w tenisa.

– Mam nadzieję, że dobrze się państwo bawią – rzekła, zwracając raczej do młodej kobiety.

– Pojawiło się dużo osób – zauważył bankier.

– O tak – odparła pani March. – Prawie nikogo nie znam. – Młoda kobieta spoglądała w bok. Kiedy zaciągała się papierosem, przechyliła głowę do tyłu, jakby piła szampana z groteskowo smukłego kieliszka.

– Cóż, najpierw przedstawię pani Toma – rzekł bankier. – I pannę Gabriellę Lynne. Jestem pewien, że pamięta ją pani z przyjęcia w „Artforum” w zeszłym miesiącu.

Pani March uśmiechnęła się do panny Lynne, podobnej do gazeli. Być może zrobiła to nieco zbyt agresywnie. Młoda kobieta wydmuchwała kłęb dymu i w ogóle się nie odezwała.

– Panna Lynne jest w tej chwili najmodniejszą projektantką okładek książkowych – zaszczębiotał Tom.

Gabriella pokręciła głową, znowu wydmuchując dym, a później cicho się roześmiała.

– Niewiele trzeba, by zaimponować tym panom – powiedziała do pani March, która zachichotała, zadowolona, że uwaga jej nie dotyczy. – Nawiasem mówiąc, fantastyczne przyjęcie – dodała Gabriella cichym, bezbarwnym głosem. Pani March dowiedziała się

później, że jej uwodzicielski akcent, niemożliwy do identyfikacji, to efekt podróży po Europie w dzieciństwie.

– Och, bardzo dziękuję – odpowiedziała pani March. – Przyjaciele George’a są moimi przyjaciółmi. Projektowała pani okładki do jego książek?

– Och, chętnie podjęłabym to wyzwanie. – Gabriella wetknęła niedopałek papierosa w resztki kawioru i blinów z crème fraîche, które szybko zabrał kelner. Pani March nie wiedziała, czy powinna się czuć urażona zachowaniem Gabrielli. Niedojedzone bliny i tak trafiłyby na śmietnik, ale potraktowanie ich w ten sposób można by uznać za afront wobec gospodyni. Nagle miała ochotę krzyknąć i przeraziła ją sama taka możliwość.

– Tak naprawdę zaproponowano mi zaprojektowanie okładki do jego ostatniej powieści, ale niestety miałam inne zobowiązania – ciągnęła Gabriella. – Jednak wszystko dobrze się skończyło: projektant wykorzystał słynny historyczny obraz. Jest wspaniały i świetnie pasuje do powieści. Nie wymyśliłabym niczego lepszego.

Pani March obojętnie skinęła głową, zastanawiając się, jak wygląda ciało Gabrielli pod satynową suknią: jakiego koloru są jej sutki, czy ma piegi albo pieprzyki. Może uważa jeden z nich za brzydki, ale mężczyźni twierdzą, że jest niewiarygodnie seksowny?

– Rozumiem, że czytała pani książkę? – spytała Gabriella. W jej głosie zabrzmiała ironia. Spojrzała pani March prosto w oczy i przekrzywiła głowę, rozchylając wargi. Jej wzrok miał w sobie coś figlarnego.

– Och, naturalnie. Czytam wszystkie powieści George’a – odpowiedziała pani March. Jej głos lekko zadrżał. Na szczęście rozmowa nie zeszła na nieunikniony, przerażający temat głównej

bohaterki, ponieważ zbliżył się do nich mężczyzna – najwyraźniej nowo przybyły, ponieważ ciągle miał na sobie płaszcz z kroplami deszczu lśniącoymi na ramionach. Ucałował Gabriellę w oba policzki. Pani March poczuła, że Gabriella natychmiast przestała skupiać na niej uwagę. Wyobraziła sobie, że młodej kobiecie nagle wyrwano z piersi bijące serce. Zerknęła na stolik do kawy. W popielniczce leżały trzy białe niedopałki ze śladami szminki, a obok srebrna papierośnica Gabrielli z wygrawerowanymi inicjałami. Pod wpływem niezrozumiałego impulsu pani March chwyciła papierośnicę i wsunęła do stanika, gdzie nieprzyjemnie oparła się o lewą pierś.

Odeszła. Nikt nie zauważył tego, co zrobiła. Kręciło jej się w głowie na myśl o szaleńczym postępku, ale z wysiłkiem się uśmiechała – częściowo, by uniknąć podejrzeń, lecz głównie po to, by ukryć poczucie winy. Niestety, a może na szczęście, zaczepiła ją agentka George'a.

– Jak się miewasz, kochanie? Przyjęcie jest po prostu fantastyczne! – powiedziała jednym tchem Zeldy, po czym głęboko zaczerpnęła tchu. Kopciła papierosa za papierosem i z trudem wypowiadała dłuższe zdania: wydawało się, że płuca odmawiają jej posłuszeństwa. Z każdą chwilą mówiła coraz bardziej ochryple i pani March wyobraziła sobie, że pod koniec wieczoru będzie już tylko szeptać.

– Dziękuję, Zeldo. – Spojrzała na zęby Zeldy, poplamione rdzawą szminką i pożółkłe od tytoniu po dziesiątkach lat palenia. – Spróbuj foie gras – dodała na widok kelnera niosącego karmelizowaną cebulę i kompot truskawkowy. – Pochodzi z niewielkiej farmy na

przedmieściach Paryża. Przysłała je moja siostra. Jej mąż sam je przygotował w czasie wakacji na farmie.

– Życie w zgodzie z naturą! Jakie to romantyczne! – powiedziała Zelda, przeciągając się i spoglądając dramatycznie w sufit.

– Czy gęsi nie są przymusowo karmione?

Pani March odwróciła się w stronę nowego głosu, należącego do Edgara, wydawcy George'a. Zawsze trzymał ręce za plecami i pochylał głowę; jego figura przypominała znak zapytania.

– Skądże znowu! – zaprotestowała Zelda. Kiedy odwróciła się w stronę pani March, na jej twarzy nie malował się jednak wyraz niedowierzania. Trzęsa się ze śmiechu, któremu jej płuca nie były w stanie nadać słyszalnego brzmienia.

– Ta procedura nosi nazwę *gavage* – rzekł Edgar, irytująco teatralnie wymawiając francuskie słowo. Rozchylił niewielkie usta i było widać, że się ślini. – Polega na przymusowym karmieniu ptaka przez rurkę wprowadzoną do żołądka.

– Oooch... – odparła Zelda, robiąc minę pełną niesmaku. Mimo to w dalszym ciągu się śmiała, jej bolesny chichot był chwilami słyszalny, przypominał skowyt psa.

– Właśnie dlatego wątróbka ma szczególny smak – zakończył Edgar.

Jakby na dany znak kelner pojawił się z foie gras, z którego spływały strumyki żółtawego tłuszczu.

Edgar podciągnął rękawy, wziął mały tępy nóż leżący obok foie gras i odciął kawałek potrawy trzymanej na tacy przez kelnera drżącymi rękami. Rozsmarował foie gras na toście. Spoglądał badawczo na panią March, włożył tost do ust i lekko się uśmiechnął. Odwzajemniła jego spojrzenie, patrzyła na grube okulary

z przejrzystego szkła, na rzadkie, siwe włosy złożone ze sklejonych kosmyków, przypominające włosy niemowlęcia. Barwa jego skóry budziła mdłości: biel z domieszką różu. Widziała różowe knykcie, pieprzyki, siateczkę fioletowych żyłek na nosie.

Nieprzyjemna chwila minęła, gdy rozległ się dźwięk łyżeczki uderzającej w kieliszek. Pani March i Edgar obrócili się i popatrzyli w stronę źródła hałasu. George, szczęście mu Boże, stał niezgrabnie przed kominkiem i dziękował gościom za przybycie. Podeszła do niego Zelda; pani March i Edgar nawet nie zauważyli, że się oddaliła.

– Chciałbym wszystkim serdecznie podziękować – powiedział George. – Skoro tu jesteście, mieliście coś wspólnego z wydaniem książki. Redagowaliście ją, zajmowaliście się marketingiem, wasz udział był mniejszy lub większy. W ciągu ostatnich miesięcy znosiliście kaprysy autora, a czasem go inspirowaliście. – Popatrzył na panią March, która natychmiast odruchowo zacisnęła pośladki.

Zelda przerwała George'owi. Powiedziała, że zimą tego roku pojawił się wysyp powieści nominowanych w kategorii literatury pięknej, co sprawia, że sukces książki stanowi wielkie osiągnięcie.

– Cóż, fani są lojalni... – wtrącił George, spoglądając na nóżkę trzymanego w dłoni wysokiego kieliszka od szampana.

– Bzdury, bzdury, nie bądź taki skromny! – przerwała Zelda i zwróciła się do uczestników przyjęcia. – Ależ z niego skromniś! –

Próbowała się roześmiać, lecz z jej gardła dobiegł tylko ledwo słyszalny charkot.

Pani March uniosła rękę do oparzonego ucha i dotknęła kciukiem strupka. Przez moment kojarzył jej się ze skwarką i mimo woli polizała palec.

– To wybitna książka, która podoba się nie tylko fanom, ale wszystkim. Nie, zaczekaj! – Pokiwała palcem w stronę George’a, który zamierzał zaprotestować. – Chcę dodać, że to moja ulubiona książka ostatniej dekady! A nie znoszę czytać książek!

Rozległ się ochryply śmiech. Pani March spojrzała na nieco nieforemny wazon stojący za Zeldą na gzymsie kominka i zapomniała się roześmiać.

– A zatem wzniesmy toast za czarującego, utalentowanego George’a! Edgarze, twoja kolej!

Pani March spojrzała na Edgara, wyciągniętego przez Zeldę z tłumu gości. Uniósł dłoń w skromnym geście, a publiczność nagrodziła go brawami, zachęcając, by zabrał głos.

– Wiecie co? – zaczął, poprawiając jedwabną apaszkę w grochy. – Nie wznosimy toastu za ostatnią powieść, ponieważ, bądźmy szczerzy, w ogóle tego nie potrzebuje. Wzniesmy toast za następną książkę George’a, bo na pewno będzie jeszcze lepsza.

– Słuchajcie! Słuchajcie! – Kiedy goście zbliżali się do siebie, by trącić się kieliszkami, kilku z nich zwróciło się w stronę pani March. Na jej twarzy pojawił się przesadny, prawie maniacki uśmiech; miała rozszerzone, błyszczące oczy. W końcu uniosła kieliszek do ust i wypila łyk letniego, musującego szampana. Palił ją w gardle.

IX

Pani March wykorzystała toast i późniejszy wybuch wesołości, by wymknąć się z salonu do kuchni, gdzie Martha pochylała się nad blatem i owijała plastikową folią resztki potraw. Kucharz już wyszedł, kelnerzy podawali digestify, zbliżała się pora deseru.

Truskawki stały w durszlaku w zlewie. Pani March po kolei ułożyła owoce na porcelanowym półmisku, zdumiewając się ich świeżością i delikatnością. Poprosiła Marthę o przygotowanie śmietany i postanowiła zanieść truskawki do salonu w nadziei, że wzbudzą zachwyty gości.

Zamierzała przestąpić próg i wyjść na korytarz, gdy nagle usłyszała w salonie wyraźny głos kobiety, która spytała beznamiętnym tonem:

– Myślisz, że wie o Johannie?

Pani March znieruchomiała z jedną nogą w kuchni, a drugą na korytarzu. Rozległy się śmiechy, usłyszała głośny rechot George'a; później goście zaczęli się uciszać i chichotać.

Poczuła przyływ trwogi. Dzwoniło jej w uszach, po chwili się zatkały. Zachwiała się i przechyliła półmisek. Czerwone truskawki rozsypały się na podłodze, potoczyły do kątów i pod meble (niektóre znaleziono dopiero po kilku tygodniach).

Stała, mrugając, aż wreszcie za jej plecami rozległo się cmoknięcie Marthy. Służąca wyciągnęła masywne, opuchnięte dłonie i wzięła półmisek od pani March.

– Ojej, co za bałagan... Zaraz posprzątam – powiedziała pani March dziwnie sennym głosem, a Martha uklękła na podłodze i zaczęła zbierać truskawki.

Pani March minęła salon i dotarła do sypialni. Chodziła w kółko, po czym weszła do łazienki i zamknęła drzwi na klucz. Usiadła na skraju wanny i wyjęła ze stanika srebrną papierośnicę. Musnęła inicjały i uniosła wieczko; rozległo się ciche szczęknięcie. Wyjęła papierosa i drżącymi rękami zapaliła go zapałką z pudełka z jednej z szuflad w toalecie. Wypaliła jednego papierosa, później drugiego, a następnie trzeciego, łapczywie wciągając dym. Strząsała popiół do wanny i zostawiła niedopałki w otworze odpływowym. Kiedy dopaliła ostatniego papierosa (przysięgła sobie, że będzie ostatni), na podłodze mignęło coś czarnego. Spojrzała w tę stronę i zobaczyła karalucha biegnącego po marmurowych płytkach. Ogarnęło ją przerażenie. Krzyknęła i wypadła z łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Przycisnęła rękę do ust, by nie krzyknąć ponownie, drugą dotknęła oparzenia na uchu. Chwyciła poduszki leżące na łóżku i zasłoniła nimi szparę pod drzwiami.

Pozbawiona sił, usiadła na podłodze sypialni, oparta plecami o łóżko. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zrezygnować z pożegnania gości, lecz nakazywał to uświęcony obyczaj. Może udać nagłą chorobę? Ale natychmiast zaczynają się plotki. Uznają jej nieobecność za potwierdzenie, że to ona jest pierwowzorem Johanny i – co jeszcze bardziej żałosne – że to ją boli.

„Słyszeliście o pani March?” – wyobraziła sobie prywatnego bankiera George’a rozmawiającego z żoną. „Biedna kobieta. Całymi dniami siedzi zamknięta w mieszkaniu. Okropna historia”.

Później wyobraziła sobie jego żonę (nigdy jej nie spotkała i mogła w ogóle nie istnieć), która lituje się nad żalosną brzydką kobietą (bankier powiedziałby eufemistycznie, że pani March nie odznacza się szczególną urodą). Mąż tak nią gardzi, że uczynił ją pierwowzorem tej koszarnej postaci. „Jakiej postaci?” – spytałaby żona, wycierając delikatne dłonie kuchenną ścierką.

Bankier uśmiechnąłby się tajemniczo, a później opisałby Johannę, prostytutkę, z którą nikt nie chce sypiać, nawet stali klienci. „Powieść jest niezła” – dodałby. „Mówi się, że ten spryciarz może dostać Pulitzera za zmieszanie żony z błotem”.

Zachichotaliby z lekkim poczuciem winy, a żona uznałaby całą sprawę za dość przykrą, bo uważała Marchów za szczęśliwe małżeństwo. „Cóż, domyślam się, że w tej chwili znamy prawdę”.

Pani March zastanawiała się, jak inne kobiety zniosłyby podobne upokorzenie, gdyby znalazły się w tej samej sytuacji. Patricia, prostoduszna właścicielka cukierni z kędzierzawymi włosami i głupawą, kluchowatą twarzą, uznałaby za śmieszne, że mąż uczynił ją pierwowzorem dziwki. Opinie innych ludzi w ogóle by jej nie obchodziły. A kobiety, które budzą zawiść pani March? Kobiety, które nie dbają, jak ocenia je świat, nie obchodzi ich własny wizerunek? Wyobrażała sobie, jak przyjęłaby to Gabriella, lecz z rozpaczą uznała, że taka historia w ogóle nie mogłaby się jej przytrafić. Gdyby Gabiellę sportretowano w powieści, niewątpliwie byłaby pierwowzorem pięknej, bezbronnej, pełnej charakteru kobiety – mężczyźni toczyliby o nią pojedynki i ginęli. Jako postać byłaby mniej głęboka, mniej „realistyczna” (co ludzie naprawdę widzą w realizmie, że tak się nim zachwycają?), lecz znacznie bardziej sympatyczna. Oczywiście problem pani March nie polegał na tym, że

Johanna jest niesympatyczna, tylko na tym, że pani March uważała siebie za niesympatyczną.

Czy goście zauważyli jej zniknięcie? A może poczuli ulgę? Zastanawiała się, czy się nie przebrać, nie zmienić głupiej sukienki, nie włożyć prostszej, bardziej seksownej, ale wszyscy natychmiast by to zauważyli, ocenili, doszli do wniosku, że za bardzo się przejmuje. Marzyła o zemście. Chociaż kradzież papierośnicy Gabrielli – znowu wsunęła ją do stanika – trochę złagodziła wściekłość, ci ludzie zasługiwali na coś znacznie gorszego. Doszła do wniosku, że powinna ich otruć arszenikiem. George wspomniał kiedyś, że w epoce wiktoriańskiej trucizny przechowywano w każdym domu. Arszenik, sprzedawany bez recepty, był wykorzystywany jako składnik pigmentów do barwienia tapet i tkanin. Przyniosłaby deser i otruła wszystkich gości serem zaprawionym opium. Wyobraziła sobie, jak padają pokotem w salonie; później zapadłaby cisza, dziwny spokój po takim hałaśliwym przyjęciu, a ona przechodziłaby oszołomiona nad zwłokami.

Nagle zauważyła, że goście ucichli, co wyrwało ją z rozmarzenia. A jeśli wyszli, namówieni przez rozchichotanego George'a, bo zdenerwowali nadwrażliwą żonę? „Wiecie, jaka ona jest, drażliwa, nie może znieść wstydu, czytaliście książkę, prawda?”

Wstała, podeszła do drzwi sypialni, lekko je uchyliła i wyjrzała na korytarz. Goście znajdowali się w salonie – w dalszym ciągu słyszała hałasy i muzykę. Odetchnęła głęboko, po czym wyszła z pokoju i ruszyła z wahaniem w stronę salonu, opierając się rękami o ściany, by utrzymać równowagę. Coś zachrząściło jej pod stopami. Zerknęła na gałązkę ostrokrzewu, po podłodze potoczyło się kilka czerwonych jagód.

„Głupio zakładać, że goście zrezygnują z zabawy z mojego powodu” – pomyślała. Przyjęcie trwało, brzęczały kieliszki, na talerzu gramofonu obracała się płyta długogrająca, w holu tykał zabytkowy zegar stojący z tarczą przedstawiającą uśmiechnięty księżyc o rumianych policzkach. Nic się nie zmieniło.

Na stoliku pod ścianą leżała na półmisku reszotka truskawek, niektóre pokryte plamami śmietany lub w niej zatopione, inne broczące czerwonym sokiem. Pani March popatrzyła ze smutkiem na owoce, po czym wróciła do gości. Miała wrażenie, że skacze do wody i spogląda z głębin na innych pływaków.

Podeszła do grupki pogrążonej w rozmowie. Usłyszała słowa „powieść”, „talent”, „jego generacja”. Uśmiechnęła się i skinęła głową, lecz goście nie zwrócili na nią uwagi, więc odwróciła się z uśmiechem zastygłym na wargach i otarła kropelkę potu, która pojawiła się na jej skroni. W tej samej chwili zauważyła Gabriellę stojącą obok George’a na środku salonu. Byli całkowicie pochłonięci sobą, nic więcej ich nie interesowało. Gabriella dotykała dłonią ramienia George’a i zasłaniała usta drugą ręką, by ukryć, że się śmieje, jakby śmiech był faux pas jak ziewnięcie albo beknięcie. Pani March obserwowała męża i Gabriellę, popijając letniego szampana z kieliszka, który znalazła obok truskawek. George wydawał się rozpromieniony – patrzyła na jego irytujący uśmiech, pełen fałszywej skromności budzącej pogardę – aż po chwili pojawił się jeden z przyjaciół chcący zawrzeć znajomość z Gabriellą.

George, w dobrym nastroju pod wpływem alkoholu (a także, niewątpliwie, jako główny bohater przyjęcia), podszedł do pani March, ujął ją za łokieć i zaprowadził do dwóch kobiet, blondynki i brunetki, by je przedstawić. Wyjaśnił z dumą, że były jednymi

z jego ostatnich studentek, nim całkowicie poświęcił się pisarstwu. Pani March nie zaprosiła żadnej z nich: prawdopodobnie zrobił to George, nic jej nie mówiąc. Nie było jasne, jak odnowił z nimi znajomość po tylu latach.

– Panie profesorze...

– Och, proszę, nie jesteście już moimi studentkami. Mówcie mi po imieniu.

– Dobrze, George... – powiedziała brunetka i zachichotała.

Pani March patrzyła na młode kobiety. Nie uśmiechała się. Domyślała się, że mają zaledwie trzydzieści kilka lat, ale trochę ją to dziwiło. Kiedy dokładnie George przestał wykładać na uczelni? Usiłowała przypomnieć sobie konkretną datę.

– Nie jest pani dumna z męża, pani March? – spytała z rozmarzeniem blondynka, jakby pragnęła, by pewnego dnia zadano jej to samo pytanie.

– Och, myślę, że moja małżonka trochę się mną zmęczyła – rzekł George, uśmiechając się do pani March. – Trudno wytrzymać z pisarzem.

Dwie młode kobiety znowu zachichotały, po czym westchnęły, jakby śmiech je znużył. Tymczasem po drugiej stronie salonu doszło do zamieszania. Gabriella szukała zgubionej papierošnicy, wspomagana przez ochotników – co do jednego płci męskiej, chodzących na czworakach – zagląających pod meble i między poduszki. Pani March czuła papierošnicę na piersi i zaczęła udawać, że szuka jej na półkach.

Przyjęcie wkrótce się zakończyło, bo ściany były cienkie i sąsiedzi często się skarżyli. Martha wyszła, trzymając małą kwadratową torebkę, nim ostatni rozweseleni goście opuścili apartament.

Tymczasem pracownicy firmy cateringowej narzucili fartuchy na poplamione stroje używane na przyjęciu i starali się uporządkować mieszkanie.

Państwo Marchowie rozebrali się w milczeniu. George stał w pobliżu łazienki. Pociągnął nosem.

– Ktoś tu palił?

Pani March przełknęła ślinę, po czym postanowiła postawić sprawę otwarcie.

– George, czy pierwowzorem tej kobiety jestem ja? – spytała, mając nadzieję, że uzna jej drżący głos za efekt wypitego wina.

Zatrzepotał powiekami.

– Co takiego?!

– Mam na myśli Johannę. Czy jestem jej pierwowzorem?

– Nikt nie jest jej pierwowzorem, ona po prostu... – skinął dłonią, szukając właściwego słowa – ...po prostu istnieje.

Pani March poczuła zawód.

– Więc dlaczego się śmiałeś, gdy powiedziała to ta kobieta?

George zmarszczył brwi i spojrzał na nią znad okularów.

– Jaka kobieta?

– Tamta kobieta! Kobieta na przyjęciu! Powiedziała, sugerowała, że to ja jestem pierwowzorem Johanny!

Wydawało się, że się zastanawia.

– Cóż, nie przyszło mi to nawet do głowy. W trakcie pisania w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Myślę, że możecie mieć pewne wspólne cechy...

Pani March drwiąco się skrzywiła.

– Doprawdy, George, powiedz, jakie cechy! Powiedz, co może mnie łączyć z tą dziwką! – Chociaż była wściekła, mówiła dość cicho, bojąc się, że usłyszą ją sąsiedzi.

George westchnął.

– Uważam, że błędnie to interpretujesz. Pierwowzorem Johanny nie jest jedna kobieta, to połączenie cech wielu kobiet, które znałem na przestrzeni lat. Mógłbym wymienić cechy łączące ją z kilkoma kobietami mającymi na mnie wpływ. Owszem, ty też znalazłabyś się na liście. Właśnie tak działa wyobraźnia pisarza.

– Więc to zrób.

– Co mam zrobić?

– Usiądź i wymień te cechy.

– Mówisz poważnie?

– Tak! – odpowiedziała pani March. – Chcę wiedzieć, jakie kobiety cię inspirowały. Chcę wiedzieć, czym się różnię od Johanny.

– Czym się różnisz... Przecież to postać fikcyjna!

– Więc dlaczego wydaje się rzeczywista, a ja nie?

Ostatnie pytanie, zadane tonem, który można by nazwać krzykiem (zwłaszcza w przypadku pani March), odbiło się echem w pokoju. Nie wiedziała, co ją zdenerwowało, co pragnie wyrazić, ale po wypowiedzeniu tych słów poczuła na języku gorzki smak.

George zmarszczył brwi.

– Wolę w to nie wnikać. Moim zdaniem jesteś... no cóż... zmęczona, oboje jesteśmy zmęczeni. Spróbujmy się przespać. Porozmawiamy o tym rano.

– W tej chwili nie zasnę. Nie w twojej obecności – powiedziała pani March. Wsparła się pod boki.

George westchnął.

– Prześpię się w gabinecie. – Wziął wełnianą kapę leżącą na fotelu w rogu sypialni. – Dobranoc – rzekł, nawet nie patrząc na panią March. Przeszedł obok niej, opuścił pokój i zamknął za sobą drzwi.

Kiedy wyszedł, pani March spoglądała na białe drzwi panelowe. Zamknęła je na klucz, a później powoli się cofnęła, jakby czekała, aż ktoś zacznie je rozbijać siekierą. Chwiejąc się na nogach, podeszła do łóżka obok okna i padła na twarz na chłodną pościel.

X

Na parapecie okna pani March przysiadły dwa hałaśliwe gołębie. Gruchały jednocześnie, jeden wyjątkowo głośno. Wydawane przez niego dźwięki coraz bardziej przypominały jęki kobiety zbliżającej się do orgazmu. Pani March poczuła wstyd, obudziła się i z ulgą skonstatowała, że jest sama. Przez szczeliny w zasłonach sypialni wpadało światło. Zasłoniła oczy i jęknęła, po czym przewróciła się na bok i zawołała Marthę, która krzątała się w aneksie kuchennym. Poprosiła o podanie śniadania do łóżka: sałatki owocowej i jajka na miękko. I o aspirynę.

Po kilku minutach gałka w drzwiach lekko się poruszyła i rozległo się pukanie. Pani March wyskoczyła z łóżka, przekręciła klucz i z zawstydzoną miną zaprosiła Marthę do sypialni.

– Trzeba przewietrzyć pokój – powiedziała służąca, stawiając na łóżku tacę ze śniadaniem. – Trochę brzydko tu pachnie.

Pani March pociągnęła nosem, ale czuła tylko ożywczy zapach kawy przyniesionej przez Marthę.

– Naprawdę? – spytała. – Czym pachnie?

– Jakby długo nie wietrzono.

– Nie jestem w formie, więc przewietrz później. Zimne powietrze mogłoby mi zaszkodzić.

– Naturalnie. Potrzebuje pani jeszcze czegoś, pani March? – Martha stała ze spuszczonej ramionami, patrząc w stronę

łazienki. Pani March podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła nieskładny rząd poduszek ułożony poprzedniego wieczoru pod drzwiami. – Nie, w tej chwili niczego mi nie potrzeba – odparła ostro. – Dziękuję, Martho.

Zamknęła drzwi za służącą. Krótkie wstawki pani March – „niczego mi nie potrzeba”, „niezupełnie”, „ach, chyba tak” – prawdopodobnie denerwowały Marthę, uważającą niezdecydowanie za słabość i oznakę marnotrawstwa, oczywisty dowód zbyt pobłażliwych metod wychowawczych w dzieciństwie.

Pani March zajęła się śniadaniem, podanym na ozdobnej porcelanie w kwiatki kupionej na targu na przedmieściach Paryża. Aspiryna leżała na osobnym ręcznie malowanym talerzyku. Martha, nieproszona, usmażyła kilka grubych platów tłustego boczku. Pani March, ku własnemu zaskoczeniu, chwyciła je rękami, śliniąc się na widok tłuszczu spływającego po nadgarstkach.

Rozpuściła aspirynę w szklance wody, mieszając ją łyżeczką. Kiedy opróżniała szklankę, usłyszała za plecami szelest i zobaczyła kopertę wsuwaną pod drzwi sypialni. Podeszła na palcach, na wypadek gdyby George ciągle stał po drugiej stronie, i natychmiast poznała jasnożółtą papeterię, ciemnoczerwone inicjały G.M. (nie miał drugiego imienia). Przed trzynastu laty pomogła mu ją wybrać w ekskluzywnym sklepie z artykułami piśmiennymi firmy Dempsey & Carroll, gdy otrzymał pierwszą wysoką zaliczkę za powieść. Od tamtej pory zawsze używał tego samego wzoru.

Koperta leżała na dywanie przez całą wieczność, aż wreszcie pani March podniosła ją i rozerwała. W środku znajdowało się zaproszenie: „Zawieszenie broni? O szóstej w restauracji Tartt's?”.

Zmiała bilecik i kopertę, po czym wrzuciła je do wygaszonego kominka.

* * *

Spędziła cały ranek w sypialni. Czytała, piłowała paznokcie i unikała George'a. Po wejściu do łazienki gwałtownym ruchem zapalała światło, próbując zaskoczyć karaluchy. Lustrowała podłogę i zaglądała pod umywalkę, lecz żadnego nie spostrzegła.

W porze lunchu przestała się ukrywać. Martha donośnym głosem obwieściła, że podano do stołu, i pani March usłyszała skrzypienie otwieranych drzwi gabinetu George'a – znajdowały się naprzeciwko sypialni. Przejrzała się w lustrze w łazience, wsunęła luźne kosmyki włosów za ciagle obolałe, lekko oparzone ucho i poszła do jadalni.

Drewnianą podłogę przetarto na mokro, a choinkę i kanapy ustawiono w dawnych miejscach. Kiedy pani March weszła przez przeszklone drzwi, George siedział już przy stole na zwykłym miejscu i nalewał sobie szklanek wody. Usiadła w milczeniu, po czym skupiła uwagę na swoich skórzanych półbutach i haftowanej serwetce leżącej na kolanach, by nie patrzeć mężowi w oczy. Mimo to miała wrażenie, że dostrzega jego rozmazaną twarz i dziwnie wyszczerzone zęby. Odchrząknęła i wyjęła z koszyka kromkę chleba z oliwkami. Zaczęła kupować ulubione pieczywo w cukierni, w której zamówiła desery na przyjęcie. Był to mały sklepik poniżej poziomu ulicy, wciśnięty między pralnię samoobsługową a tanie studio paznokci – zupełnie niepodobny do przytulnej, gustownej, wręcz magicznej cukierni Patricii, ale była to niewielka cena za to, by nigdy więcej nie oglądać właścicielki.

– Dzwoniła Gabriella – odezwał się George, tak nagle przerywając milczenie, że pani March podskoczyła na fotelu. – Ciągłe nie znalazła papierośnicy.

Pani March nie odpowiedziała. Schowała srebrną papierośnicę w jednej z szuflad z bielizną, starannie owinąwszy ją szalem z organzy. Gabriella postępowała nieodpowiedzialnie: zabierała papierośnicę na przyjęcia i zostawiała byle gdzie. Dobrze jej tak.

– A zatem przyjmiesz moje zaproszenie na kolację? – ciągnął George, zdając sobie sprawę, że temat papierośnicy jest wyczerpany.

Pani March wzruszyła ramionami, smarując masłem kromkę chleba.

– Nie chcę, żebyś zapraszał mnie z obowiązku.

– Wcale nie zapraszam cię z obowiązku. Chętnie zjem z tobą kolację. Byłbym naprawdę zachwycony.

– Cóż, traktujesz mnie jak dziecko, próbujesz mnie rozpieszczać.

– Dobrze już, dobrze – rzekł George, unosząc dłonie w geście kapitulacji. – Wybierzemy się na kolację, by uczcić wspaniałe przyjęcie wydane przez moją żonę.

– Więc... to będzie kolacja na cześć kolacji?

Chciała, by George poczuł się głupio, lecz na jego twarzy pojawił się entuzjizm.

– Kolacja na cześć kolacji! – zawołał. – Bardzo mi się to podoba. To coś w naszym stylu, prawda? – Uniósł do ust dłonie pani March i pocałował ją w palce.

Nie czuła, że to coś w ich stylu, choć nie miała pojęcia, co byłoby w ich stylu. Przyszła jej do głowy intrygująca myśl. Kim tak naprawdę są? Kiedyś śmiali się, kłócili i gadali do późnej nocy. Piszczala, gdy całował ją w szyję, i prychała z udawanym

niezadowoleniem, gdy klepał ją w pupę w czasie wychodzenia z metra. Prawda? A może pamięta te sceny z filmów i książek? Spojrzała z ukosa na George'a, który z apetytem jadł podsmażone grzyby. Kim jest ten człowiek?

XI

Pojechali do restauracji taksówką. Mogliby iść pieszo, lecz na chodnikach stały kałuże wody, a wieczorne powietrze było wilgotne i zimne. Poza tym pani March włożyła szpilki.

– Małpi Bar coraz bardziej schodzi na psy – odezwał się George, gdy taksówka jechała 54th Street.

– Hm... – mruknęła pani March.

Romantyczne kolacje wśród krzykliwych, komiksowych murali Małpiego Baru były wieloletnią tradycją. Z czasem George zaczął tam zapraszać przyjaciół i współników. Zawsze lubił ostentację i przepych, a później szybko się nudził, gdy przyzwyczajał się do otoczenia. W końcu zamienili lustrzane kolumny i pokryte czerwoną skórą boksy Małpiego Baru na spokojne wnętrza restauracji Tartt's, gdzie na ścianach wisiały tapety.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku, rozchlapując wodę. Podbiegł do niej z parasolem umundurowany odźwierny. Weszli do restauracji punktualnie o szóstej, a maître d'hôtel, tęgi mężczyzna z przylizanymi włosami i perkatym nosem, spytał, pod jakim nazwiskiem zarezerwowali stolik. George podał własne nazwisko. Pani March obserwowała twarz maître d'hôtel, lecz kierownik sali nie okazał, że poznaje sławnego pisarza. Z kamiennym wyrazem twarzy odfajkował ich w notesie i zaprowadził do stolika.

– Dlaczego nie zamówiłeś gabinetu? – spytała, gdy zajęli miejsca, a maître się oddalił. Zwykle siadali w niewielkim boksie

oddzielonym od głównej sali grubą kotarą z pomponami. Czuła się tam jak królowa i była całkowicie bezpieczna.

– Zarezerwowałem miejsce dopiero dziś rano i z trudem znalazłem stolik – odparł George.

– Nie daliby ci lepszego stolika, gdybyś się przedstawił?

– Daj spokój, kochanie, ten stolik jest świetny. Poza tym nie chciałem, żeby mnie wzięli za głupawego zarozumialca.

– Tak, chyba masz rację – rzekła pani March, choć wcale tak nie uważała. Wyciągnęła szyję i rozejrzała się po lokalu. Był urządzony ze smakiem, panował w nim półmrok. Przy stolikach siedziało wielu gości i ciągle przybywali nowi, wszyscy nienagannie ubrani i uczesani. Nikt nie zwracał na nich uwagi ani nie poznał George’a, co dawniej zirytowałoby panią March, ale tego dnia przyniosło jej ulgę. Spojrzała na menu. „Szczawik, zabaglione z winem marsala, dynia kabocha...” Na piersi George’a kołysały się na sznurku szylkretowe okulary, niekiedy zahaczając w guziki koszuli. Zerknęła na niego znad menu i odchrząknęła, lecz nie zwrócił na to uwagi. Kiedy w końcu założył okulary, by przeczytać kartę win, pani March pochyliła głowę i popatrzyła na listę przystawek o niezrozumiałych nazwach.

– Wszystko wydaje się pyszne, kochanie – powiedziała. – Nie mogę się zdecydować. Zamów coś dla mnie, dobrze?

– W porządku – odparł George, nie podnosząc wzroku. – I poproszę o jakieś fantastyczne wino.

Pojawił się przygarbiony kelner, trzymający przed sobą złożone dłonie, jakby prosił o litość. Przyjął zamówienie z wyuczoną ostrożnością („Już się państwo zdecydowali? Mają państwo jakieś specjalne życzenia?”). George wymieniał nazwy potraw. Pani March

po chwili przestała słuchać. Nie zwracała uwagi na otoczenie – gwar i brzęk sztućców na chwilę ucichły. Usłyszała, jak kelner pyta George'a, czy naprawdę chcą zamówić deser Baked Alaska, ponieważ jego przygotowanie zajmie bardzo dużo czasu. Miała wrażenie, że wynurza się z wody, i usłyszała twierdzącą odpowiedź George'a. Nie pytano jej o zdanie, ale to dobrze, bo zawsze żałowała zamówienia lub niezamówienia deseru. Lepiej, by George sam podjął decyzję. Przed wielu laty zrezygnowała z diety, bo nie potrafiła jej przestrzegać. Pod nieobecność Marthy zawsze ulegała dziwacznym kaprysom pochodzącym z czasów, gdy była małą dziewczynką (ciasteczka i ryż, jogurt z sosem pomidorowym).

Spojrzała na talerz z duszonymi brzytwiakami atlantyckimi, specjał wieczoru. Nie spostrzegła, że go przed nią postawiono. Czy jedli już przystawki? Nie pamiętała, by George je zamawiał. Brzytwiak wyglądał jak ryba z filmu rysunkowego, miał kolorowe paski i jasnożółte ślepia. Przesuwała rybę po talerzu, nie mając ochoty jeść, gdy tymczasem George pałaszował swoją porcję. Brzytwiak patrzył na panią March, jego źrenicę otaczały kolorowe obwódki. Nagle ryba mrugnęła. Pani March gwałtownie odsunęła krzesło i powiedziała, że musi iść do toalety.

Damska toaleta w restauracji Tartt's miała zaskakująco poważny, męski wystrój – dębowa boazeria, przyćmione światło, woń cynamonu i owoców cytrusowych. W rogu stała drewniana etażerka z książkami z drzwiczkami z drucianej siatki, a na najdalszej ścianie wisiała bardzo długa porcelanowa umywalka – zakrzywione krany przypominały łabędzie szyje. Stała przed nią kobieta, poprawiając makijaż w lustrze. Pani March usiłowała ją pozdrowić, ale kobieta nie zwróciła na nią uwagi. Pani March grzecznie zastukała w drzwi

kabiny, nie usłyszała odpowiedzi i weszła do środka. Kabina, w której się znalazła, była bardziej ozdobna niż główna sala toalety: miała własną umywalkę ze złotymi kranami i ściany wytapetowane chińskim jedwabiem. Z głośnika dobiegał męski głos, czytający audiobooka uspokajającym brytyjskim akcentem. Pani March słyszała fragmenty zdań. Podciągnęła ciasną spódnicę i ostrożnie spuściła rajstopy, starając się ich nie podrzeć.

Czuła zapach kobiety, która poprzednio korzystała z toalety. Woń jej kału, podobna do smrodu surowego mięsa. Przełknęła ślinę, powstrzymując wymioty, i wypięła się nad sedesem, starając się nie dotknąć deski, jak uczyła ją matka. Zastygła w powietrzu nad muszlą klozetową, lekko rozkołysana, czekając, aż pęcherz się opróżni. Skupiła się na audiobooku, by utrzymać równowagę.

„Zdjęła gorset o rzeźbionych fiszbinach, pożółkły od kontaktu ze spoconymi, pryszczatymi piersiami. Na fiszbinach wyryto inicjały B.M. Należały do innej kobiety, ponieważ miała na imię Johanna”.

Pani March jęknęła i strumień moczu trysnął na podłogę. Niemożliwe – czyżby pojawił się już audiobook? Niezręcznie wytarła się kawałkiem papieru toaletowego i podciągnęła rajstopy, tym razem je rozdzierając. „Przed kilku laty ukradła gorset innej prostytutce, żaloszna postać w mroku nocy”. Kiedy pani March odkręciła złoty kurek, po nodze spłynęła jej kropla moczu. „Pewien marynarz wyrzeźbił na nim inicjały B.M., wyrażając miłość, której Johanna nigdy nie doświadczyła ze strony żadnego z klientów”. Niezgrabnie opłukała ręce i sięgnęła po papierowy ręcznik, gdy nagle z głośnika dobiegł głośny, groźny głos: „Wiemy, że tam jesteś, Johanno!”. Krzyknęła, rzuciła się w stronę drzwi, szarpała poślacaną klamkę.

Kiedy wybiegła z kabiny, toaleta okazała się pusta; z jednego z kranów płynęła woda. Wrzuciła pognieciony papierowy ręcznik do kosza na śmieci i uciekła.

Wydawało się, że w restauracji zapadła cisza. Nie słyszała szczerku noży i widelców, brzęku kieliszków, gwaru głosów ani szelestu sztywnych spodni sommelierów. Cisza. Szła przez pogrążoną w półmroku salę jadalną, a goście po obu stronach ją obserwowali, obracali głowy w jej kierunku, śledzili jej kroki. Mieli poważny wyraz twarzy, jakby zamierzali wydać na nią wyrok. Gapili się na nią nawet kelnerzy, jeden znad pieczeni wołowej leżącej na wózku restauracyjnym do krojenia potraw. Nie patrzyła na nią tylko para siedząca w rogu na końcu sali i zaśmiewająca się z czegoś. Po chwili kobieta obróciła głowę, spojrzała na panią March z uśmiechem ciągle igrającym na wargach wciąż czerwonych od wina. Pani March szybko dotarła do stolika, gdzie George w dalszym ciągu pożerał brzytwiaka, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Jakby znikąd pojawił się kelner, trzymając w rękach szcypce. Wyciągnął je w stronę pani March i spojrzał jej prosto w oczy. Struchlała i zacisnęła powieki. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że położył świeżą serwetkę na jej kolanach. Sala restauracyjna wydłużyła się, obróciła do góry nogami, stała się wklęsła, jakby oglądana w krzywym lustrze, otaczała zdeformowane odbicie pani March, która nie widziała wyraźnie twarzy sędziów.

Do sali wtoczono ceremonialnie deser Baked Alaska. Kelner umieścił go na paterze między państwem March, a później efektownym gestem podpalił. Spoglądała na psychodeliczny błękitny płomień, którego półprzezroczyste spirale przywodziły na myśl białe róże więdnące w czasie suszy.

Wypiła duży łyk wina. Nienawidziła George'a za to, że ją okłamał, nienawidziła siebie za to, że zawsze tak łatwo bierze jego miłe słówka za dobrą monetę. Przyrzekła sobie, że od tej chwili będzie bardziej krytyczna. Opróżniła kieliszek, patrząc na ozdobną sztukaterię na suficie. Powinna traktować się poważniej, bardziej się cenić. Czy kiedykolwiek zdradziła samą siebie? Nie czekając na kelnera, dołała sobie wina, i w piersi wezbrała jej czułość. Jej biedna, piękna dusza zawsze stara się sprawić wszystkim przyjemność. Przyrzekła sobie z triumfem, że teraz to się zmieni.

XII

Wszystkie postanowienia zbladły w chłodnym, pragmatycznym świetle poranka. Szczególnie przygnębił ją widok następnego karalucha. Wstała w środku nocy – miała pełny pęcherz, bo wypila w czasie kolacji dużo wina. Poszła powoli do łazienki. Kiedy włączyła światło, zauważyła czarną plamkę na środku białej posadzki. Gruby karaluch pełził do przodu, poruszając wąsami. Wrzasnęła, wzywając George’a, który nie leżał w łóżku, a później tłukła pantoflem w podłogę, aż pozostała na nim tylko wilgotna czarna plama. Wytarła ją papierem toaletowym, a później wrzuciła go do muszli klozetowej. Poświęciła bardzo dużo czasu na czyszczenie podłogi i podeszwy pantofla – chyba za dużo. „Giń, przeklęty robaku!” – powiedziała na głos. Lekko się roześmiała, co ją zdziwiło.

Następnego ranka wpadła do łazienki, trzymając uniesiony pantofel. Zauważyła w lustrze swoje odbicie. Była rozczochrana, miała dziki wzrok. Ogarnęło ją współczucie dla samej siebie. Przerazała ją myśl o tym, że do budynku mógłby wejść zawodowy tępicieł robaków w roboczym drelichu i wypytywać portiera. Podczas śniadania zastanawiała się, co robić. Siedzieli w milczeniu. George czytał gazetę, a pani March mieszała herbatę i oglądała rozkładówkę. George jadł tosta; okruszki spadały na papier jak krople deszczu. Tymczasem w holu tykał zawsze wierny zegar stojący.

Zegar tykał, George jadł, wokół padały okruszki. Pani March w przypiływie natchnienia pomyślała, że pójdzie dziś do muzeum. Studiowała historię sztuki w college'u w Nowej Anglii, otoczonym przez drzewa o czerwonych i rdzawych liściach, tak oddalonym od świata, że pani March miała wrażenie, że niemal odzwierciedla jej charakter (ojciec uważał ukończenie tego kierunku studiów za „kompletny absurd” – prawdopodobnie wyobrażał sobie córkę szkicującą przez cały dzień loki koleżanek, pilującą paznokcie i czekającą na pojawienie się odpowiedniego kandydata na męża). Uwielbiała sztukę – w sensie ogólnym – ale niepokoiło ją to, że obejmuje wszystko: średniowieczne iluminacje, obrazy Kandinskiego, awangardowe opery i dzieła literackie, architekturę baroku. Na ostatnim roku chodziła na zajęcia z historii kina ze studentami wydziału teatralnego należącymi do cyganerii artystycznej i z nonszalancką obojętnością paliła papierosy, które trzeba było gasić przed wejściem na wykład. Była pilną, spokojną, posłuszną studentką; uzyskiwała przyzwoite, lecz nie znakomite oceny. Najbardziej lubiła śledzić ożywione dyskusje, czym jest sztuka i jakie jest jej prawdziwe znaczenie.

– Sztuka to zamysł – powiedział kiedyś jej ulubiony profesor. – Sztuka musi nas poruszać. W różny sposób, pozytywny albo negatywny. Doceniamy sztukę, gdy rozumiemy, co artysta chciał wyrazić. Nie zawsze musimy chcieć powiesić obraz w salonie.

Na przestrzeni lat pani March wiele razy powtarzała te słowa w trakcie kolacji organizowanych przez instytucje charytatywne, przyjęć po premierach książek George'a i na ceremoniach wręczenia nagród literackich. Nigdy nie próbowała zrozumieć treści słów

profesora i nigdy nie przyznała, nawet przed sobą, że nie umiałaby tego zrobić.

Mimo to podobało jej się, że posiadała wiedzę dającą niewielką przewagę intelektualną nad innymi ludźmi. Lubiła odwiedzać muzea. Kiedy chodziła po chłodnych, cichych salach, wyobrażała sobie, że spotka ją przypadkiem jeden ze znajomych, podziwiającą dzieła sztuki.

Postanowiła iść dzisiaj do muzeum – wszystkie problemy znikną. Piła z uśmiechem herbatę.

* * *

Było chłodno, ale słońce od dawna nie świeciło tak jasno. W przyptywie optymizmu poszła na piechotę i zostawiła w domu parasolkę, którą często zabierała ze sobą na wszelki wypadek. Jeśli zacznie padać, złapie taksówkę, choć zawsze czuła się niezręcznie, zamawiając taki krótki kurs.

Chłodne poranne powietrze sprawiło, że ludzie mieli zaczerwienione policzki i ciekło im z nosów. Pani March miała wrażenie, że widzi Nowy Jork po raz pierwszy. Idąc ulicą, uśmiechnęła się na widok starej kanapy stojącej na chodniku obok przepełnionego pojemnika na śmieci – z tapicerki sterczały kosmyki watoliny. Minęła rząd ładnie pachnących choinek opartych o rusztowanie i kiwnęła dłonią skulonym sprzedawcom chuchającym w ręce. Po drugiej stronie ulicy stał wózek z hot dogami z parasolem w paski; sprzedawcą był mężczyzna z twarzą pokrytą siecią czerwonych żyłek. Inni handlarze oferowali obwarzanki podgrzewane promiennikami ciepła. Kupiła za resztkę drobnych pieczone kasztany w papierowej tutce. Wsunęła ją do

torebki, nie mając zamiaru jeść kasztanów – po prostu lubiła ich zapach.

Minęła starszą panią w sztucznym futrze pchającą spacerówkę z dzieckiem. Miała siwe włosy ostrzyżone na jeża – krótkie jak u chłopca – co zaimponowało pani March. Nigdy tak odważnie nie ujawniłaby swojego wieku. Tylko chude kobiety dobrze wyglądają z krótkimi włosami, a biorąc pod uwagę tempo przyrostu tłuszczu na brzuchu, jest bardzo wątpliwe, że zostanie chudą babcią.

Kiedy zbliżyła się do majestatycznego budynku z secesyjnym frontonem, w jej sercu wezbrała nieszczera duma. Między greckimi kolumnami wisiały czerwone banery z zapowiedziami wystaw. Czuła się dzięki nim ważna, lecz zdawała sobie sprawę, że jest w tym odrobina oszustwa, jakby próbowała czerpać siłę z miejsca, które nie ma z nią nic wspólnego.

O tej porze dnia muzeum było prawie puste, z wyjątkiem nielicznych turystów i wycieczek szkolnych z przewodnikami. Minęła ją grupa zmierzająca do wyjścia i pani March kątem oka zauważyła znajomą koszulkę z nadrukowanymi raketami tenisowymi. W mrocznym zakamarku jej umysłu pojawił się niepokój, gdy wszystko sobie przypomniała – kojarzyło się to z wonią gnijącego owocu pozostawionego z tyłu lodówki – ale kiedy popatrzyła na mężczyznę, okazało się, że to wcale nie mężczyzna, tylko kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym z nadrukowanymi truskawkami.

Szła w stronę galerii na piętrze. W przestronnych salach rozbrzmiewał stukot jej obcasów.

Ludzie widoczni na portretach jej potrzebowali. Zawsze na nią patrzyli, niezależnie od tego, w którym kącie się znajdowała.

Niektórzy nawet wyciągali szyje, by na nią spojrzeć. „Popatrz na mnie!” – zdawali się mówić. Pani March szła niekończącym się labiryntem korytarzy, w każdej sali wystawowej roilo się od oczu, rąk i zmarszczonych czoł. Minęła obraz olejny przedstawiający Jezusa, którego storturowane ciało zdejmowano z krzyża na stos luksusowych tkanin w odcieniach czerwieni i błękitu. Znała takie obrazy, przypominały jej niedzielne poranki w kościele. Rodzice lubili chodzić do kościoła Świętego Patryka, położonego niedaleko apartamentu, przy tej samej ulicy. Kazania ją nudziły. Pewnego dnia pochyliła się w stronę matki i spytała szeptem, dlaczego kobiety nie mogą być duchownymi. „Kobiety zachodzą w ciążę” – szepnęła w odpowiedzi matka.

Spoglądała w tej chwili na scenę ukrzyżowania, w której Chrystus patrzył w niebo z uniesionymi brwiami i lekko rozchylonymi ustami. Męka malująca się na jego twarzy była tak dramatyczna, tak niezmienna, że pani March doszła do wniosku, że ma w sobie coś bardzo kobiecego.

Doszła do końca sali, skręciła w prawo i znalazła się w galerii, w której eksponowano w barokowej złoczonej ramie mniej popularną wersję *Dziewczyny z perłą* Vermeera. Przekrzywiła głowę i spojrzała na portret. Dziewczyna, owinięta lśniącym, jedwabnym szalem, była wyjątkowo brzydka. Jej twarz wydawała się dziwaczna – duże czoło, szeroko rozstawione oczy, prawie niewidoczne brwi. Gdyby się nie uśmiechała, wyglądałaby przerażająco. Jej uśmiech również miał w sobie coś niepokojącego. Jakby wiedziała, że widza czeka ponury los, i sprawiało jej to przyjemność.

– Cześć, Kiki! – powiedziała pani March.

Po raz pierwszy zobaczyła ten portret, gdy odwiedziła muzeum z rodzicami, zbliżając się do okresu dojrzewania. Na początku myślała, że dziewczyna jest ograniczona umysłowo albo – jak krzyczały okrutne dzieci na dziedzińcu szkolnym – przygłupia. Lekko zezowała, puste spojrzenie miało w sobie coś głupkowatego. Kiedy pani March po raz pierwszy zobaczyła obraz, schowała się za plecami ojca, a później wyjrzała zza fałd jego marynarki. Przysięgłaby, że dziewczyna się do niej uśmiecha.

Natychmiast dostrzegła podobieństwo między sobą a dziewczyną na portrecie: blada cera, brzydki wygląd i, tak, głupawy uśmiech. W domu było wiele nieudanych fotografii pani March, które to potwierdzały.

Tej nocy, w ciemnej sypialni, obudziła się, słysząc ciężki, ochryply oddech. Była to dziewczyna z portretu, która w dziwny sposób przyszła za nią do domu. Na początku ogarnęła ją panika, ale po kilku wieczorach oddech się uspokoił i nawiązała rozmowę z dziewczyną.

Wkrótce spotykała się z nią codziennie: bawiła się, kąpała z nią, marzyła o niej. Twarz dziewczyny zlała się z jej własną: nie była to już osoba przedstawiona na portrecie, ale bliźniaczka, którą nazwała Kiki. Rodzice, którym pani March niezgrabnie przedstawiła Kiki przy kolacji, uznali to za dziecinny kaprys. Kiki zaczęła się pojawiać przy każdym posiłku. Znajoma pani psycholog, spytana mimochodem, by nie wywoływać podejrzeń, spekulowała, że Kiki to skomplikowany konstrukt myślowy pozwalający pani March wyrażać uczucia. Na przykład Kiki, podobnie jak pani March, nie lubiła placków nadziewanych dynią, więc pani March prosiła, by ich nie podawano.

Kiki nie lubiła chłodu, więc pokojówkę proszono, by okna otwierano na krótko.

Pani March wszędzie zabierała ze sobą Kiki, która podpowiadała jej szeptem rozwiązania na teście z matematyki. Kiki rozśmieszała panią March, gdy matka oglądała próbki zasłon w domu towarowym. Pani March telefonowała do koleżanek ze szkoły i mówiła, że odwiedziła ją kuzynka Kiki, po czym oddawała jej słuchawkę i zaczynała infantylnie seplenić. Pewnego razu napisała list wychwalający samą siebie – lewą ręką, by nikt nie poznał jej charakteru pisma – i pokazywała go z dumą koleżankom z klasy, twierdząc, że otrzymała go od Kiki. Wkrótce potem jedna z koleżanek oświadczyła, że pani March nie jest już mile widzianym gościem na spotkaniach grupy przyjaciółek, bo jest kłamczuchą. „Nie kłamałam” – odpowiedziała z oburzeniem pani March. Zdawała sobie sprawę, że kłamała, ale nie byłaby w stanie znieść upokorzenia; nie potrafiłaby wytłumaczyć, dlaczego zrobiła coś tak absurdalnego. Pani March bardzo wstydziła się tych wspomnień. Nigdy nikomu nie powiedziała, jak daleko posunęła się z fikcyjną przyjaciółką.

Po raz ostatni popatrzyła badawczo na dziewczynę, swoją Kiki, która odwzajemniła spojrzenie, zaciskając wargi. Miała zmęczone oczy i wydawała się niemal zawiedziona.

XIII

Pani March spędziła następny dzień na przygotowaniach do powrotu syna z wycieczki szkolnej. Zgromadziła w lodówce zapas mleka czekoladowego, korbaczy serowych i frankfurterek, a w spiżarni irysy i ciasteczka z nugatem. Ułożyła na półce pluszaki – od największego do najmniejszego. Nie zauważyła karaluchów, a tylna część ucha się zagoiła i strupek odpadł. Gdyby miała nazwać swój nastrój, powiedziałaaby, że jest zadowolona, z braku lepszego słowa.

Poprawiała poduszki na łóżku Jonathana i zaczęła cicho nucić: „Wiję gniazdo, gniazdo, gniazdo”. Po raz ostatni robiła to, gdy była w ciąży. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, pojawiły się nieprzyjemne wspomnienia. Baby shower, na które ozdobiła salon bocianami wyciętymi z papieru i błękitnymi serpentynami. Zaprosiła Mary Anne, koleżankę z pokoju w akademiku, w nadziei, że będzie jej zazdrościć poderwania George’a („George March to najprzystojniejszy mężczyzna na kampusie”), oraz Jill, nudną znajomą, która przyczepiła się do pani March w szkole średniej, aż wszyscy uznali, że są przyjaciółkami. Pojawiło się również dwóch kuzynów George’a, a także jego dawny student, który wydawał się niezadowolony z obecności na przyjęciu. Członkowie rodziny pani March nie mogli przyjść.

Pani March poszła do toalety dla uczestników przyjęcia, czując gwałtowne mdłości. Między spazmatycznymi wymiotami usłyszała,

jak jedna z kobiet mówi do pozostałych: „Nie jest przygotowana do urodzenia dziecka. Nie dba o siebie”. Druga zauważyła: „I to z kimś, kto miał już dziecko?! Nie wyobrażam sobie, że mogłabym się zdecydować na coś takiego. Nie będzie się interesował ciążą, nowym dzieckiem. Już to wszystko przeżył! Po co miałby zawracać sobie głowę?!”. Kiedy pani March spuszczała wodę, przysięgłaby, że rozległy się chichoty.

Wytała usta i wróciła do salonu, uśmiechając się szeroko. „Już jestem!” – oświadczyła z teatralną emfazą, choć mówiła drżącym głosem. Zaproszona przez rozbawionych gości, którzy z radością mierzyli jej brzuch sznurkiem, wzięła udział w kilku upokarzających zabawach – na przykład „odgadnij wagę malucha”. Po chwili przeprosiła, twierdząc, że znowu zbiera jej się na wymioty, i wyprosiła z domu uczestników przyjęcia. Stała samotnie w pokoju dziecięcym, patrząc na hak w suficie, na którym należałoby powiesić kolorowe mobile, choć nigdy się do tego nie zabrała. Wzięła resztki jedzenia, ozdoby i prezenty dla dziecka, a następnie wepchnęła je do wielkiej czarnej torby na śmieci i wyrzuciła.

Później nastąpił poród, który okazał się koszmarem. Pamiętała, jak lekarz rozsunął jej spocone nogi. Bez przekonania walczyła, półprzytomnie próbując je zacisnąć, by jaskrawy reflektor nie oświetlał jej waginy. Kiedy pielęgniarka wyjęła podkładkę chłonną – oczywistą oznakę defekacji – pani March się rozszochała, choć w jej oczach nie pojawiły się łzy. Zespół medyczny uznał to za reakcję hormonalną, jednak świadomość, że godzinami leżała naga i dotykano jej genitaliów, była nie do zniesienia. Zrozumiała, że zależało im tylko na dziecku. Nikogo nie obchodziła.

Odurzona lekami, zapadła w letarg, który lekarze nazywali „rekonwalescencją”. Nagle obudziła się na szpitalnym łóżku i zobaczyła ojca siedzącego obok i czytającego gazetę, co było niespodzianką, bo nie żył od dwóch lat. „Papo!” – wołała do niego wielokrotnie. Ani razu nie uniósł oczu.

Po porodzie całymi garściami wypadały jej włosy. Wyciekał z niej gęsty, krwisty śluz. Podpaski nie radziły sobie z mięsistymi włóknami, a pampersy dla dorosłych z pudełka, które ukrywała przed gośćmi, chrzęściły głośno przy każdym ruchu. Blizny wolno się goiły, wywoływały dyskomfort nawet po miesiącu rekonwalescencji. Ale nie to było najgorsze. Zajście w ciążę miało w sobie coś wyjątkowego. Ludzie – przyjaciele, członkowie rodziny, nieznajomi w sklepach i restauracjach – uśmiechali się do pani March, okazali jej życzliwość, zwracała powszechną uwagę. Po porodzie, kiedy brzuch zniknął, nie zbliżały się już do niej podekscytowane ekspedientki, by spytać o termin porodu, i nikt nie proponował, że zanieśie jej zakupy do domu albo ją podwiezie.

Na początku znajomi wpadali obejrzyć niemowlę, sąsiedzi pytali o nie w windzie. Kiedy Jonathan zaczął chodzić, zupełnie stracili zainteresowanie i pani March znowu utonęła w cichej mgłę obojętności. Obwinięła o to syna, który sprawił, że jej ciało stało się brzydkie, a ona i George przestali uprawiać seks. Była zła na Jonathana, lecz dręczyło ją poczucie winy: drobne, pokryte cieniutkimi żyłkami, mlecznobiałe ciało syna wydawało jej się kruche, narażone na zranienie. Z przymusu sprawdzała, czy oddycha, nawet trzydzieści albo czterdzieści razy dziennie. Pewnego dnia popędziła do mieszkania w środku przedstawienia *Jeziora łabędziego*. Nuciała pod nosem główny motyw muzyczny baletu,

biegnąc przez Central Park. Zaniepokoiła bezdomnych i nianię, kiedy wpadła z falującą piersią do pokoju dziecięcego.

Stawała nieruchomo nad łóżeczkiem, czasem w środku nocy – w nieświeżej koszuli nocnej, z długimi, przetłuszczonymi włosami opadającymi na barki. Obserwowała unoszący się i opadający brzusek Jonathana, za każdym razem myśląc, że to tylko przywidzenie, i czekając, by znowu odetchnął. Po kilku niepokojących nocnych spotkaniach z milczącą, podobną do widma panią March George zainteresował i zaangażował stałą opiekunkę do dziecka. Pani March w dalszym ciągu czuła się zobowiązana kontrolować stan syna, ale teraz, gdy znajdował się pod opieką bardziej wykwalifikowanej osoby, potrzeba nieco osłabła.

Kiedy składała koc na łóżku Jonathana, uderzyło ją, od jak dawna do niego nie zaglądała. Nigdy nie był kłopotliwym dzieckiem, dobrze spał w nocy, nie obawiał się potworów kryjących się pod łóżkiem albo w szafie – stał się bardziej samodzielny, a pani March przypuszczała, że po prostu się do tego przyzwyczaiła. Mimo to czasem dręczyło ją poczucie winy: „Dlaczego bardziej się o niego nie troszczę?”. Czy nie powinna go odebrać po wycieczce szkolnej, zamiast pozwolić mu wrócić z Millerami, rodzicami kolegi mieszkającymi kilka pięter wyżej? Ale jak miała to zrobić? Nie potrafiła prowadzić auta, a George podpisywał książki w centrum miasta.

Millerowie wydawali się sympatyczni, choć nie podobał jej się sposób, w jaki Sheila Miller niekiedy spogląda na nią ze współczującym uśmiechem. Strzygła krótko włosy, odsłaniając szyję. Millerowie zawsze manifestacyjnie okazywali sobie czułość, trzymali

się za ręce albo gładzili się po plecach, jakby nie mogli się pohamować. To także budziło niechęć pani March.

„Może tylko udają namiętność?” – fantazjowała. A może, zastanawiała się, czując elektryczny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa, pan Miller ukrywa swój homoseksualizm i Sheila płacze każdej nocy, marząc o tym, by w sypialni dotykał jej równie intymnie jak w miejscach publicznych?

Kiedy Sheila Miller zastukała do drzwi apartamentu numer sześćset sześć, okazało się, że pojawiła się bez męża. Nieco zbyt ostentacyjnie pragnęła wydawać się chłodną, nowoczesną matką: nosiła obcisłe džinsy wsunięte w błyszczące, kolorowe śniegowce – zdaniem pani March nieodpowiednie do wieku. Najbardziej drażniło i złościło panią March to, że Sheila wygląda tak ładnie, bezpretensjonalnie. Była kobietą, którą mógłby się przechwalać syn, podkreślając, że robi wszystko idealnie. Matką będącą również przyjaciółką. Matka pani March często mówiła do córki: „Nie jestem twoją koleżanką ani nie zamierzam nią zostać. Jestem twoją matką”. Pani March wiedziała, że nigdy nie powinna zwracać się do matki ze sprawami, o których może porozmawiać z dziewczynami w swoim wieku.

Kiedy pani March otworzyła drzwi, Sheila się rozpromieniła. Jak zawsze spojrzała prosto w oczy pani March, która natychmiast wbiła wzrok w podłogę. Za Sheilą wszedł do apartamentu Jonathan. Jonathan – z zadartym nosem i ciemnymi podkówkami pod oczami, co nadawało mu melancholijny wyraz i sprawiło, że George, pod wpływem pretensjonalnego kaprysu literackiego, zaczął go nazywać „Edgarem Allanem Poem”. Jonathan był wyjątkowo miękki jak na chłopca w swoim wieku, choć potrafił zachowywać się hałaśliwie

w towarzystwie przyjaciół. W obecności kolegi wydawał dźwięki, których w innym przypadku nigdy się nie słyszało – chichotał, wrzeszczał, ryczał jak osioł – hałasy rozlegające się w apartamencie przywodziły na myśl dźwięki wydawane przez oszalałe widma.

Pani March pochyliła się i uściskała syna. Uśmiechała się tak szeroko, że miała wrażenie, że pęknie jej skóra na policzkach. Zaczęła mówić śpiewnym głosem, którego nie używała w normalnych sytuacjach. Włosy Jonathana pachniały zimnem i trochę dymem, jak z ogniska. Milczał, odpowiadając na piskliwe pytania („Dobrze się bawiłeś?”, „Czy to ładne miejsce?”, „Cały czas padał śnieg?”), i bawił się kostką Rubika, którą – jak wyjaśniła Sheila – podarował Jonathanowi jej syn. Alec, syn Sheili, stał w holu przed drzwiami i pokręcił przecząco głową, gdy pani March zaproponowała mu mleko czekoladowe.

– Myślę, że ciągle są objedzeni słodyczami i frytkami, które pożarli w ciągu ostatnich kilku dni – powiedziała Sheila, udając, że ją to gniewa. Mrugnęła do pani March, która nie była pewna, jak zareagować.

– Cóż, bardzo dziękuję, że się nim zaopiekowałaś, Sheilo – powiedziała pani March. – Chcesz się czegoś napić? Herbaty? Wody?

– Nie, dziękuję. Zostawimy cię w spokoju, żebyś mogła spędzić resztę dnia z synem.

– Doskonale – odparła pani March, czując ulgę, że nie będzie musiała prowadzić dalszej rozmowy. – Daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała.

– Okej, pa! Powiedz pa, Alec!

Alec szedł już w stronę windy. Sheila spojrzała na panią March i wzruszyła ramionami – ach, ci chłopcy! – po czym podążyła za

synem. Pani March zamknęła drzwi. Kiedy się odwróciła, okazało się, że Jonathan zniknął. Przypuszczała, że pobiegł do swojego pokoju, by się przywitać z ulubionymi pluszakami, obejrzyć znajome otoczenie, ale kiedy wyszła do holu, zauważyła, że jest w kuchni i rozmawia z Marthą podekscytowanym szeptem.

– Zjadłem robaka – mówił. – Podjudzili mnie i go połknąłem!

Pani March poszła dalej. Wstydziła się przerywać.

XIV

Rodzice pani March, z domu Kirby, zawsze zatrudniali służące. Słabo pamiętała kolejne pokojówki, kucharki i nianie stanowiące część jej dzieciństwa – z wyjątkiem jednej.

Alma była ostatnią gospożą mieszkającą na stałe w domu. Ściśle biorąc, w ciasnej, pozbawionej okien klitce obok kuchni. Początkowo miała to być pralnia, ale pani Kirby przebudowała pomieszczenie: zainstalowała zlew i niewielki prysznic.

Alma była tęga, miała oliwkową cerę i długie czarne włosy, splecione w warkocz gruby jak cuma okrętowa. Zawsze czymś je zasłaniała, ponieważ matka pani March uważała popisywanie się pięknymi włosami za osobisty afront. Alma mówiła miłym, śpiewnym, emocjonalnym głosem i często wtrącała meksykańskie wyrazy. Pani March, mająca wtedy około dziesięciu lat, nigdy wcześniej nie spotkała skromnej, nieatrakcyjnej kobiety tak otwarcie śmiejącej się ze swoich wad – nie, wręcz się nimi pyszniącej.

– Bardzo dużo jesz – powiedziała kiedyś Almie, patrząc, jak pożera przy stole w kuchni indyjskie pierożki samosa.

– Tak, wiem! Dlatego jestem taka tłuściutka! – odparła służąca, ściskając palcami fałdę na brzuchu. Zupełnie nie wstydziła się swojej tuszy. Zmysłowa, wręcz bezwstydna przyjemność obżerania się robiła ogromne wrażenie na pani March, dorastającej w otoczeniu kobiet, które stale się głodziły. Lisa, starsza siostra pani March, zawsze pulchna, wróciła z college’u o połowę chudsza, obsesyjnie

uprawiająca jogging. Pani March była świadkiem, jak przyjaciółki matki stale traciły na wadze, szukając pretekstów, by nic nie jeść („Śniadanie było takie obfite...”, „O tej porze nie jestem głodna, ale odrobnię to przy kolacji!”, „Strasznie się obżerałam w czasie urlopu!”). Dieta miała dla nich ogromne znaczenie, stanowiła coś w rodzaju nieustannej pokuty. Matka pani March ledwo dziobała jedzenie, jakby się obawiała, że może jej skoczyć do gardła. Kiedy miała urodzić panią March, była tak niedożywiona, że poród okazał się przedwczesny. Między kartami rodzinnego albumu fotograficznego znajdowało się luźne zdjęcie pani March w inkubatorze: mała różowa istotka z komicznie wielką plastikową zawieszka szpitalną na nadgarstku. Nie rozpoznawała siebie: niemowlę miało pomarszczoną skórę i opuchnięte, wytrzeszczone oczy. Często się zastanawiała, czy to prawdziwe dziecko rodziców, zmarłe w niemowlęctwie. Może rodzice ją adoptowali, bo musieli znaleźć inne, by zastąpiło to, które zmarło?

W albumie znajdowało się wiele fotografii przedstawiających matkę w ciąży, chudą i bladą, z papierosem przyklejonym do wąskich warg. Wypukły brzuch był ledwo widoczny pod letnią sukienką. Późniejsze zdjęcia ukazywały matkę trzymającą nowo narodzoną córkę, której sterczący łokieć przypominał gałązkę drzewa.

Alma była krągła i gruba, z wyjątkiem kościstych, chudych palców o brązowych stawach, które kończyły się długimi paznokciami pomalowanymi na fioletowo. Pani March chodziła za nią po apartamencie i rozmawiała w czasie sprzątania. Często pośpiesznie pochłaniała kolację w jadalni, by pójść do Almy, która spożywała ją w kuchni.

Alma opowiadała ciekawe historyjki: wspomnienia z dzieciństwa i stare meksykańskie bajki. Nauczyła panią March obierać mortadelę i wkładać noże do zmywarki czubkami w dół, by się nie skaleczyć.

Okazała się miłą towarzyszką w trakcie śniadań, bo inaczej pani March jadłaby sama – siostra była w college’u, ojciec pojechał do pracy, a matka jadła twarożek i grejpfruta w łóżku. Alma zadawała pytania (co słyhać w szkole, czy ma wiele przyjaciółek, kto jest jej ulubionym nauczycielem, czy dziewczęta czasem jej dokuczają) i wydawała się szczerze zainteresowana odpowiedziami.

Pani March nie interesowała się życiem prywatnym Almy, jej dziećmi pozostawionymi w Meksyku, które otrzymywały większość poborów służącej. Alma powiesiła na ścianie nad łóżkiem ich fotografię. Pani March oglądała ją wiele razy, ale nie mogła określić ich płci z powodu włosów obciętych pod garnek i obszernych T-shirtów. Alma zawsze nazywała panią March swoją „cudowną dziewczyną” (używała słowa *chica*), ale pani March chciała ją mieć na własność. Pewnego dnia zerwała ze ściany fotografię dzieci służącej, szczerzących szczerbate zęby, i podarła je.

Kiedy Alma weszła i zobaczyła strzępy fotografii u stóp pani March, rozpląkała się gwałtownie. Kołysała się do przodu i do tyłu, zasłaniając twarz rękami. Pani March podeszła na palcach do drzwi, zawstydzona takim teatralnym pokazem emocji – nigdy nie widziała w domu czegoś takiego – i bez słowa opuściła pokój.

Nazajutrz rano, przy śniadaniu, Alma była milcząca i zamknięta w sobie. Pani March kilka razy spytała służącą, dlaczego się nie odzywa – najpierw mówiła cicho, później gwałtownie. W końcu zaczęła wrzeszczeć na Almę nad płatkami zbożowymi. Meksykanka po prostu lekko się uśmiechała.

Po upływie kilku tygodni wydawało się, że incydent poszedł w zapomnienie. Pani March znowu siadała na jednym z wysokich krzeseł stojących wokół stołu w kuchni i słuchała Almy, która opowiadała historyjki przy dźwiękach radia i skwierczeniu patelni. Podczas burz biegła w nocy do służącej i zasypiała w jej łóżku, czując wilgotny zapach kojarzący się z fasolką mung. Nazajutrz rano budziła się w swojej sypialni, nie pamiętając, jak się w niej znalazła. Złościła się, że Alma nosiła ją we śnie.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęła zadawać ból Almie. Szczypała ją, drapała, a w końcu gryzła. Na początku delikatnie, dziąsłami, a później mocno, pozostawiając na skórze czerwone, opuchnięte ślady. Alma prawie się nie skarżyła; w milczeniu odsuwała panią March albo trzymała ją za ramiona, aż się uspokoiła.

Kiedy matka pani March zauważyła na szyi Almy łukowaty ślad ugryzienia, natychmiast z tym skończyła. Panią March zaprowadzono do psychologa dziecięcego – w takim sekrecie, że sama nie wiedziała, dokąd idzie – który orzekł, że cierpi z powodu „braku zainteresowania rodziców”, a także „nie dysponuje odpowiednimi mechanizmami emocjonalnymi, by okiełznać bujną wyobraźnię”. Matka wysłuchała diagnozy z ponurą miną. Nigdy więcej nie zaprowadziła córki do psychologa i zwolniła Almę. Było to znacznie prostsze.

Pani March bardzo się starała o wszystkim zapomnieć. Wstydziała się, że uznano ją za dziewczynkę, której brakuje zainteresowania rodziców, rozpuszczoną i złośliwą. W tej chwili zastanawiała się, czy nie są to konfabulacje z dzieciństwa. Jako dorosła kobieta zachowywała się wyjątkowo potulnie.

Kiedy Alma odeszła, pani March nigdy więcej o nią nie pytała. Wiedziała, że nie powinna tego robić. Wstydziła się, że rodzice w taki spokojny, bezceremonialny sposób zaakceptowali jej zachowania; od tamtego czasu ostentacyjnie ignorowała pozostałe służące. Żadna z nich nie mieszkała w apartamencie, a dziwną małą służbówkę obok kuchni przerobiono na spiżarnię. Z czasem pani March doceniła to, że je śniadania w spokoju i samotności.

Gdy państwo Marchowie przeprowadzili się do apartamentu w dzielnicy Upper East Side, pani March odwiedziła Marthę na prośbę swojej siostry Lisy, która przez wiele lat korzystała z usług służącej i żałowała, że musiała się z nią rozstać z powodu przeprowadzki do Marylandu, by zaopiekować się umierającą teściową. Lisa mieszkała teraz w Bethesdzie, w domu z czerwonej cegły z zielonymi okiennicami na modnej ulicy. W dzielnicy, gdzie sąsiedzi znajdowali utopione dzikie zwierzęta pod brezentowymi płachtami przykrywającymi baseny, a dzieci rozgniatały mrówki na chodnikach, nim o zmroku zawołano je na kolację.

Wkrótce potem teściowa Lisy zmarła, a matka, pani Kirby, zaczęła okazywać oznaki demencji. Mieszkała samotnie w starym apartamencie na Manhattanie, ponieważ ojciec zmarł kilka lat wcześniej. Zaniepokojona pokojówka odkryła w lodówce święte obrazki, w szufladzie z bielizną pani Kirby znajdowała się ogromna kolekcja żetonów z metra i rosyjskich babuszek nie od kompletu. Pani Kirby nie wpuszczała służących do domu, twierdząc, że ich nie zna. Lisa, czując powołanie do opieki nad starszymi osobami, postanowiła umieścić ją w domu starców w Bethesdzie. Pani Kirby dożywała teraz końca swoich dni w rezydencji szczycącej się patio i ogrodem ze strzyżonymi krzewami w stylu arystokratycznych

rezydencji w Anglii. Wszystkie koszty pokrywały córki. Pani March czuła ulgę, że siostra o wszystko zadbała. Choroba matki budziła jej niepokój. Odwiedziła ją kilka razy w domu opieki i nie znosiła tych wizyt. Nie znosiła zapachu cytrynowego odświeżacza powietrza, wszechobecnej woni kału i zachowań starych pensjonariuszy, którzy stale ją nagabywali. Lisa chodziła korytarzami, czuła się w ośrodku jak u siebie w domu i z pozoru nie zwracała uwagi na zaczepki otępiałych starców chwytających ją za kardigan. Pani March doszła do wniosku, że nie warto się przejmować tym, iż siostra wzięła na siebie główny ciężar opieki nad matką. Lisa wydawała się zadowolona, a poza tym dużo podróżowała wraz z mężem (zbyt dużo, zdaniem pani March), więc i tak nie widywała matki zbyt często.

Siostra próbowała namówić Marthę, by przeprowadziła się do stanu Maryland; argumentowała, że Martha jest niezamężna i bezdzietna, więc co ją trzyma w Nowym Jorku? Martha nie miała jednak ochoty i wolała zostać w mieście. Lisa i jej mąż nie byli szczególnie zainteresowani motywami Marthy.

Kiedy pani March po raz pierwszy z nią rozmawiała, wzbudziła w niej ona lęk, ale uznała, że służąca musi wywoływać takie uczucia: powinna być surowa, nad wszystkim panować i perfekcyjnie wykonywać swoją pracę. Martha nagle stała się częścią ich domu i życia, stanowcza, prostolinijna, z szerokimi barkami, kokiem przetykanym siwizną i grubymi, zaniedbanymi paznokciami. Pani March była zadowolona, że ma służącą tak różną od Almy, że splot okoliczności sprowadził Marthę do apartamentu i kuchni, gdzie w tej chwili szeptała z Jonathanem o jakichś tajemniczych sprawach.

XV

Kiedy po przebudzeniu pani March zobaczyła kolejnego karalucha patrzącego na nią ze ściany sypialni, w końcu postanowiła wezwać tępicieła robaków. Niezobowiązująco zagadnęła portiera, czy w budynku mogą być insekty, ale stanowczo zaprzeczył i zasugerował, by pani March regularnie sprzątała mieszkanie. Roześmiała się nerwowo, zawstydzona, że uważa ją za brudasa niegodnego zajmowania apartamentu w eleganckiej kamienicy. Nie poruszała więcej tego tematu.

Kiedy jednak zauważyła na ścianie sypialni ohydny podglądacza z lśniącym czarnym pancerzem przypominającym żyłkowate, skórzaste dłonie starca, postanowiła radykalnie rozwiązać problem. Nie mogła dopuścić, by ktokolwiek się dowiedział, że w domu są karaluchy – w filmach i książkach stanowiły symbol ubóstwa i niechlujstwa. Karaluchy plenią się w brudnych spelunkach narkomanów, a nie w gustownie ozdobionych apartamentach bogaczy albo skromnych, lecz nieskazitelnie czystych mieszkaniach przedstawicieli wolnych zawodów. Nigdy nie widziała karaluchów w domu rodziców ani w dawnym mieszkaniu George'a – kiedy się poznali, wynajmował kawalerkę w pobliżu kampusu. Nie powiedziała Marcie o robakach z obawy, że uzna ją za brudasa, ale drżała na myśl, że służąca mogłaby przypadkiem zauważyć karalucha w łazience.

Zatelefonowała do zakładu dezynsekcyjnego i nazajutrz wpuściła do domu tępicieła robaków, rumianego mężczyznę w ciemnozielonym kombinezonie i ciężkich butach. Poszedł prosto do głównej łazienki apartamentu, uważając, by niczego nie potrącić pojemnikiem ze środkiem owadobójczym. Uklęknął obok sedesu, obejrzał wszystkie kąty, otwór odpływowy i szczeliny w posadzce, po czym zapewnił panią March, że w mieszkaniu nie ma karaluchów.

– Nie zauważyłem żadnego... i żadnych odchodów. Może kilka dostało się rurami? – spytał, oglądając listwę przypodłogową. – Mogły przyjść z zewnątrz albo od jednego z sąsiadów... – Pani March mocno zabiło serce, gdy pomyślała o tej ewentualności. – Jednak nie mają tu siedliska – ciągnął. – Umieszczę trochę trucizny w kątach łazienki. W ciągu następnych kilku dni może pani znaleźć parę martwych sztuk, ale proszę się nimi nie przejmować. Za kilka tygodni przestaną się w ogóle pojawiać. – Mówił, klęcząc na jednym kolanie, i gestykulował jak dowódca wyjaśniający podwładnym strategię przyszłej bitwy.

Posmarował wszystkie zakamarki trucizną, brązowym, gęstym żelem, a tymczasem pani March piła herbatę z kubka, na którym znajdował się napis: „Dzisiejszy dzień jest wspaniały!”. Kubek, stary i wyszczerbiony, pochodził z koszyka z prezentami wysłanego kiedyś przez siostrę na urodziny pani March. Sama nie kupiłaby kubka z takim napisem – wydawał się zbyt optymistyczny i budził mimowolny lęk. Kosz, piękny, spleciony z rattanu, zawierał duże, soczyste truskawki, fioletowe winogrona, butelkę świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, słodkie bułeczki pokryte warstwą lukru i bukietek stokrotek. Siostra słynęła ze starannie dobranych prezentów. Zawsze wyglądały prześlicznie. Doprawdy,

było to irytujące. Zachowywała się jak uczestniczka konkursu. Pani March prawdopodobnie ciągle miała gdzieś koszyk – zapewne ukryty na dnie szafy z bielizną pościelową. Mogłaby go znaleźć, wypełnić kwiatami, może postawić na półce albo na lodówce w kuchni. A nawet przemeblować całą kuchnię, by pasowała do koszyka – krzesła z plecionymi oparciami, czerwone bawełniane obrusy w kratę i suszone kwiaty w starych metalowych konewkach albo wiszące na drewnianych belkach na suficie. Marzenie o życiu na wsi zrealizowane w wielkim mieście.

Tępicieł robaków spojrział z podłogi na panią March.

– To powinno je zabić. Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym umył ręce?

Pożegnawszy go, pani March podążyła ostentacyjnie nonszalanckim krokiem do kuchni, po czym wyrzuciła skażony ręcznik do kosza na śmieci i kazała Marcie przygotować na lunch panierowane filety z kurczaka. Gdyby Martha zapytała o wizytę tępiciele robaków, pani March zamierzała powiedzieć, że miała ona jedynie charakter profilaktyczny, bo podobno w sąsiednim budynku pojawiły się karaluchy. Martha skwitowała skinieniem głowy prośbę o filety z kurczaka, po czym dalej obierała ziemniaki.

* * *

Po lunchu pani March siedziała w salonie, piłując paznokcie. W tle grał telewizor dotrzymujący jej towarzystwa w obojętnym domu – po powrocie ze szkoły Jonathan zamknął się w sypialni, George brał prysznic, a Martha krzątała się po jego gabinecie, sprzątając w jednej z rzadkich chwil, gdy pan domu z niego nie korzystał.

„Znaleziono ciało Sylvii Gibbler, zaginionej osiemnastego listopada. Przyczynę zgonu, chwilowo nieznaną, ustali sekcja zwłok”.

Pani March uniosła oczy znad popękanych paznokci i spojrzała na ekran telewizora, na którym widać było znajomą czarno-białą fotografię Sylvii, uśmiechniętej równie promiennie jak na wycinku z gazety w notesie George’a.

„Policja przesłuchuje przyjaciół, sąsiadów i klientów niewielkiego sklepiku z używanymi rzeczami, w którym Gibbler pracowała do chwili zniknięcia”. Na ekranie pojawił się liliowy fronton sklepu i wystawa, na której stało chaotyczne zbiorowisko niedobraniych kolorystycznie przedmiotów: starych czajniczków do herbaty i pojemników na ciastka. Na suficie wisiała błyszcząca lameta. Pani March doszła do wniosku, że najazd kamery wyglądał dość dramatycznie. Nad liliowymi drzwiami wisiał szyld ze złotym napisem: „Magiczna skrzynia”. „Niewielka, spoista społeczność Gentry jest pogrążona w żałobie, ponieważ zdaje sobie sprawę, że nigdy więcej nie ujrzy żywej Sylvii” – powiedział reporter. „Oddaję ci głos, Lindo”.

Pani March wyłączyła telewizor. Czowała ściskanie w żołądku, miała wrażenie, że wiją się w nim robaki. Ruszyła w stronę gabinetu George’a w nadziei, że w czasie jego pobytu w łazience zdąży znowu zerknąć na wycinek z gazety ukryty w notesie. Jednak zobaczyła, że mąż przechodzi z gabinetu do sypialni, po czym zaczyna pakować niewielką walizkę leżącą na łóżku.

- Co robisz, George?
- Pakuję się. Jadę do Gentry.
- Wyjeżdżasz? Dzisiaj?

Spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem.

– Zapomniałaś, kochanie? Rozmawialiśmy o tym.

– Naprawdę? Mówiłeś, że dziś wyjeżdżasz?

Pani March rzeczywiście zapomniała o wyprawie myśliwskiej z Edgarem. Wydawca George'a miał domek letniskowy w pobliżu Augusty w Maine, w bezpretensjonalnym miasteczku o nazwie Gentry. Nigdy tam nie była (nie czuła potrzeby ani nie została zaproszona), ale miała pewne wyobrażenie na temat tego miejsca na podstawie fotografii pokazywanych przez George'a. Sezony polowań były dla niej ważniejsze niż własny cykl miesięczkowy.

Patrzyła, jak George się pakuje.

– Będzie tam Edgar?

– Cóż, dziwne, gdyby się nie pojawił. To w końcu jego domek letniskowy.

Spojrzała na swoje dłonie i zauważyła zadartą skórę przy paznokciu. Zaczęła ją ogryzać.

– Po prostu mam wrażenie, że zawsze się mnie czepia. Czasami... czuję się niezręcznie.

– Bzdura! Edgar cię uwielbia. Uważa, że jesteś fantastyczna. Wiele razy mówił, że pożarłby cię na surowo.

Przypomniała sobie zadowolonego z siebie Edgara wbijającego poplamione nikotyną zęby w kremowe foie gras. Żółć podeszła jej do gardła.

– Nie rozumiem, dlaczego spędzasz tyle czasu z człowiekiem, który lubi zabijać zwierzęta. To okrutny sport.

– Wiem, co czujesz, doskonale cię rozumiem. Może się to wydawać bestialskie i niepotrzebne: kompleks wyższości do kwadratu.

– Więc dlaczego to robisz?

George popatrzył nad okularami i pochylił się nad walizką, trzymając szalik w szkocką kratę.

– To ekscytujące. Jest w tym coś pierwotnego, wręcz prehistorycznego, choć od epoki brązu wszystko się rozwodniło – uśmiechnął się. – To miłe, że troszczysz się o zwierzęta, kochanie, ale możesz być pewna, że potraktowałyby nas tak samo. Albo gorzej.

Pani March wyobrażała sobie przez chwilę łosia stojącego na tylnych nogach, trzymającego karabin, a obok martwego człowieka, trofeum czekające na pstryknięcie fotografii. Czy widziała podobny rysunek w jednym z komiksów Jonathana?

– Nie martw się – rzekł George, zapinając walizkę na suwak. – Wszystkim rządzi przepisy. Moim zdaniem nawet zbyt drobiazgowo. Prawdopodobnie łatwiej dziś polować na ludzi. – Zaśmiał się i podszedł do pani March. – Zaopiekuj się domem, dobrze?

Pocałował ją w czoło i ruszył w stronę drzwi frontowych, ciągnąc walizkę na kółkach. Widziała, jak wchodzi do sypialni Jonathana, szybko się z nim żegna i gładzi syna po włosach, po czym odprowadziła go do wyjścia. Później stała za zamkniętymi drzwiami niczym pies, który nie może pojąć, że jego pan odszedł. Delikatnie dotknęła palcami drewna, gdy wtem rozległo się głośnie pukanie, które sprawiło, że się wzdrygnęła. Spodziewając się zobaczyć roztargnionego George'a wracającego po zapomniany zimowy kapelusz, obróciła klucz zawsze tkwiący w zamku (szwagier wspomniał kiedyś, że jeśli klucz znajduje się w zamku, do domu trudniej się włamać). Otworzyła drzwi i zobaczyła Sheilę Miller.

Spoglądały na siebie z niechęcią, po czym Sheila rzekła:

– Cześć! Zastanawialiśmy się, czy Jonathan nie mógłby u nas przenocować?

Przynajmniej raz unikała wzroku pani March. Drapała się po nadgarstku i po szyi; pani March zauważyła, że ma zaczerwienioną skórę. Usłyszała, że drzwi sypialni Jonathana się otwierają, i odparła:

– Ach, no cóż, sama nie wiem...

– Alec bardzo mnie prosił. Chyba się zaprzyjaźnili w czasie wycieczki szkolnej...

W holu pojawił się Jonathan. Przekrzywił głowę.

– Cześć, Jonathanie! – pozdrowiła go Sheila, po czym zwróciła się do pani March: – Przepraszam, że wpadłam bez uprzedzenia i nawet nie zadzwoniłam. Jestem strasznie roztargniona! – Przewróciła oczami i uśmiechnęła się. – Co ty na to? Twój syn może do nas wpaść?

Jonathan podszedł do Sheili, stanął obok niej i spojrzał na panią March ciemnymi, zapadniętymi oczami. Milczał.

– Ale przecież... jutro idą do szkoły.

– Och, na pewno jakoś sobie poradzą – powiedziała Sheila, opierając dłonie na ramionach Jonathana.

– Musisz mieć mnóstwo zajęć – rzekła niepewnie pani March. – Czy to nie kłopot?

– Żaden kłopot! – odparła Sheila.

Odpowiedziała tak szybko i zdecydowanie, że pani March nie miała wyboru i musiała oddać Jonathana pod jej opiekę, wraz z tornistrem, szczoteczką do zębów, czystą koszulą i bielizną na zmianę. Kiedy wyszedł, trzymając Sheilę za rękę, pani March patrzyła na maskotkę szkoły wiszącą na tornistrze, która z każdym krokiem syna stawała się coraz mniejsza. Była to sowa, pani March czuła na sobie jej wzrok (czy wcześniej nie był to bóbr?). Wsiedli do windy na końcu korytarza.

XVI

Tego wieczoru pani March została sama w domu. Martha poprosiła, by zwolnić ją wcześniej, bo miała coś załatwić. Pani March nie zwracała większej uwagi na jej wyjaśnienia i podziwiała swoją wielkoduszność, która kazała spełnić życzenie służącej.

– Ach, proszę, nie martw się o mnie – rzekła, machając ręką. – Zjem dziś kolację samotnie, więc po prostu przygotuj lekki posiłek i zostaw go w kuchni. Odgrzeję go i włożę talerze do zlewu.

Wcześniej wzięła kąpiel z dodatkiem niewielkiej ilości soli przywiezionych przed dwunastu laty z Paryża. Stały w łazience w zakorkowanych słojach, zbrylone ze starości.

Przez całe popołudnie dręczyło ją nieprzyjemne uczucie. Zauważyła coś niepokojącego w zachowaniu Sheili – pustkę, gdy mechanicznie położyła dłonie na ramionach Jonathana. Teraz, o zmroku, nie mogła się uwolnić od tych myśli. Związała pasek szlafroka frotté tak ciasno, że wpijał się w brzuch, i z lękiem wyszła z sypialni. Stąpała ostrożnie po korytarzu, jakby mógł się w każdej chwili zmienić w topiel i pochłonać ją, po czym nikt by jej nie odnalazł.

Przeszła przez hol, zapalając górne światła, i dotarła do salonu. Rozejrzała się uważnie, szukając wzrokiem butów obcych mężczyzn wystających spod mebli, zasłon. Zauważyła, że jedna z nich się wybrzusza. Podeszła z wyciągniętą ręką, zastanawiając się, czyją

twarz zobaczy po drugiej stronie tkaniny, a później cofnęła dłoń. Lampki na choince mrugały w rytmie tykania zegara w holu – były żółte, przyćmione i znowu żółte. Pani March klikała językiem w tym samym tempie, po czym wyobraziła sobie, że dźwięki zagłuszą kroki zbliżającego się intruza. Odwróciła się szybko i popatrzyła na salon. Poczowała ściskanie w piersi. Wyciągnęła z kontaktu kabel zasilający lampki.

Usiadła naburmuszona na sofie, a później cmoknęła z dezaprobatą i próbowała udawać obojętność, na wypadek gdyby ktoś ją obserwował. Włączyła telewizor i w oszałamiającym tempie przeskakiwała z kanału na kanał, by znaleźć coś miłego, co podtrzymałoby fałszywy spokój. Przed jej oczami przebiegały obrazy – napój truskawkowy, jaskrawożółta kaczka z komiksu, samochód policyjny ze strzelającą rurą wydechową, czarno-biały krzyk, dramatyczny uścisk. W dalszym ciągu zmieniała kanały, naciskając kciukiem miękki, gumowy guzik pilota, aż wreszcie rozległ się głos: „Cały północny zachód oplakuje śmierć Sylvii Gibbler, której zwłoki odnaleziono po wielotygodniowych intensywnych poszukiwaniach prowadzonych przez policję i grupy ochotników”.

Pani March zamrugnęła. Pragnęła się zmusić do zmiany kanału. Dziennikarka spoglądała z ekranu telewizora z poważnym wyrazem twarzy. Była ubrana w ciemnoczerwony tweedowy płaszcz i miała wargi pomalowane na identyczny kolor. Stała na zaśnieżonej ulicy, od czasu do czasu przejeżdżały za nią samochody. Ścisnęła mikrofon tak mocno, że wydawało się, że jej dłoń jest z nim zrosnięta. „Zwłoki ofiary przypadkowo znalazło dwóch myśliwych w okolicach prowincjonalnej miejscowości Gentry w stanie Maine...”

Pani March poczuła ściskanie w gardle. Jej wzrok się zamglił, przed oczami wirowały czarne plamki przypominające kleksy. Słyszała w głowie tysiąc różnych głosów. „To przypadek, po prostu przypadek!” – zawołał jeden z nich. „A jeśli nie?” – spytał drugi. „Ile zbiegów okoliczności może zlekceważyć kobieta? Właśnie tak demaskuje się morderców, prawda? Inteligentna osoba łączy w całość pozornie niezwiązane fakty”.

Dziennikarka wyjaśniła, że ofiara, sierota, w ciągu ostatnich kilku lat mieszkała z babką. „Nie, to niemożliwe” – pomyślała pani March. „George nie wróciłby na miejsce zbrodni, gdyby był winny”. Brak zainteresowania tłumami policjantów i dziennikarzy dowodził jego niewinności. Ulga okazała się krótkotrwała. Zastanawiała się, czy po odnalezieniu zwłok nie wybrał się na polowanie, by zniszczyć dowody rzeczowe – głupi, amatorski błąd mogący w końcu doprowadzić do jego aresztowania. Czy Edgar uczestniczył w zbrodni? Trudno powiedzieć. George miał własny komplet kluczy od domku letniskowego wydawcy. Trzymał je w misce w gabinecie. Mógł odwiedzać domek bez wiedzy Edgara.

„Wstępne wyniki sekcji zwłok wskazują, że ofiara została zamordowana niespełna miesiąc temu, gdy zaginęła...”

Czy George nie wybrał się przed miesiącem na polowanie? Wrócił do domu, wydając gulgocące dźwięki, i przywiózł dzikiego indyka na kolację z okazji Święta Dziękczynienia. Pani March dobrze to pamiętała, ponieważ nie miała pojęcia, co zrobić z masą piór i obwisłym czerwonym podgardlem ptaka. W końcu Martha zaniósła indyka do swojego brata, rzeźnika z Brooklynu, by go oskubał i opracił.

Pani March przełknęła ślinę. Jej tętno było tak szybkie, że oczami wyobraźni prawie widziała eksplodujące żyły na nadgarstkach.

„Ustalenie przyczyny śmierci wymaga dalszych badań, ale przedstawiciele biura koronera uważają, że ofiara została uduszona” – ciągnęła beznamiętnie dziennikarka, jakby opisywanie tej tragedii podekscytowanym tonem było w jakiś sposób nietaktowne. Jedyne ślady emocji widać było w lekko uniesionych brwiach, gdy relacjonowała najbardziej makabryczne szczegóły. „Na ciele odnaleziono oznaki gwałtu” – powiedziała i umilkła. „Zauważono również ślady ciosów zadanych tępym narzędziem”.

Pani March w panice przypominała sobie banalne rozmowy z sąsiadami, by ustalić, którzy wiedzieli o wyprawie myśliwskiej George’a do Gentry. Wyobraziła sobie Sheilę oglądającą wiadomości na wyższym piętrze i wołającą męża, który dzwoni na policję.

„...ręce związane sznurem za plecami... zadrapania wskazujące na próby obrony...”

Kiedy George był wykładowcą, miał przezwisko „Piękna i Bestia”, nadane kilkadziesiąt lat wcześniej w jego własnym college’u. Większość studentów i profesorów darzyła go sympatią – w skrzynce na korespondencję w pokoju wykładowców pojawiały się niekiedy prezenty: oprawione w skórę wydania klasyków, ciasteczka maślane, a nawet wieczne pióro z wygrawerowanymi inicjałami. Chwalono go za twórcze korzystanie z efektów teatralnych: zasłynął z tego, że gdy zajmował się siostrami Brontë, ozdobił salę wykładową fioletowymi wrzosami. Jego napady gniewu były równie dramatyczne – krzyki George’a słyszano nawet w pobliskich laboratoriach fizycznych. Wymierzał nieproporcjonalnie surowe kary za najdrobniejsze przewinienia (opowieść o tym, jak zawiesił jedną z prymusek za to,

że nie potrafiła zacytować właściwego źródła, budziła lęk w sercach studentów pierwszego roku).

„...zwłoki były częściowo przykryte śniegiem, tylko wierny pies myśliwski pozwolił...”

W ciągu lat pojawiały się anegdoty na temat rozmarzonych studentek proszących o możliwość „poprawienia oceny” albo „indywidualne konsultacje”, ale koledzy George’a je wyśmiewali. W odróżnieniu od innych wykładowców panował nad sobą. Przynajmniej nie było plotek świadczących, że jest inaczej. Nigdy nie miała powodu go podejrzewać. Nie budził w niej lęku: z biegiem czasu stał się spokojnym, wrażliwym intelektualistą. W dalszym ciągu lubił spędzać czas z przyjaciółmi – długie lunchy, czasem mecze tenisowe, wyprawy myśliwskie z Edgarem, szkocka i cygara w klubach dla dżentelmenów – ale nic nie wskazywało na zepsucie. Zawsze mogła się z nim skontaktować – również w klubie lub restauracji.

Gdyby był dewiantem i drapieżnikiem seksualnym, z pewnością pojawiłyby się jakieś oznaki albo plotki. Choćby aluzje. Gdyby pierwsza żona George’a spostrzegła, że zmienia się w potwora, coś by powiedziała, próbowała ostrzec nową panią March i ochronić córkę Paulę przed demoralizującym wpływem byłego małżonka.

„To niemądre” – pomyślała. George nie może mieć nic wspólnego z morderstwem tej biednej dziewczyny. Sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. Na ekranie pojawił się mały biały krąg, który po chwili zniknął. Zobaczyła w szkle swoje odbicie: siedziała na kanapie z rozchyłonymi ustami.

– Nie – powiedziała po prostu. – Nie. – Wstała z kanapy, mocno związała szlafrok, jakby zapewniało jej to ochronę. Poszła do kuchni,

po drodze umyła ręce w łazience dla gości. Wytarła dłonie, marszcząc nos z powodu wszechobecnego zapachu sosny, kojarzącego się z apteką. Słyszała za ścianą telewizor sąsiadów. Poznała monotony głos dziennikarki i pośpiesznie wyszła z łazienki, niedokładnie wycierając namydloną skórę między palcami, po czym zatrzasnęła za sobą drzwi.

Usiłowała podgrzać niewielką porcję smażonej płastugi, pozostawioną przez Marthę na blacie w kuchni. Walczyła z mikrofalówką, która z niezrozumiałych powodów stale się wyłączała. Resztki zadowolenia ze wspaniałomyślnego zwolnienia służącej zmieniły się w irytację.

Martha nakryła stół w jadalni w zwykły sposób – płócienny obrus, srebra i ulubiony ciemny chleb z oliwkami pokrojony w cienkie kromki. Pani March zapaliła świece – oświetlenie wydawało się bez nich niepełne – i puściła z gramofonu nokturny Chopina. Poprzedniego dnia odtwarzali tę płytę podczas kolacji, a przeszukiwanie ogromnej kolekcji płyt George'a zajęłoby mnóstwo czasu.

Mimo dźwięków fortepianu wypełniających apartament – a może właśnie dzięki nim – wieczór wydawał się spokojniejszy niż zwykle. Podniosła widelcem do ust kawałek ryby, która zdążyła już wystygnać. Na ulicy rozległ się śmiech pijanej młodej kobiety, przerywając ciszę, aż pani March się wzdrygnęła. Podniosła upuszczony widelec i robiła sobie wyrzuty, że jest taka nerwowa.

Spoglądały na nią postacie z portretów wiszących w jadalni. Kiedy jadła samotnie posiłek, zawsze czuła ich wzrok. Jeden z obrazów przedstawiał kobietę w średnim wieku w czepku

i z aksamitną wstążką na szyi, inny duchownego w okularach.
Odwzajemniła ich spojrzenia.

Nikt się nie odezwał.

XVII

Pani March zastanawiała się, czy to jej ostatni posiłek w życiu – często miewała takie myśli. Jak wyglądał ostatni posiłek Sylvii Gibbler? Czy przygotował go morderca? Czy jej smakował? A co, jeśli była na diecie, bo chciała się wcisnąć w śliczną ciasną sukienkę, która tak jej się spodobała? Bardzo przygnębiające.

Pani March zdmuchnęła świece stojące na stole i tę, którą zapaliła na kredensie. Ścianę zachlapała czerwona stearyna. Wyłączyła światło. Nie chciała przebywać w mroku dłużej, niż to konieczne, więc pośpiesznie przeszła do kuchni, gdzie wstawiła talerze do zlewu, lecz po chwili zmieniła zdanie, przypominając sobie o karaluchach. Zamknęła zmywarkę, zastanawiając się, czy nie zaparzyć filiżanki uspokajającego rumianku, gdy nagle zadzwonił telefon na ścianie kuchni. Jego dźwięk był tak przeszywający i nieprzyjemny, że przytrzasnęła klapą zmywarki mały palec lewej ręki.

„Czy George ma jakieś kłopoty?” – zastanawiała się, ssąc obolały palec. Wyobraziła go sobie w chacie Edgara, z zakrwawionymi rękami, obok martwego przyjaciela leżącego na podłodze. Z lękiem podniosła słuchawkę.

– Halo? To ty, George?

– Halo – odpowiedział uprzejmy męski głos. Nie należał do George’a.

– Halo? – powtórzyła ostrożnie lekkim tonem, na wypadek gdyby dzwonił znajomy albo chodziło o coś ważnego.

– Johanna? – spytał głos.

Miała wrażenie, że trafił w nią piorun. Przycisnęła rękę do ściany, by nie upaść. Słyszała głośny oddech i nie była pewna, czy własny, czy cudzy.

– Słucham? – powiedziała do słuchawki. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

– To ty, Johanno?

– Kto mówi?! – W jej głosie zabrzmiał lęk. W słuchawce rozległ się cichy śmiech, jakby mężczyzna odwrócił głowę i zasłonił mikrofon. –

Proszę więcej nie dzwonić na ten numer, słyszy pan?! – krzyknęła pani March, próbując mówić zdecydowanym tonem. Nim mężczyzna zdążył odpowiedzieć, z trzaskiem rzuciła słuchawkę na widełki i gwałtownie wyrwała ze ściany kabel. W mieszkaniu było kilka telefonów – jeden w sypialni – ale nie ośmielała się ich wyłączyć, na wypadek gdyby coś się przytrafiło Jonathanowi, George'owi albo...

Czy w chwili śmierci Sylvii Gibbler w pobliżu znajdował się telefon? Wyobraziła sobie kobietę, której nigdy nie widziała, duszoną w apartamencie podobnym do jej własnego i patrzącą na aparat telefoniczny, jakby błagała, by jej pomógł, zadzwonił, choć nie mogłaby podnieść słuchawki. „Przestań!” – powiedziała na głos. Odrzuciła opadający kosmyk włosów, ciągle wilgotny po kąpieli, zgromiła telefon wzrokiem i wyszła do kuchni.

Zamknęła na klucz drzwi frontowe, nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi, znowu zamknęła je na klucz i znowu nacisnęła klamkę. Wypiła duży łyk wina – musiała cały czas trzymać w dłoni kieliszek,

nie zdając sobie z tego sprawy – i ruszyła w stronę sypialni. Widziała przed sobą długi korytarz, czarny i groźny. Czy w roztargnieniu wyłączyła światło? Pamiętała, że w dzieciństwie Paula nienawidziła holu i nie chciała wychodzić do niego z sypialni, gdy przyśniły jej się koszmary. Wołała ojca, a zirytowana pani March odpowiadała z progu sypialni: „Nie bądź śmieszna!”, zadowolona, że może skarcić dziewczynkę.

W pośpiechu przeszła korytarzem – drewniane deski skrzypiały jak pokład starego żaglowca. Nie zaglądała do mijanych pokoi w obawie, że kogoś w nich zauważy.

Kiedy dotarła do sypialni, nerwowo zamknęła drzwi na klucz i oparła się o nie plecami. Spoglądała na swoje podniszczone wełniane pantofle, czując ból w piersi. Czy Sylvia, tropiona w domu przez mordercę, również zamknęła się w sypialni? Czy morderca ją z niej wyciągnął, czy gdy włókł ją po podłodze, w jej palce wbijały się drzazgi? Wyrzucił zwłoki albo je pogrzebał – pani March nie wiedziała, co z nimi zrobił – a później przez wiele tygodni leżały w jakimś odludnym miejscu. Kiedy ją odnaleziono, ciało pokrywały robaki.

Podeszła do stolika obok łóżka, by zdjąć zegarek, zastanawiając się, czy dzikie zwierzęta, kojoty albo wrony, poszarpały ciało martwej Sylvii. Jako dziecko widziała kota łapiącego wróbla. Chwycił ptaka jednym płynnym ruchem, bez śladu jakichkolwiek emocji, jakby apartament na dziesiątym piętrze był sawanną porośniętą trawą. Bawił się ptakiem przez chwilę, uderzał go pazurami, a później zaczął go pożerać na oczach pani March – rozdzierał pióra i skórę spiczastymi zębami. Wyobraziła sobie nieruchomą, delikatną

twarz Sylvii rozdzieraną na strzępy zębami drapieżnika, który owiewał jej rzęsy gorącym oddechem.

Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w dłonie. Zastanawiała się, czy nie zapalić papierosa, by się odprężyć, ale nie miała ochoty marnować energii na wyjmowanie skradzionej papierošnicy owiniętej szalem i późniejsze wietrzenie pokoju, a poza tym nie wiedziała, po co miałyby się odpręzać. Obmyła twarz – wargi pokrywała siateczka śladów po winie – wyszczotkowała zęby, wtarła w policzki trochę kremu i weszła z książką do łóżka. Ukojona czystością, dotykając świeżej pościeli niedawno umyтыми palcami nóg i wdychając lawendowo-jašminowy zapach kremu do twarzy, czytała przez jakiś czas, aż w końcu przerwały jej odgłosy kroków sąsiadki na górze, która znowu chodziła w szpilkach. Nie wiedziała, do kogo należy apartament położony piętro wyżej, ale kiedy widziała w holu na parterze sąsiadkę w szpilkach, zastanawiała się, czy do niej nie podejść, nie zaprzyjaźnić się z nią i pewnego dnia, mimochodem, niby przypadkowo nie podkreślić ogromnych zalet pantofli rannych. Jakby w odpowiedzi wysokie obcasy zagrzecotały jeszcze głošniej.

Odłożyła książkę – druk był zbyt drobny, co w połączeniu z winem wywołało migrenę – po czym wstała i poszła do łazienki po aspirynę.

Kiedy wracała do łóżka, zauważyła coś w budynku po przeciwległej stronie dziedzińca. Czerwone światło w jednym z okien. Zdenerwowała się, bo pomyślała, że wybuchł pożar, ale kiedy przyjrzała się uważniej, zdała sobie sprawę, że to czerwony blask lampy z wišniową organzą narzuconą na abażur. Większość

pozostałych okien w budynku była ciemna, w niektórych pulsowało miękkie światło telewizorów.

Podeszła bliżej do okna i prawie przycisnęła nos do szyby. Zaczął padać śnieg. Płatki opadały w dół, a kiedy mijały okno, zabarwiały się na ułamek sekundy na czerwono, przypominały żarzące węgielki, po czym w dalszym ciągu leciały w stronę ziemi. Nocny mrok z rozjarzonymi śnieżynkami o barwie szafranu miał w sobie coś kojarzącego się z piekłem.

Spojrzała na czerwono oświetlony pokój. Była to sypialnia, ciemna, z wyjątkiem lampy. Po kilku sekundach zauważyła pochyloną kobietę odwróconą tyłem do okna. Miała na sobie różową jedwabną halkę, widać było mlecznobiałe uda. Pani March odchrząknęła, po czym zerknęła przez ramię, jakby ktoś przyłapał ją na podglądaniu. Popatrzyła na kobietę. Nad czym się pochylała? Pani March widziała róg materaca albo poduszki leżącej na kanapie. Pochyliła się jeszcze bardziej i uderzyła czołem w szybę. Kobieta w różowej halce się odwróciła, jakby usłyszała brzęk szkła.

Z gardła pani March wyrwał się zduszony dźwięk, storturowany charkot, coś pomiędzy krzykiem a jękiem. Przednia część halki kobiety była zalana krwią, która pokrywała również jej włosy i dłonie. Kobieta przyłożyła je do szyby i zostawiła na niej czerwone ślady. Pani March gwałtownie odskoczyła, upadła na łóżko, pod jej plecami zachrząściła książka. Pomachała ramionami nad stolikiem George'a, by pozbyć się odrętwienia w palcach. Wzięła aparat telefoniczny i zbliżyła się ukradkiem do okna. Kabel się napiął, uniemożliwiając dalszy ruch.

Stała ze słuchawką przyciśniętą do ucha; sygnał ciągły zmienił się w ostre pikanie. Spojrzała na przeciwległy budynek. Czerwone

światło znikło, podobnie jak kobieta.

Pani March przyciskała do ucha słuchawkę telefonu i wpatrywała się w okno. Czuła, że jej szyję pokrywa kwaśny pot i że ma w żołądku splątany kłęb pokrzyw. Siedziała nieruchomo, aż pot wysechł i oddech się uspokoił.

Śnieg zmienił się w deszcz, słyszała plusk kropel. Nagle w pobliżu rozległ się głośny brzęk, jakby coś uderzyło w metal.

Odłożyła słuchawkę na widełki, w dalszym ciągu patrząc na okno po przeciwnej stronie dziedzińca. Było ciemne, choć miała wrażenie, że dostrzega czerwoną poświatę; pulsowała przed jej oczami jak majak. Przypominała plamki wirujące pod powiekami po spojrzeniu prosto w słońce.

W dalszym ciągu trzymała telefon, przyciskała go do piersi i zastanawiała się, czy nie zadzwonić na policję. Ale w tej chwili nie była pewna, czy naprawdę widziała w oknie kobietę w halce przesiąkniętej krwią. Oczywiście istniał inny problem, prawdziwy powód, dla którego nie mogła zawiadomić policji. Uważała, że kobieta – oczywiście było to niemożliwe – miała jej twarz. Zobaczyła samą siebie.

XVIII

Z ponurych, melancholijnych snów wyrwał panią March budzik sąsiadów. Po głośnym, przeszywającym terkocie rozległy się przytłumione, ciężkie kroki wprawiające sufit w drżenie i wywołujące migrenę.

Usiadła powoli na łóżku i spojrzała w stronę okna zalanego posepnym porannym światłem. Widziała przez szparę w zasłonach sąsiedni budynek. Świat zastygł w bezruchu.

Usiadła, wsparta na poduszkach, ale jej serce biło niepokojąco szybko. Pociła się na myśl o poprzednim wieczorze – musiała się obficie pocić przez całą noc, bo zauważyła, że materac jest wilgotny. Zajrzała pod kołdrę, jęknęła i wyskoczyła z łóżka. Zobaczyła żółtą, okrągłą plamę na prześcieradle, skazę na nieskazitelnie czystej pościeli. Mocz.

– O nie! – zawołała. Objęła rękami kolana, kołysała się do przodu i do tyłu. – O nie, o nie, o nie...

Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni zsiadała się do łóżka. Może wtedy, gdy w sypialni po raz pierwszy pojawiła się Kiki, z niepokojącym uśmiechem i niesamowitymi oczami pozbawionymi brwi, głośno oddychając przez całą noc?

Pani March spojrzała na budzik na nocnym stoliku. Martha przyjdzie dopiero za pół godziny. Nie może poprosić, by zmieniła pościel. Chyba mogłaby powiedzieć, że wylała wino na

prześcieradło, ale sama myśl o polewaniu łóżka czerwonym winem sprawiła, że chciało jej się jednocześnie śmiać i płakać.

Zerwała prześcieradło i wyszła do holu, niosąc je na rękach. Dziwne, jak wąski i nieprzyjemny wydawał się poprzedniego wieczoru. W tej chwili z otwartych pokoi wpadało do niego światło, a w promieniach słońca wirowały drobinki kurzu, widoczne na tle desek podłogi.

Poszła do schowka z bielizną pościelową na końcu korytarza, gdzie pod półkami stała pralka. Często mówiła George'owi, że to dobrze, iż mają w apartamencie własną pralkę i nie są zależni od pralni w suterenie budynku albo zakładów na mieście. Od chwili zaangażowania Marthy nie otwierała drzwiczek pralki.

Zwinęła prześcieradło w kulę i wsadziła je do bębna, dysząc ciężko. Później przypomniała sobie o plamach na koszuli nocnej i postanowiła je uprać. Obróciła pokrętło, nacisnęła kilka guzików i pralka ożyła. Wróciła nago do sypialni, spocona i drżąca. Kiedy włożyła szlafrok, usłyszała odgłos otwieranych drzwi frontowych i normalne, mdłe powitanie Marthy.

Wyszła w szlafroku na korytarz, czując gwałtowne bicie serca.

– Och, dzień dobry, Martho! – powiedziała, jakby zapomniała, że Martha przychodzi prawie codziennie.

Służąca stanęła jak wryta. Na jej nadgarstku kołysała się oliwkowa torebka.

– Zapomniałam czegoś uprać? – spytała, patrząc obok pani March na warczącą pralkę w garderobie z pościelą. Pani March nie zamknęła drzwi.

– Ach, nie – odpowiedziała pani March, splatając dłonie. – Postanowiłam uprać pościel. Gdybyś mogła rozłożyć nową...

Ponieważ... zresztą nieważne... no cóż, była poplamiona, a poza tym moja koszula nocna... więc musiałam...

Na twarzy Marthy pojawił się wyraz zrozumienia.

– Naturalnie, pani March – odparła. – Mam nadzieję, że nastawiła pani pranie w niskiej temperaturze. Można też użyć octu. To dobry sposób usuwania plam krwi.

Pani March przypomniała sobie kobietę z własną twarzą widzianą w oknie. Zakrwawione dłonie, zakrwawioną koszulę nocną. Skąd Martha o tym wie?

– Wychowałam się w domu, w którym mieszkało sześć kobiet, więc stale miałyśmy takie problemy – ciągnęła Martha. – To nic wielkiego. Usunę te plamy. – Skinęła szybko głową, może próbując wyrazić macierzyńską troskę, i wróciła do kuchni.

Pani March stała w holu. Szlafrok rozchylił się na piersiach. Służąca uznała, że chodzi o ślady miesiączki. Pani March oblała się rumieńcem. W ostatnich miesiącach jej okres stał się nieregularny (matka nazywała okres „przekleństwem kobiet”) i pojawiał się w coraz dłuższych odstępach; niedawno zaczęła miewać uderzenia gorąca, a jej piersi stały się tkliwe. Kiedy zaczynała miesiączkować, wydzieliny były jasnoróżowe, przypominały farbę wodną. Z trudem przypominała sobie, jak wyglądały wcześniej, gdy okres stanowił główny element jej życia. Uwzględniała go w planach urlopów, spotkaniach, nawet gdy ustalała termin wesela. Łykała środki przeciwbólowe i przykładła do pleców butelkę z gorącą wodą. Teraz niewiele z tego zostało. „Tak wiele znika z upływem lat” – myślała.

* * *

Przez cały dzień zerkąła na budynek po przeciwnej stronie dziedzińca. Nie mogła się powstrzymać. Wyglądała zza zasłony w nadziei, że przyłapie nieznajomą kobietę na gorącym uczynku. Pragnęła zdobyć jakąś wskazówkę wyjaśniającą, co właściwie zobaczyła. Okno pozostawało ciemne i widziała tylko odbicie własnego budynku. Nie było śladu kobiety w halce ani w ogóle żadnej kobiety – spostrzegła tylko mężczyznę w garniturze, który stał na schodach przeciwpożarowych na niższym piętrze i jadł kanapkę owiniętą w folię.

Tego dnia telefon zadzwonił dwukrotnie. Kiedy pani March po raz pierwszy podniosła słuchawkę, nikt się nie odezwał. Za drugim razem zeszywniała, widząc Marthę przyciskającą słuchawkę do ucha.

– Co oni mówią, Martho? – spytała ochryłym głosem. – Nie słuchaj ich! – Podbiegła do służącej, która ze zdziwieniem podała jej słuchawkę. Pani March chwyciła ją drżącymi dłońmi i przycisnęła do skroni. Nic nie słyszała, nawet oddechu albo chichotu. – Proszę przestać dzwonić, kimkolwiek jesteście! – rzekła i odłożyła słuchawkę.

– Telemarketerzy – powiedziała Martha, kręcąc głową.

* * *

Po południu pani March weszła po schodach, by odebrać Jonathana z apartamentu Millerów. Drzwi otworzyła Sheila; miała na sobie luźny sweter i białe męskie skarpetki sportowe.

– Och, cześć! Wejdz! – Wydawała się zdziwiona widokiem pani March, choć wcześniej uprzedziła ją ona telefonicznie, że wpadnie.

Pani March weszła niepewnie do apartamentu. Nigdy wcześniej nie była w środku, zwykle Jonathan witał ją koło drzwi, gdy go odbierała.

– Masz ochotę czegoś się napić? – spytała Sheila. – Kawy, a może herbaty?

Nie była ładna w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale wydawała się atrakcyjna. Miała wysoko osadzone kości policzkowe, piegi i gładkie jasne włosy, zawsze lśniące. Nosila okulary do czytania, co nadawało jej wygląd intelektualistki; kiedy je zdjęła, wisiały na tasiemkach na piersi. Pani March nigdy nie było do twarzy w okularach. Podkreślały wszystkie wady jej urody.

– Bardzo chętnie napiję się herbaty – powiedziała.

Poszła za Sheilą do kuchni, obserwując jej drobną pupę i wąską talię. Odślonięta szyja była pokryta ledwo widocznym meshkiem. Pani March często miała wrażenie, że w porównaniu z innymi kobietami jest zbudowana nieproporcjonalnie. Jej tęgie, niezgrabne ciało zupełnie nie przypominało smukłej, kanciastej sylwetki Sheili.

Wykorzystała drogę do kuchni, by rozejrzeć się po apartamencie. Był urządzone w nowoczesnym, swobodnym stylu, pasującym do sposobu bycia Sheili: marokańskie dywany, kanapa obita jasnobrązowym aksamitem z nadrukowanymi mewami. Millerowie nie mieli kinkietów, żyrandoli ani lamp stojących, tylko wymyślne oświetlenie wbudowane w sufit. Wesoły chodnik pod stopami sprawiał, że hol wydawał się jaśniejszy i krótszy. Chociaż apartament miał taki sam plan jak u Marchów, odnosiło się wrażenie, że jest inny. Nowocześniejszy. Ładniejszy. Zastanawiała się, czy odwiedził go jeden z portierów, zwłaszcza mających skłonność do osądzania lokatorów budynku. Czy porównywał go z apartamentem Marchów?

- Zmieniście położenie kuchni? - spytała, gdy do niej weszli. Kuchnia Marchów znajdowała się w pobliżu drzwi frontowych, u Millerów zaś w głębi korytarza, naprzeciwko pokoju, w którym mieścił się gabinet George'a.

- O tak. Postanowiliśmy powiększyć salon. Zburzyliśmy ścianę oddzielającą kuchnię i stworzyliśmy jedno duże pomieszczenie. Mieszkanie stało się dzięki temu jaśniejsze.

Pani March zacisnęła usta. Usiadła niezgrabnie - odsłaniając uda - na jednym z wysokich stołków barowych stojących wokół wyspy kuchennej, a tymczasem Sheila nastawiła czajnik. Manipulowała przy nim smukłymi palcami o czerwonych paznokciach. Paznokcie Sheili zawsze wydawały się świeżo pomalowane. Mogła sama je malować (pasowałoby do jej swobodnego, młodzieżowego stylu bycia), ale były tak idealnie przycięte i wypolerowane, że prawdopodobnie wydawała setki dolarów w salonie kosmetycznym - ta myśl sprawiła pani March cichą satysfakcję. Kiedy się nad tym zastanawiała, Sheila wyjęła z szafki dwie filiżanki, uroczo niedopasowane, lecz z pewnością stanowiące część jednego serwisu, co pani March również zauważyła.

- Mleko? - spytała Sheila.

- Tak, proszę.

Kiedy Sheila otworzyła lodówkę, rozległ się cichy brzęk szklanych butelek i słoików. W środku stały schludne rzędy pojemników z etykietami. Pani March podziwiała logiczny, a zarazem dekoracyjny sposób wykorzystania wnętrza lodówki, po czym Sheila zamknęła drzwi. Nie przelała mleka do mlecznika, lecz bezceremonialnie postawiła kwadratowy kartonik przed panią March. W ciągu całej

wizyty stał na lśniącej powierzchni wyspy pokryty mikroskopijnymi kropelkami wody.

Sheila zalała wrzątkiem suche liście herbaciane na dnie obu filiżanek. Pani March pochyliła się i ze zdumieniem patrzyła, jak liście rozwijają się i zmieniają w kwiaty. Sheila zauważyła jej spojrzenie i uśmiechnęła się.

– To chińska kwitnąca herbata – powiedziała. – Prawda, że piękna? Kupiliśmy ją w zeszłym miesiącu w Pekinie.

– Wygląda przepięknie. To bardzo daleka podróż, prawda? Jak Alec ją zniósł?

– Nie wzięliśmy Aleca. Pojechaliśmy we dwoje, tylko Bob i ja.

– Ach – westchnęła pani March, zirytowana, że Sheilii i Bobowi nie wystarcza to, że mieszkają razem. Wybrali się w romantyczną podróż dokoła świata, choć są małżeństwem co najmniej od dziesięciu lat. – Jakie to miłe...

– Tak. Odkryliśmy tę herbatę w ślicznym małym sklepiku tuż obok hotelu. Nie mogłam się oprzeć pokusie.

– Cudownie – odparła pani March lekko skwaszonym tonem. Usiłowała sobie przypomnieć, czym się zajmuje Bob Miller, że stać go na podróż do Chin.

Popijały w milczeniu herbatę. Pani March spoglądała na kwiat w filiżance: coraz bardziej przypominał grubego, pomarszczonego pająka rozprostowującego nogi. Z kartonika z mlekiem spłynęła na blat kropelka wody. Sheila niespodziewanie zdjęła sweter. Pani March lekko się zachnęła – gdy Sheila uniosła ręce nad głowę, zobaczyła jej gładkie obojczyki, zebra rysujące się pod T-shirtem i chude, muskularne ramiona. Poruszyła się na stołku, mimo woli naciągając rękawy na nadgarstki.

– Macie bardzo pięknie urządzone mieszkanie – powiedziała, nie mogąc dłużej znieść milczenia.

Sheila uśmiechnęła się promiennie, a pani March zauważyła odłupane szkliwo na jednym z przednich zębów.

– Och, dziękuję. Powinnaś je zobaczyć, nim się wprowadziliśmy. Wyglądało koszmarnie. Mieszkała tu od wieków starsza pani. W końcu prawie nie wychodziła.

– Zmarła tutaj?

– O nie, nic z tych rzeczy. Ale mieszkanie pachniało, jakby ktoś w nim umarł. Drżałam ze strachu na myśl o otwarciu szaf.

– Było coś w środku? Insekty? – spytała z nadzieją pani March, popijając herbatę.

– Nie mam pojęcia. Kazaliśmy wyrzucić zawartość, nawet nie zaglądaliśmy do środka. I bardzo dobrze. Mamy teraz nowoczesną garderobę. Wystrój z sosny. – Pani March zmrużyła oczy, a Sheila ciągnęła: – Nie widziałam żadnych insektów, nie. – Lekko przygryzła paznokieć. Czerwony lakier z niewyjaśnionych powodów pozostał nienaruszony, co rozwścieczyło panią March.

– Szczęście, że w naszym domu nie ma karaluchów – zauważyła.

– O Boże, tak! – odparła Sheila. – Gdybym zobaczyła karalucha, chybabym umarła. Są naprawdę odrażające.

– Nie widziałaś żadnego? Na pewno? – spytała pani March.

– Boże, nie! – Sheila zmarszczyła brwi. – Przecież... dokładnie sprzątam mieszkanie. – Roześmiała się, pokazując nadłamany ząb i różowe dziąsła o barwie brodawek sutkowych. Pani March zmusiła się, by również się roześmiać, choć w jej głosie zabrzmiała histeria.

– Ach, zupełnie zapomniałam o dobrych manierach! – zawołała Sheila. – Nie pokazałam ci apartamentu! Chcesz go obejrzeć?

– Dziękuję, dzisiaj nie mogę. Mam kilka spraw do załatwienia, przykro mi. – Pani March nie mogła znieść myśli, że zobaczy w mieszkaniu Sheili kolejne piękne przedmioty.

– Żaden problem – odparła Sheila. Wzięła filiżanki i wstawiła je do zlewu. Pani March zeszła ze stołka i poszła za Sheilą do holu. – Chłopcy! – zawołała Sheila. – Jonathan! Jest tu twoja mama!

Kiedy na końcu korytarza otworzyły się drzwi i wybiegli z nich chłopcy, pani March odwróciła się w stronę Sheili ze starannie przećwiczonym uśmiechem, wbijając paznokcie w skórzany pasek torebki.

– Cóż, bardzo dziękuję za herbatę, Sheilo. Była naprawdę cudowna.

Wzięła Jonathana za rękę, ale uwolnił dłoń. Nie lubił trzymać matki za rękę w czyjejs obecności (albo w ogóle nie lubił). Wybiegł na klatkę schodową. Pani March poszła za nim, czując w drodze do windy oczy Sheili wbite w tył własnej głowy.

XIX

Tej nocy pani March zamknęła wszystkie drzwi i okna, nawet niewielkie okienko wysoko w łazience, choć nikt nie mógłby przez nie wejść: było małe, niedostępne, położone w samym środku fasady, w pobliżu nie było rur ani gzymsów.

Pod wpływem impulsu otworzyła drzwi sypialni Jonathana i zobaczyła go siedzącego na podłodze twarzą do ściany. Pobiegnęła do syna, wychrypiała jego imię, chwyciła go za ramiona i obróciła. Był to jednak Jonathan, smętny Jonathan patrzący na nią z uniesionym podbródkiem.

– Siedzę pod ścianą za karę – wyjaśnił. Zajrzała do niego znowu przed kolacją i kiedy spał.

Nie spotkało ich tej nocy żadne nieszczęście, podobnie rano. Mimo to pani March była w ciągu dnia straszliwie napięta: garbiła się, miała zeszywniałą szyję, czekała na niespodziewany cios.

Siedziała na kanapie w salonie, próbując przeglądać czasopismo, i patrzyła na fotografię modelki z dziwacznym makijażem – różowe rzęsy i namalowane piegi. Wiele razy przeczytała podpis: „Katarina nosi tiarę z różowych diamentów od Tiffany’ego”. Zerknęła na okna budynku po przeciwnej stronie dziedzińca, ale znajdował się za daleko, by coś zobaczyć.

Apatycznie przewracała strony magazynu, oglądając modelki zastygłe w niemożliwych pozach z otwartymi ustami i szeroko otwartymi oczami. Kiedy natrafiła na fotografię kobiety przebranej

za prezent gwiazdkowy, przypomniała sobie, że jest spóźniona z zakupami świątecznymi. Poczowała przyływ paniki. Apartament był prawie nieozdobiony – stała w nim tylko choinka. Pani March nie chciała ostentacyjnie dekorować mieszkania przed przyjęciem George'a. Zaprosili w tym roku gości na Wigilię; mieli w niej uczestniczyć siostra pani March z mężem i owdowiała matka George'a (Paula, zawsze spędzająca święta w egzotycznych krajach i bawiąca się z olśniewającymi cudzoziemskimi przyjaciółmi, nie mogła przybyć). Dlaczego zapomniała o świątecznych dekoracjach?

Zacisnęła ręce i postanowiła natychmiast odwiedzić dom towarowy. Zostawi Jonathana ze Świętym Mikołajem i kupi wszystko, co potrzebne. Od wielu lat angażowała całą energię, by Gwiazdka stała się magicznym, pamiętnym wydarzeniem – ustawiała na środku stołu dekoracje z jabłek i jodłowych szyszek, kupowała wyjątkowo starannie wybrane prezenty. Złocene ekslibrisy dla George'a, bo nonszalancko wspomniał, że rodzice odmawiali mu tego prostego luksusu, gdy był chłopcem. Albo eleganckie wieczne pióro ulubionej marki z wygrawerowaną datą premiery pierwszej powieści. Wspaniałe przykłady dbałości o szczegóły, której nie okazała w tym roku z powodu wyczerpania i zawrotów głowy.

Nagle ogarnęła ją pewność, że jeśli natychmiast nie wyjdzie do domu towarowego, stanie się coś strasznego. Miała wrażenie, że w powietrzu unosi się zapach zgnilizny. Wpadła do pokoju Jonathana i przerwała mu jakąś czynność – mniejsza o to jaką. Na jej twarzy pojawił się karcący wyraz i pośpiesznie wyciągnęła syna na dwór.

Na rogach ulic rozlegały się kolędy Armii Zbawienia. Tłumy ludzi podziwiałały zgrabne manekiny bez twarzy na wystawach sklepów na Fifth Avenue, ubrane w futra i aksamit, stojące na tle śnieżnych

pejzaży albo świątecznych dekoracji. Na jednej z wystaw włączała się i zapalała zepsuta świetlówka. Błękitnobiałe światło przywodziło na myśl nadciągającą burzę. Manekin w sukience z organzy i kapeluszu z szerokim rondem wyglądał, jakby zamierzał stawić jej czoła z odwagą i godnością.

Pani March i Jonathan pośpiesznie wysiedli z taksówki, o mało nie zderzając się z małą dziewczynką w ekstrawaganckim białym futrze z norek. Miała na głowie podwójny kok i prowadziła szczeniaka labradora, który gwałtownie szarpał smycz; raczej to on ją prowadził. Matka podążała kilka kroków z tyłu, pogrążona w lekturze terminarza oprawionego w skórę. Na pobliskim rogu ulicy zebrał przysadzisty, brudny mężczyzna w postrzępionym płaszczu i rękawiczkach bez palców.

– Mamo, możemy coś mu dać? – spytał Jonathan, wytrącając panią March z zamyślenia.

– Ach, Jonathanie... – odpowiedziała, na chwilę zapominając o panice i determinacji. Czasami to wystarczało.

Syn popatrzył uważnie na bezdomnego, gdy go mijali. Wyciągnął szyję w jego stronę.

– Możemy?

– Nie, ja... nie mam drobnych.

Ostatnim bezdomnym, który zaczepił panią March na ulicy, była kobieta w skarpetkach i sandałach. Miała straszliwie pomarszczoną twarz, jej nos otaczała zaschnięta biała skorupa, a dziobate policzki były różowe, jakby pokrywał je gruby makijaż teatralny. Zawołała do pani March, która odpowiedziała zgodnie z prawdą, że nie ma drobnych. Mogłaby zignorować kobietę, ale lubiła sobie wyobrażać,

że jest pełna empatii: wymieniła to jako jedną ze swoich najbardziej pozytywnych cech w podaniu o przyjęcie na uniwersytet.

– Nie chcę pieniędzy – rzekła błagalnie żebraczka. – Potrzebuję lekarstwa, to wszystko. Niech pani nie daje mi pieniędzy, tylko kupi lekarstwo, proszę!

Przekonała panią March, by poszły do pobliskiej apteki. Powiedziała, że znajduje się za rogiem. Pani March wracała do domu z marketu, niosąc ciężkie torby, ale się zgodziła. Nie miała dobrej wymówki, zwłaszcza teraz, gdy wdała się w rozmowę i nawiązały kontakt emocjonalny, zbyt silny, by nagle go zerwać. Aptekarka uniosła głowę i zmrużyła oczy na widok bezdomnej, która kuśtykała za panią March w grubych sandałach, ordynarnie pociągając nosem.

– Czego potrzebujesz? – spytała pani March.

Kobieta podała nazwę lekarstwa. Aptekarka popatrzyła ze złością na panią March, wyjęła niewielkie pudełko i położyła je na ladzie.

– Dziewiętnaście dolarów pięćdziesiąt centów – powiedziała. Pani March przełknęła ślinę. Dziewiętnaście dolarów pięćdziesiąt centów to sporo jak na jałmużnę dla żebraczki. Zerknęła na pudełko na ladzie, lecz nazwa lekarstwa nic jej nie mówiła. Zdawała sobie sprawę, że padła ofiarą manipulacji, że mogłaby się w każdej chwili wycofać, odmówić zapłacenia za lekarstwo – ale doszłoby do nieprzyjemnej sceny. Zapłaciła kartą kredytową, zaciskając zęby. Wzięła papierową torebkę z pudełkiem i wręczyła ją żebraczce, gdy znalazły się na ulicy. Ociągała się przez chwilę – władza, jaką w tej chwili miała nad kobietą, stanowiła pewne zadośćuczynienie: żebraczka wręcz pożerała torebkę wzrokiem. Pani March karała ją za to, że naraziła ją na wstyd, nawiązując z nią bliski kontakt. Poza tym chciała, by aptekarka myślała, że panuje nad sytuacją, gdyby je

obserwowała. Zapłaciła za lekarstwo, bo tak postanowiła, i da je kobiecie, kiedy zechce.

Następnym razem była gotowa. Kilka tygodni później, kiedy podszedł do niej bezdomny z papierowym kubeczkiem w ręce (druga była amputowana), powiedziała: „Przepraszam, ale moja matka zastrzeliła dziś ojca i trochę dziwnie się czuję”. Bezdomny spojrzął na nią zmrużonymi oczami i coś wybełkotał. Wzruszyła ramionami, on zaś odszedł, mruczając pod nosem. Ciągle zerkał na panią March, jakby się obawiał, że może go śledzić.

Dotarłszy z Jonathanem do wejścia do domu towarowego, pani March popatrzyła ukradkiem na bezdomnego po przeciwnej stronie ulicy. Odwrócił głowę w jej stronę i uśmiechnął się, ukazując dwa poczerwiałe pieńki zębów. Przyśpieszyła, ciągnąc za sobą syna.

* * *

Trzymała Jonathana mocno za rękę, gdy weszli do królestwa płaczących dzieci, zaaferowanych ekspedientek i kobiet wypełniających zakupami niewielkie druczane koszyki. Z głośników dobiegały kolędy śpiewane piskliwymi dziecięcymi głosami. W kącie płakała jakaś kobieta, po policzkach spływała jej mascara – nie, nie płakała, po prostu oblewała się potem.

Obok przebiegł ochroniarz, by uspokoić nastolatkę siejącą spustoszenie na półkach z perfumami, a pani March z przerażeniem poczuła, że ktoś ujmuje ją za rękę. W przypiływie trwogi popatrzyła w dół i zobaczyła małą dziewczynkę, która spojrzała na nią, głośno oddychając przez nos. Zorientowała się, że to nie matka, puściła jak oparzona panią March (co za tupet – jakoby to pani March pierwsza

ją dotknęła). Odsunęła się od nieznajomej kobiety i wybuchnęła płaczem.

Pani March pociągnęła za sobą Jonathana i ruszyli labiryntem korytarzy o posadzkach z wypolerowanego marmuru. Okrążali szklane gabloty z biżuterią, skórzanymi rękawiczkami, kaszmirowymi szalikami i szminkami przypominającymi kolorowe cukierki, aż wreszcie zobaczyli tłum matek i dzieci stojących w zakręconej kolejce – na ścianie wisiał baner z napisem: „Przybył Święty Mikołaj!”. Siedział pod nim na tronie mężczyzna przebrany za Świętego Mikołaja, pozując do fotografii z małym chłopcem, który głośno beczał na jego kolanach.

Stanęli w przygnębiająco długiej kolejce. Pani March wspięła się na palce, przyjrzała się matkom z przodu, a później podeszła do kobiety w futrze i naszyjniku z pereł.

– Czy zechciałaby pani rzucić przez chwilę okiem na mojego syna, gdyby nie sprawiło to pani kłopotu? – spytała, uśmiechając się najszerzej, jak to możliwe. Kobieta uniosła brwi z wyniosłym oburzeniem, a pani March szybko dodała cichym głosem, który miał sugerować, że się zwierza (przynajmniej na to liczyła): – Nie będzie mnie najwyżej kilka minut, muszę się wymknąć, by kupić kilka prezentów... Nie mogę pozbawić syna bożonarodzeniowej niespodzianki, prawda? – Usiłowała mrugnąć, po twarzy zaczął jej spływać makijaż.

Kobieta spojrzała na nią podejrzliwie. Postawiła kołnierz futra, a pani March zrobiła to samo, naśladując obronny gest.

– Kiedy pani wróci? – spytała z irytacją kobieta. Pani March uznała za obiecujące, że nie usłyszała odmowy, i ponownie

zapewniła nieznajomą, że wróci za kilka minut. Później ruszyła w stronę wind.

Na wyższym piętrze nawet w najdroższych stoiskach panował kompletny chaos. Pani March czuła zdenerwowanie, panikę, potrącały ją i szturchały dziesiątki rąk, głośnie kolędy mieszały się z gwarem, a jaskrawe światła wywoływały zawroty głowy. Bez przekonania kupiła srebrną spinkę do krawata dla George'a i kolejkę dla Jonathana.

W ostatniej chwili kupiła również ozdoby do apartamentu: laski cynamonu, suszone plasterki pomarańczy, poślacane szyszki i wieńce ze świeżej sośniny z wstążkami w szkocką kratę. Może mimo wszystko uda się przygotować piękną Wigilię?

Kiedy zapłaciła i czekała na zapakowanie prezentów, spojrzała na zegarek i zorientowała się, że zostawiła Jonathana samego na czterdzieści minut. Pobiegnęła w stronę wind, ale szybkie spojrzenie na tłum kłębiący się niecierpliwie na korytarzu (wolna była tylko jedna winda) kazało jej skorzystać ze schodów. Cofnęła się z pękatymi torbami wiszącymi na nadgarstkach i nagle uderzyła w kogoś plecami. Odwróciła się, zdenerwowana, chcąc przeprosić, i zobaczyła przed sobą kobietę z okna. O mało nie oszalała. Kobieta wydawała się równie przerażona – w jej oczach pojawił się identyczny, dziki strach. Nagle pani March zdała sobie sprawę, że stoi przed wysokim lustrem. Odetchnęła głęboko, czekając, aż odbicie mrugnie albo się poruszy. Bała się odwrócić plecami. W końcu zrobiła piruet na obcasach i ruszyła w stronę schodów.

Wróciła w samą porę: Jonathan schodził z kolan Świętego Mikołaja. Kiedy przepchnęła się przez tłum, jak zwykle powitał ją w apatyczny, pozbawiony entuzjazmu sposób. Święty Mikołaj

uśmiechnął się do pani March przez sztuczną brodę. Grzecznie podziękowała.

– Miło, że przyszlście mnie odwiedzić! – powiedział. – Świetnie się bawiliśmy, prawda? – uśmiechnął się promiennie do Jonathana, który stracił zainteresowanie i był myślami gdzieś daleko. Święty Mikołaj uśmiechnął się do pani March i rzekł: – Masz pięknego syna, Johanno!

Pani March spojrzała mu w oczy.

– Co pan powiedział?

– Powiedziałem, że ma pani pięknego syna. – Pani March wbiła wzrok w Świętego Mikołaja, który odwzajemnił jej spojrzenie. – Ho, ho, ho! – dodał, ciągle się uśmiechając.

Zapomniała, że powinna odebrać fotografię syna, chwyciła Jonathana i tak mocno ścisnęła mu rękę, że krzyknął z bólu: matka pani March w podobny sposób wbijała jej w ramię ostre paznokcie podobne do szponów harpii. Przeszli wśród kłębiących się hord matek. Pani March patrzyła na błyszczące karminowe wargi i lśniące kolczyki, dusił ją chemiczny zapach spreju do włosów. Zdołała kiwnąć głową kobiecie z naszyjnikiem z pereł, która pilnowała Jonathana, a ta ze stoickim spokojem odwzajemniła pozdrowienie. Jej własny syn nie chciał usiąść na kolanach Świętego Mikołaja, krzyczał i lamentował, z nosa ciekły mu gile.

Pani March wyszła z Jonathanem z domu towarowego, uginając się pod ciężarem toreb z zakupami. Na ulicy odetchnęła chłodnym zimowym powietrzem, które uderzyło ją w twarz, i wsiadła do pierwszej z brzegu taksówki.

XX

Portier zaproponował, że zanieś torby do mieszkania, ale odmówiła. Obawiała się, że uzna świąteczne zakupy za przejaw skąpstwa albo – przeciwnie – za zbyt ekstrawaganckie, dowód, że jest zepsuta i materialistycznie nastawiona do życia. Jednocześnie martwiła się, że uzna odmowę za oznakę pychy, a nawet braku zaufania, co nastawi go jeszcze bardziej nieprzyjaźnie.

Wpadła do apartamentu z czerwonymi śladami na ramionach od ciężkich toreb i ujrzała przed sobą George'a.

– Och, wróciłeś – powiedziała, stając jak wryta.

Jonathan, idący za panią March, obojętnie uściskał ojca i popędził do swojego pokoju. George z uśmiechem odprowadził syna wzrokiem. Pani March pomyślała, że wydaje się rozczochrany; ze spodni wystawał róg koszuli. Skrócił wycieczkę.

– Och, marnowaliśmy tylko czas – powiedział, wycierając mankietem okulary. – Przyjechaliśmy późno i nie upolowaliśmy nawet jednego okazu, choćby głupiego bązanta.

– Ach...

– Wyprawa okazała się kompletnym fiaskiem.

– Może w przyszłym roku będzie lepiej? – powiedziała pani March, ciągle trzymając torby.

– Może... – odparł George.

– Słyszałeś o zaginionej kobiecie? – spytała, patrząc mu w oczy.

Spodziewała się, że zareaguje – skrzywi się, przestanie uśmiechać albo wyszczerzy zęby jak maniak i do wszystkiego się przyzna – ale nawet nie mrugnął i odpowiedział, że owszem, oczywiście, wszędzie leżały ulotki z informacjami o zaginionej dziewczynie. Policjanci pytali o nią nawet w czasie tankowania paliwa na stacji benzynowej.

– Pytała cię o nią policja?

– Tak, jasne, pytała wszystkich kierowców.

– Co powiedziałaś?

– Co powiedziałem? Co masz na myśli? Powiedziałem, że nic nie wiem i że przyjechałem na polowanie.

Spoglądał na nią swoim charakterystycznym, nieruchomym wzrokiem, blokując przejście, i przyszło jej nagle do głowy, że może robi to celowo. Że to groźba. Jego oczy mówiły: „Wierz w to, co mówię, bo inaczej...”. Przełknęła ślinę i postawiła torby na podłodze. Wyglądali groteskowo: George stał naprzeciwko pani March z rękami w kieszeniach, a ona znieruchomiała przy drzwiach, ciągle w płaszczu i kapeluszu, z torbami pod nogami, choć powinna przejść obok męża i zanieść torby do sypialni. Chciała to zrobić, ale w tej chwili była zupełnie pewna, że nie jest w stanie zachować się naturalnie. Miała wrażenie, że zapomniała, jak posługiwać się mięśniami.

W końcu, po długim, sztucznym milczeniu, George powiedział:

– Cóż, idę wziąć prysznic. Lepiej się od brudu po tej wyprawie.

Skinęła głową. Spojrzał na nią z leciutkim uśmiechem, po czym wszedł do sypialni.

Pani March stała jeszcze chwilę w holu, zastanawiając się nad swoimi nowymi doznaniem, próbując o nich zapomnieć. Nagle

usłyszała ostry pisk w ścianach. Ostatnio po uruchomieniu prysznicza rozlegało się grzechocące wycie w rurach.

Wzdrygnęła się, widząc z boku czyjąś postać.

– Ach, to ty, Martho... – powiedziała.

Służąca wyszła z kuchni, wycierając ręce ścierką.

– Mogę wziąć torby, proszę pani?

– Tak, oczywiście. Na razie włóż je do skrzyni w salonie, dobrze? Dziękuję.

Martha wzięła torby. Pani March z wahaniem ruszyła za nią i minęła gabinet George'a. Drzwi były otwarte, czerwona tapeta z chińskimi motywami pochłaniała światło, na wielkiej kanapie stała otwarta walizka.

Kiedy służąca wchodziła do gabinetu George'a, pani March zawsze odczuwała lekkie niezadowolenie. Wydawało się, że Martha zdaje sobie sprawę, że nie powinna tam zaglądać, i starała się omijać sanktuarium pana domu. Pani March odczekała, aż Martha wróci do kuchni, po czym weszła do gabinetu, uspokojona brzękiem garnków i grzechotem talerzy.

Zbliżyła się do walizki i z lękiem uniosła palcem wieko. Nie wiedziała, czego szuka: może dowodu, że mąż to gwałciciel i morderca? Absurd. Czy wrócił na miejsce zbrodni, by zniszczyć dowody rzeczowe? Och, kolejna bzdura... Uznała, że jeśli znajdzie coś dziwnego, wszystko natychmiast stanie się jasne: zwiększyło to jej determinację. Obejrzała podszewkę walizki, zastanawiając się, czy coś pod nią zaszyto. Podszewka była płaska, mocno przylegała do skóry i nie dawała się oderwać, choć pani March ją szarpała. Odrzuciła na bok szalik, rękawiczki, kilka artykułów toaletowych i ściereczkę do przecierania okularów. Zwróciła jej uwagę jedna

z koszul. Była zaplamiona. Zacisnęła palce na rękawie i wyjęła ją ostrożnie, by obejrzeć plamy w świetle. Dotknęła czerwonobrazowego śladu, po czym doszła do wniosku, że to ślad po winie. A może krew zwierzęcia? Chociaż George twierdził, że niczego nie upolowali. Nawet jednego nędznego bażanta.

Podeszła do biurka, rozejrzała się, ale nie zauważyła niczego podejrzanego, niczego leżącego na niewłaściwym miejscu. Na biurku panował bałagan, choć miał w sobie coś uporządkowanego. Zauważyła notes, do którego zajrzała poprzednio, i otworzyła go, szukając wycinka z artykułem o Sylvii Gibbler. Już go tam nie było. Przewracała strony, lekko potrząsnęła notatnikiem, by zobaczyć, czy coś nie wypadnie. Przeczytała kilka słów – na oko były to przypadkowe notatki, pomysły, zdania do przyszłych książek. Pochyliła się nad biurkiem. Wyciągnęła szuflady, musnęła palcami pióra, koperty, spinacze do papieru, pudełeczka ze zszywkami.

– Szukasz czegoś?

Wydała cichy, przerażony okrzyk. Uniosła oczy i zobaczyła George'a, który stał w drzwiach z rękami splecionymi na piersi. Miał mokre włosy, na jego skroni widać było jedną nieruchomą kropelkę: wodę albo pot.

– Och, po prostu... – Spojrzała na szufladę i wyjęła pudełeczko ze zszywkami. – Jonathan chce spiąć pracę domową. Widzę mnóstwo zszywek, ale gdzie jest zszywacz? Za żadne skarby nie mogę go znaleźć...

George podszedł. Kropelka na skroni ciągle nie chciała spłynąć. Zakołysała się lekko, gdy minął panią March i sięgnął po zszywacz, doskonale widoczny na szczycie niewielkiej piramidy książek w rogu biurka. Wręczył jej zszywacz. Zawahała się. Spoglądali na siebie

zaciętym, niepokojącym wzrokiem, gdy nagle pani March usłyszała własne słowa:

– Zapomniałam o czymś. – Umilkła na chwilę. – Muszę kupić mleko dla Jonathana.

George przechylił głowę.

– Poproś Marthę, żeby poszła do sklepu.

– Nie, sama się tym zajmę. Jest zajęta prasowaniem.

– Przed chwilą wróciłaś do domu.

– Zapomniałam, po prostu zapomniałam...

Poszła do frontowych drzwi i zajrzała do niewielkiej garderoby w holu. Zaczęła szukać płaszcza i kapelusza, po czym zdała sobie sprawę, że ciągle ma je na sobie. Następnie otworzyła frontowe drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Ruszyła tyłem w stronę windy, obserwując drzwi apartamentu i zastanawiając się, czy George patrzy na nią przez wizjer. Obawiała się, że za chwilę wypadnie na korytarz i rzuci się w jej stronę; zamierzała uciec, gdyby to zrobił.

Jednak drzwi apartamentu pozostawały zamknięte, co ją uspokoiło. Chyba może iść po mleko. Zrobiłaby z siebie idiotkę, gdyby wróciła z pustymi rękami.

* * *

W domu towarowym kobiety w płaszczech pchały między półkami wózki na zakupy przy akompaniamencie powolnej, jazzowej, niemal pijanej wersji tańca cukrowej wieszczki z *Dziadka do orzechów* dobiegającej z głośników.

Pani March wyjęła karton mleka z buczonej lodówki w tylnej części sklepu, obserwując pozostałe klientki. Wydawało się, że pchają wózki bez celu, chodzą jak automaty po niewidzialnych

liniach prostych nakreślonych na podłodze – nigdy na siebie nie wpadały i nie patrzyły na siebie, gdy się mijały.

Spacerowała między półkami z kartonem mleka w ręku i zauważyła bezpański wózek w dziale z puszkowaną żywnością. Stał obok stoiska z piramidami puszek zupy firmy Campbell. Podeszła niepewnie do wózka, podejrzewając, że zza rogu wyjdą inne klientki sklepu, krzyząc: „Berek!”, po czym skaza ją na chodzenie po supermarkecie jak automat, dopóki w końcu nie znajdzie kogoś, kto ją zastąpi.

Kiedy zajrzała do wózka, z początku wydawał się zupełnie normalny. Kielbaski w plastikowej folii, puszki fasolki, siatki z ziemniakami i cebulami. Wreszcie, w szoku, dostrzegła coś przerażającego – egzemplarz powieści George’a. Obróciła się gwałtownie i na chwilę zamknęła oczy w nadziei, że po ich otwarciu jakimś cudem zobaczy inną powieść. Nic się nie zmieniło. Otaczały ją czerwono-białe piramidy puszek zupy firmy Campbell. Machinalnie sięgnęła po książkę i wsunęła ją pod pachę pod płaszczem.

Pośpieszyła do kasy, by zapłacić za mleko. Stojąc w kolejce, poczuła, że poca jej się ręce, a książka zaczyna się ześlizgiwać. Ostrożnie wyjęła portmonetkę ze strusiej skóry i przycisnęła książkę do boku. Zapłaciła, uśmiechając się blado do kasjerki.

Po wyjściu kilka razy obróciła w dłoniach powieść George’a, po czym wyrzuciła ją do kosza na rogu ulicy.

* * *

Wieczorem wcześniej się położyła, ale przez wiele godzin nie mogła zasnąć i leżała nieruchomo w ciemności. W końcu zaskrzypiały

drzwi sypialni, później się zamknęły. Poczowała, że George kładzie się obok niej. Zesztywniała. Ostatnio zawsze spała, gdy wchodził do łóżka; wstawał tak wcześnie rano, że zastanawiała się, czy w ogóle z nią spał. Zamknęła oczy i udawała, że śpi, po czym nagle wyobraziła sobie, że George ją dusi. Gwałci. Nie pamiętała, kiedy ostatnio uprawiali seks. Może po przyjęciu u Zeldy zeszłej wiosny? Na początku seks odgrywał ważną rolę w ich związku. George inicjował go codziennie, a pani March okazała się dość chętna, co ją trochę dziwiło. Seks z George'em wydawał się łatwy. Niewymagający. Kiedy go uprawiali, pani March miała pustkę w głowie, co działało na nią uspokajająco. W czasie jednego z seansów erotycznych, gdy Jonathan miał kilka lat, przyszło jej nagle do głowy, że dotyka jej ktoś inny. Wytrąciło ją to z równowagi. Dłonie na jej barkach sprawiały wrażenie chudszych, bardziej kościstych. W ciemności twarz mężczyzny wydawała się dziwnie szorstka – w owych czasach George był gładko ogolony, jeszcze nie nosił brody. Zdenerwowana, zastanawiała się, kim jest obcy człowiek, który pieści jej ciało. Wyobraziła sobie jego twarz – zapadnięte policzki i jasnozielone oczy? – po czym wyciągnęła rękę w stronę włącznika lampy. Kiedy rozbłysło światło, zobaczyła, że leży na niej George (któż inny mógłby to być?). Podała jakąś nieprawdopodobną wymówkę („myślałam, że uderzę piętą w wazon...”), po czym znowu podjęli stosunek. Później uznała, że tak bardzo kocha George'a, iż nie jest w stanie wyobrazić sobie seksu z innym mężczyzną.

Po kilku latach małżeństwa zaczęła traktować erotykę bardziej ambiwalentnie. Budziła w niej trwogę. Niezgrabne ruchy mężczyzny i kobiety, prymitywna mechanika stosunku, wilgotny, słonawy zapach męża, wilgoć między udami. Ciało pani March instynktownie

buntowało się na samą myśl o seksie i George inicjował go coraz rzadziej. Nie przejmowała się tym. Zdawała sobie sprawę, że mogliby się zwrócić do seksuologa, ale nigdy by się na to nie zdecydowała. Wolałaby umrzeć, niż zwierzyć się mężowi, że ma jakieś problemy z seksem; stanowił on dla niej trudny problem.

Wyrwało ją z zamyślenia głośne chrapanie męża i zastanawiała się, czy się nie zdrzemnęła. Kiedy dalej chrapał, uspokoiła się – nie zabije jej dziś w nocy.

XXI

W ciągu kilku następnych, wyjątkowo nieprzyjemnych dni stale padał śnieg. Media nazwały to „zimą stulecia”. Spodziewano się, że spadnie co najmniej sześćdziesiąt centymetrów śniegu, co mogło doprowadzić do zamknięcia szkół, awarii sieci elektrycznej w niektórych rejonach, utrudnień komunikacyjnych. Na całym północnym wschodzie Stanów rodziny gromadziły zapasy żywności, przygotowując się na przymusowy pobyt w domach.

Pierwszej nocy z nieba spadały jedynie płatki śniegu – budziło to niemal rozczarowanie po panicznych zapowiedziach. Ale śnieg padał nieustannie, bezlitośnie, przestał wyglądać malowniczo, zasypał całe miasto. Tkwili we trójkę w apartamencie jak w pułapce.

Rankiem śnieg przykrył samochody zaparkowane na ulicach i w dalszym ciągu padał, powoli, jakby z namysłem. Pani March i George zeszli do holu na parterze. Portierowi nie udało się dojechać, było zimno i cicho, światła nad recepcją wyłączono. Wyjrżeli na ulicę – zaśnieżony pejzaż przypominał krajobraz po wybuchu bomby atomowej. Gałęzie pobliskich drzew wyglądały zaś jak grube palce oblepione białą substancją.

Szkołę Jonathana zamknięto, więc odwołano również jasełka, co wprawiło go w ponury nastrój. Pani March była sfrustrowana, że matki pozostałych dzieci nie zobaczą kostiumu, który z takim trudem przygotowała na czas krawcowa – innym chłopcom

i dziewczynkom z pewnością nie uszyto strojów wykonanych z trzech metrów najlepszej wełny z merynosów (Jonathan miał wystąpić w roli niedźwiedzia w sztuce specjalnie napisanej na tę okazję przez ambitnego nauczyciela języka angielskiego, opowiadającej o leśnych zwierzętach próbujących wspierać i pocieszać nieśmiałą jodłę).

Odwołano wieczerze wigilijne, również u Marchów. Siostra pani March zatelefonowała z lotniska – z Waszyngtonu nie wystartował żaden samolot – i obiecała przyjechać na Nowy Rok. Matka George'a obawiała się zamieci i nie chciała opuszczać dzielnicy Park Slope na Brooklynie.

Sytuację pogorszyła nieobecność Marthy. Pani March przekonywała ją przez telefon, ale Martha zdecydowanie twierdziła, że nie dotrze do najbliższej stacji metra. W niepokojącym przypływie dobroduszości George zaproponował, że własnoręcznie przygotuje wieczerzę wigilijną.

– W lodówce jest kurczak – powiedział wesoło, jakby to wszystko rozwiązywało.

Trzymał kurczaka za nogi nad zlewem. Ptak wyglądał jak bezgłowe dziecko i kapał z niego różowy płyn. Pani March obserwowała, jak palce męża dotykają otworu w klatce piersiowej, szarpią płaty skóry. George pochylił się łapczywie nad kurczakiem, niemal zachwycony, przygryzając dolną wargę. Wydawał się podekscytowany. W okularach odbijała się dłoń, która zanurzyła się w korpusie zwierzęcia, po czym wyrwała wątrobę i serce. Gładkie, jakby opuchnięte, przypominające ogromne pijawki.

Siedzieli we troje przy stole, jedząc w ciszy wieczerzę wigilijną. Pani March dyskretnie wypluwała kęsy kurczaka na serwetkę, za

każdym razem wycierając usta. Później wyrzuciła zaplamioną serwetkę do kosza na śmieci.

Wigilia się skończyła. Jonathan wydawał się zadowolony z kolejki. George podarował pani March wełniany szalik, na pewno bardzo drogi. „Z wigonia” – wyjaśnił. Kiedy go wręczał, musnęli się palcami. Uśmiechnęła się promiennie i postanowiła przejrzeć powieść, by sprawdzić, czy Johanna miała szalik z wełny wigonia.

* * *

Bawili się, próbując rozluźnić atmosferę. Udawali, że są więźniami, chodzili na czworakach po salonie i chowali się za meblami przed tajemniczym porywaczem (odgrywanym przez George'a). Upływające godziny przypominały nieubłagane fale przyływu, a pani March naprawdę czuła się jak więzień – na jej szyi pojawiła się czerwona wysypka o barwie mięszu arbuza. Nie musieli opuszczać kamienicy, mieli wszystkie potrzebne zapasy – prognozowano, że zamieć skończy się za dwa dni. Jednak z każdą godziną coraz trudniej przychodziło jej uwierzyć, że przymusowy pobyt w mieszkaniu kiedyś się skończy, że znowu zajmie się uspokajającymi, rutynowymi czynnościami – ulica, pralnia chemiczna, kupowanie chleba z oliwkami.

Marzyła, by coś się wydarzyło, choćby drobnego, co przerwałoby straszliwą monotonię. Teraz jedną z najbardziej ekscytujących chwil dnia było przygotowanie podwieczorku. Miewała wrażenie, że widzi pająki kłębiące się w torebkach herbaty – raz zauważyła sterczącą włochatą nogę, ale po dokładnym przyjrzeniu się okazała się listkiem zielonej herbaty.

Jonathan regularnie chodził na górę do Millerów bawić się z Alekiem, który również czasem przychodził do apartamentu Marchów. Za zamkniętymi drzwiami sypialni Jonathana rozlegały się chichoty, a pani March była przekonana, że są tam więcej niż dwie osoby.

Tymczasem George spędzał długie godziny w gabinecie albo oglądał telewizję – w apartamencie rozlegały się bełkotliwe słowa Jimmy’ego Stewarta występującego w czarno-białym filmie.

Pamiętała, jak kiedyś czytała dziwną cienką książkę z biblioteki znalezionej w jednej z kabin w toalecie akademika. Opowiadała o żaglowcu o nazwie Peggy, bezradnie dryfującym na Atlantyku w osiemnastym wieku. Zapasy się wyczerpały, marynarze zjedli guziki i skórę, po czym postanowili ciągnąć losy. Był to „żeglarski obyczaj”. Wyobrażała sobie głód, poczucie klaustrofobii, beznadziejność. Powoli rozumieli, że wariują, nie mogą nic zrobić, widzieli tylko bezkresne morze i te same zapadnięte, wychudzone twarze w drewnianym wnętrzu statku.

Pani March zastanawiała się, czy ona i George byliby w stanie zjeść własne dziecko, by przeżyć. A może George i Jonathan rzuciliby się na nią?

* * *

Pewnego wieczoru siedziała na skraju wanny, oganiając się od irytującej muchy, którą słyszała, ale nie była w stanie dostrzec. Brzęczenie nie ustawało ani na chwilę, mucha kpiła z nieudanych prób jej odnalezienia.

Pani March wyciągnęła rękę w stronę kurka i zamarła. W wannie coś leżało. Nie poruszało się. Zamrugła. Martwy gołąb. Rozpostarte

skrzydła, skręcona szyja o metalicznej barwie. Ślepia o barwie jasnego bursztynu. Chciała ich dotknąć. Chyba nigdy nie widziała z tak bliska oczu gołębia. Czule zagruchała do ptaka.

Zachwycona myślą o nowym, ekscytującym wydarzeniu poszła do salonu do George'a.

– Obawiam się, że w wannie jest martwy gołąb, kochanie – szepnęła mu do ucha. Jonathan leżał na podłodze i oglądał telewizję. Nie chciała, by ją usłyszał albo dotknął martwego ptaka.

– Naprawdę? – spytał George, składając gazetę.

– Mógłbyś go wyrzucić? – spytała. – Nie jestem w stanie go dotknąć.

George zakasał rękawy i ruszył w stronę sypialni, by zająć się martwym ptakiem.

– Co oglądasz, Jonathanie? – spytała pani March. Jonathan wzruszył ramionami i nawet na nią nie spojrział.

Pani March wzięła gazetę czytaną przez George'a. Zauważyła, że ukazała się w przeddzień wielkich opadów śniegu.

– Chodź tu na chwilę, kochanie! – zawołał z sypialni George. Stał wsparty pod boki nad wanną. Odwrócił się w stronę pani March. – Nic tu nie ma.

Podeszła i spojrzała. Wanna była nieskazitelnie czysta, biała, nie zauważyła ani kropelki krwi czy kawałka pióra. Popatrzyła na niewielkie okno łazienki. Było zamknięte. Usiłowała sobie przypomnieć, czy wcześniej było otwarte.

Uniosła dłonie do twarzy.

– Ale przed chwilą... tu był.

– Może wyleciał?

- Nie, nie... - Chciała wyjaśnić, że to niemożliwe, że się przestraszyła. Urwała i popatrzyła na George'a. Obserwował ją, trzymając ręce w kieszeniach. Widziała jego niewielkie oczy za szklami okularów. Przygryzła kciuk.

- Może jesteś po prostu zmęczona? - powiedział ostrożnie. - Siedzisz całymi dniami w domu.

Popatrzyła na niego pustym wzrokiem. Nie odwrócił spojrzenia.

- Tak, może - odparła.

* * *

Zastanawiała się, czy George celowo ją torturuje. Prowadzi chorą zabawę. A może gołąb był ostrzeżeniem, by się wycofała?

Ostatniego wieczoru przymusowego uwięzienia w budynku szła do sypialni, by się położyć, gdy nagle usłyszała nieprzyjemny śmiech dobiegający z salonu. Weszła ostrożnie i zobaczyła George'a siedzącego w ulubionym fotelu ze szklaneczką whisky.

- Co cię tak rozbawiło? - spytała, zaciskając pośladki z obawy, że śmiał się z niej.

- Przypomniałem sobie coś, co mówił mój ojciec...

- Co mówił?

Spojrzał na nią i poruszył szklaneczką. Zagrzechotały kostki lodu.

- Ach, dokładnie nie pamiętam, jak to sformułował - odparł z krzywym uśmiechem.

Pani March poczuła ulgę, że nie chodzi o nią. Odetchnęła, rozluźniła pasek szlafroka i postanowiła kontynuować rozmowę.

- Przez całe życie zmagaliśmy się z cukrzycą, prawda?

- Tak, to było straszne. Nie dbał o siebie. Nie czuł, że zaczyna się gangrena. Jego skóra miała barwę grafitu. Zakażenie dotarło do

kości. W końcu odcinali mu nogi kawałek po kawałku. Pamiętasz, tematem mojego pierwszego opowiadania była amputacja. *Garść palców* – zaśmiał się, ale po chwili jego twarz się zachmurzyła. – Czasami znajduję inspirację w okropnościach. Myślisz, że jestem złym człowiekiem?

Pani March spojrzała na George'a, na jego badawcze, nieodgadnione oczy, dwuznaczny uśmiech, który zawsze wydawał się drwiący.

– Nie – odpowiedziała cicho.

Ujął jej dłoń i potarł palcem obrączkę.

– Zawsze widzisz we mnie to, co najlepsze – rzekł. Pogładził jeden z paznokci, a później uniósł dłoń do ust i delikatnie ugryzł.

XXII

Kiedy śnieg wreszcie stopniał, na ulicach znowu ukazały się samochody i rowery przypięte do latarni. Wszędzie stały kałuże brudnej wody, które wydawały się siedliskiem nadchodzącej zarazy. W gazecie opublikowano fotografie ponurych mieszkańców Red Hook przed drzwiami zalanych piwnic. W Central Parku konar drzewa zabił mężczyznę.

Marchowie wydawali przyjęcie noworoczne – zaprosili Lisę, siostrę pani March, i jej męża Freda. Matka George’a postanowiła spędzić wieczór z jedną z jego ciotek, a Paula, jak należało się spodziewać, wylegiwała się gdzieś na plaży, opalając długie jasnobrązowe nogi na koszt bogatego wujka.

Kiedy Lisa i Fred zastukali do drzwi, wszystko było przygotowane. Stół nakryto gustownie, wręcz wspaniale. Było to spotkanie rodzinne, ale pani March nie mogła znieść myśli, że siostra wróci do hotelu i powie mężowi, że oni sami wydają przyjęcia na wyższym poziomie.

Potrawy zamówiono w restauracji Tartt’s z trzytygodniowym wyprzedzeniem. Na blacie w kuchni stały desery przygotowane przez Marthę – różowe makaroniki przypominały zarumienione debiutantki na balu, ubrane w jedwabne suknie ozdobione wstążkami i czekające w kolejce na wejście na salę.

Atmosfera świąt była wręcz przytłaczająca: choinka wyglądała pięknie, z głośnika zestawu stereo dobiegały hawajskie życzenia

święteczne Binga Crosby'ego, na gzymsie kominka stały artystycznie ułożone kartki z życzeniami. Dziś przestawiła na sam front tanią, tandetną kartę siostry z wizerunkiem bałwanka pokrytego brokatem.

Odczekała chwilę przed otwarciem frontowych drzwi, żeby Lisa i Fred nie pomyśleli, że stała w holu, by natychmiast ich wpuścić. Pociła się ze zdenerwowania – sama nie wiedziała, co tak ją wytrąca z równowagi. Odczuwała dziwny niepokój.

Zaprosiła siostrę i szwagra do mieszkania, ciepło ich powitała. Była zachwycona, że biodra Lisy, opięte odrażającą wełnianą sukienką, wyraźnie się zaokrągliły. Wszelkie oznaki pogarszania się wyglądu siostry, choćby najdrobniejsze, sprawiały pani March ogromną radość. Matka od dzieciństwa je porównywała i pani March zawsze wypadła gorzej. „Dlaczego nie możesz się opanować? Popatrz na Lisę, jej babka też nie żyje!” – powiedziała do szlochającej pani March na pogrzebie staruszki.

Rzeczywiście, Lisa zawsze miała w sobie coś sterylne, nienaturalnie spokojne, jakby obserwowała życie z dystansu.

Wydawało się, że matka, pani Kirby, od początku nie lubiła pani March – dowodem było to, że nadała jej imię własnej matki, której nie znosiła. Jej pogarda do córki wyszła na jaw pewnego wieczoru, gdy upiła się sherry i wyznała, że pani March została poczęta przypadkowo i że zastanawiała się nad aborcją.

Pani March była zadowolona, że Jonathan nie ma rodzeństwa, z którym można go porównywać – i że pani Kirby nie ma innego wnuka w tym samym wieku. Siostra zrezygnowała z macierzyństwa, często powtarzała, że uwielbia podróżować po świecie, a poza tym jest bardzo zaabsorbowana opieką nad matką. Pani March podejrzewała, że była po prostu za chuda, by zająć w ciąży.

Przypuszczała, że po głodówkach w college'u Lisa przestała miesiączkować, a teraz jest już za stara.

Początkowo uważała urodzenie Jonathana za triumf nad siostrą – matka powinna być z niej dumna, bo osiągnęła coś, czego nie dokonała Lisa. Pani Kirby często powtarzała, że wydanie na świat potomstwa to największe osiągnięcie w życiu kobiety. Jednak kiedy pani March urodziła Jonathana, ojciec już nie żył, a pani Kirby zwykle milczała i widać było pierwsze oznaki demencji. „Cudowna Lisa!” – powiedziała, gdy po raz pierwszy wzięła Jonathana na rękę.

– Na dworze jest zimno jak w psiarni – odezwała się siostra. Miała zaczerwieniony nos. – Czy zima nie jest fantastyczna?

Mąż Lisy, Fred, podreptał w stronę pani March z pustym uśmiechem. Nieznośny, pompatyczny, gruby Fred. Kiedy pani March go poznała, natychmiast poczuła do niego antypatię. Specjalnie starała się go zawstydząć w towarzystwie. Kiedyś oznajmił z nadętą miną, że należący do Marchów zabytkowy stolik do herbaty z drewna cedrowego jest passé. „Osiemnastowieczne meble są dziś takie tanie... Ile za niego daliście?”

Fred dużo podróżował po świecie. Rzeźbił kamienie mani z buddyjskimi mnichami w klasztorze w Tybecie, pływał z rekinami na Bali („nic strasznego, naprawdę”) i oczywiście, niestety, przygotował własne foie gras podczas pobytu na farmie we Francji. Pani March, podróżująca tylko po Stanach Zjednoczonych i Europie (sama podjęła taką decyzję), uważała jego opowieści za groźne i męczące. Jednak żadne z tych upokarzających, oświecających doświadczeń w żaden sposób nie upokorzyło ani nie oświeciło Freda.

Poklepał George'a po plecach i cmoknął panią March w policzek. Przez cały wieczór czuła wilgoć na twarzy i miała ochotę ją wytrzeć.

– Wypijmy wreszcie trochę przyzwoitego wina, Georgie, a nie coś takiego, co podałeś ostatnim razem – powiedział ze śmiechem Fred i wyciągnął groteskowo wielką butelkę. – Mam też dla dam wino z bzu czarnego domowej roboty – dodał, wyjmując mniejszą butelkę.

– My też chcemy skosztować naprawdę dobrego wina, kochanie – rzekła Lisa, przeglądając się w lustrze w holu.

– Nie, nie, wy dziewczyny będziecie pić wino z bzu czarnego. Nie potraficie docenić, jak dobre jest to wino.

– Potrafimy! – odparła Lisa, choć bez przekonania.

– Sama mówiłaś, że nie odróżniasz taniego czerwonego wina od Vega Sicilia.

Pani March spojrzała z ukosa na George'a, który roześmiał się dobrodusznie i wziął butelki. Zacisnęła usta. W trakcie ostatniej wizyty w domu siostry i Freda w Marylandzie ona i George pili bardzo kwaśne wino. Na stojaku z winami w kuchni widać było imponujące roczniki, ale Fred nalał wina z butelki, która musiała stać otwarta na blacie co najmniej cztery dni.

Patrzyła na Freda, który przechwalał się, jak tanio kupili bilety lotnicze.

– Okazja, fantastyczna okazja – mówił. – Dziękuję, kochanie – zwrócił się do pani March, gdy wzięła jego płaszcz. – Gdzie Martha? Gdzie się podziała ta cudowna dziewczyna?

– Martha ma dziś wolne – odpowiedziała pani March, biorąc płaszcz siostry, miękki, wełniany, zbyt dziewczęcy jak na jej gust, po czym powiesiła oba płaszcze w garderobie. – Jest sylwester.

– Nasza służąca zawsze jest obecna w domu, nawet w sylwestra i Boże Narodzenie – rzekł Fred. – Trzeba uzgadniać takie rzeczy na początku, bo inaczej służba to wykorzystuje.

– Przepiękna broszka! – powiedziała z teatralnym zachwytem Lisa, patrząc na panią March, która natychmiast zrozumiała, że to kłamstwo. Przed laty podarowała Lisie na urodziny taką samą broszkę i siostra nigdy jej nie nosiła.

– Wow! Twoja powieść musi naprawdę dobrze się sprzedawać, George – zauważył Fred, gdy weszli do salonu. Pani March delikatnie usiłowała ich tam skierować, odkąd przekroczyli próg apartamentu. – Popatrz tylko, Liso!

– Tak, to sukces, prawda? – spytała Lisa. – Czytałam entuzjastyczne recenzje. Nie zabrałam się jeszcze do lektury, ale...

– Lisa tylko udaje, że czyta! – prychnął Fred. Zaczerwienił się. Przypominał ubraną w fartuch piekarkę z epoki wiktoriańskiej, która czymś się zdenerwowała.

– Nie udaję – odparła Lisa z błyskiem irytacji w oczach.

– Jak uważasz, kochanie. To oryginalny Hopper? Ile kosztował?

– Wisi u nas od lat – odparła pani March. Starła się mówić rzeczowo, by nie wydawało się, że się broni. – Rozmawialiśmy o nim w czasie twojej ostatniej wizyty.

– Jestem pewien, że nigdy w życiu go nie widziałem.

– Widziałeś.

– Nie, na pewno bym pamiętał.

– Siadajmy do stołu, dobrze? – wtrącił George. – Jestem głodny jak wilk.

Weszli do jadalni przez przeszklone drzwi.

Stół wyglądał wspaniale. Na środku stał wazon z magnoliami, a obok ręcznie malowane półmiski i wazy z porcelany. Wśród wystawnych dań były duszone przegrzebki z sosem karmelowym i szynka ozdobiona plasterkami ananasa. Pani March wiedziała, że Jonathan nie znosi ananasów, ale było to najbardziej imponujące danie, jakie mogła podać (pieczona szynka z ananasami serwowana przez restaurację Tartt's, mimo pozorów prostoty, stanowiła kwintesencję wyszukania i sztuki kulinarnej). Poza tym danie miało w sobie coś domowego, krojący je George wyglądał, jakby pozował do obrazu Normana Rockwella. Jonathan musi się zadowolić przegrzebkami.

– Ach, stół jest naprawdę śliczny! – zauważyła Lisa.

– Powiedz szczerze: co właściwie sama przygotowałaś? – spytał żartobliwie Fred. Pani March poczuła przyływ obrzydzenia.

– Korzystałam z pomocy specjalistów – odpowiedziała.

– Łatwo się domyślić – rzekł Fred, obnażając małe, równe zęby, podobne do mleczaków dziecka.

Mężczyźni, jak to mężczyźni, w milczeniu zabrali się do jedzenia. Kobiety piły wodę mineralną i napełniały żołądki warzywami gotowanymi na parze. Pani March w czasie całego posiłku spoglądała na Lisę i starała się ją naśladować. Brała do ust kolejne kęsy tylko wtedy, gdy robiła to siostra.

Fred zupełnie się nie krępował i jadł łapczywie. Miał odrażający zwyczaj oddychania przez nos między kęsami, od czasu do czasu wydawał krótkie chrapnięcia.

– Zostaw coś dla nas, kochanie – powiedziała ostrożnie Lisa.

Pani March trzymała w dłoni kieliszek i czekała, aż Lisa znowu włoży coś do ust. Siostra starannie dzieliła porcje chleba i ocierała

serwetką kącik warg – nawet gdy niczego nie zjadła. Już w dzieciństwie była pretensjonalna, nawet gdy jako dziewczynki dla zabawy wyobrażały sobie przyszłych idealnych kandydatów na mężów. Zawsze opisywała tego samego mężczyznę: wysokiego Europejczyka z lekko rozwichrzonymi włosami, nieco niezgrabnego, ale miłego. Skromnego intelektualistę. Pani March popatrzyła na Freda, łysiejącego na czubku głowy, z tłustym podwójnym podbródkiem podrażnionym po goleniu, z dłońmi zaciśniętymi na blacie stołu. Fantazjowała, że cofa się w czasie, wraca do apartamentu rodziców, do sypialni położonej obok pokoju siostry (miały wspólną łazienkę). Mała Lisa nigdy by nie uwierzyła, jakiego zdobędzie męża – pani March też w to nie wierzyła. Lisa byłaby zazdrosna, gdyby się dowiedziała, że przyszły mąż młodszej siostry będzie sławnym pisarzem. Prawdopodobnie mordercą i gwałcicielem. Uśmiech pani March zbladł.

– Poproszę o ziemniaki. – Usłyszała cichy głos obok siebie. Popatrzyła na Jonathana. Zapomniała, że siedzi przy stole. Nadrobiła to niedopatrzenie dramatycznie dużą porcją ziemniaków, a później odgarnęła włosy syna, mając nadzieję, że wyda się to czułym gestem. Jonathan znowu skupił uwagę na jedzeniu.

– Coś mu dolega? – spytał Fred. Pani March zdała sobie sprawę, że ich obserwował. Na początku przypuszczała, że mu się podoba jako kobieta, ale po upływie kilku lat doszła do wniosku, że jego intencje są znacznie bardziej złowrogie.

– Nic mu nie dolega – odpowiedziała nieco zbyt piskliwie, bo sama często zadawała sobie to pytanie.

– W jego wieku byłem znacznie żywszy – rzekł Fred. Jego małe oczka lśniły, policzki były wypchane szynką z ananasem. – Ciągłe

biłem się z kolegami. Kiedy mali chłopcy się biją, uczą się być mężczyznami.

Lisa zaprotestowała leniwie, a Fred odparł:

– To prawda. Inaczej nie potrafiliby się bronić.

– Cóż, może przydałaby mu się psychoterapia – zauważyła Lisa.

Pani March poczuła lodowaty chłód. Siostra znowu ją zdradziła. Spojrzała na nią z absolutną, jednoznaczną nienawiścią.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – powiedziała, nakładając sobie nową porcję warzyw, choć nie zjadła leżących na talerzu.

– Dlaczego? – spytała Lisa.

– Nie wierzę w psychoterapię – wtrącił Fred. – Dzieci muszą się zmierzyć z życiem. Inaczej nigdy nie staną się samodzielne. Zawsze będą potrzebować wsparcia rodziców.

– Czemu nie wyślecie go do psychologa? – ciągnęła Lisa, nie zwracając uwagi na Freda. – Z powodu twoich doświadczeń? Uważasz, że ci nie pomógł?

– Nie bądź niemądra – odpowiedziała pani March, oblewając się rumieńcem. – Zupełnie o tym nie myślę. O wszystkim zapomniałam.

W rzeczywistości pani March nie zapomniała sesji z doktorem Jacobsonem. Poczekalni, pogniecionych czasopism dla dzieci z wypełnionymi krzyżówkami. Długiego korytarza prowadzącego do gabinetu, cichych głosów za drzwiami. Doktor Jacobson pytał, jak reaguje na różne sytuacje, a ona czuła presję, by udzielać odpowiedzi, które sprawią mu przyjemność.

– Kiedy chodziłaś do psychologa, kochanie? – spytał George.

– Och, dawno temu, jako mała dziewczynka. To drobiazg, jedna sesja albo dwie. Zdaje się, że raz ugryzłam służącą. – Przewróciła oczami i się uśmiechnęła.

– Nie chodziło tylko o ugryzienie służącej, prawda? – odezwała się siostra. – Musisz to pamiętać.

Pani March odwróciła wzrok, ale czuła na sobie spojrzenie Lisy. George pożerał ostatnią krewetkę owiniętą plastrem boczku.

Fred, oparty o stół, jakby zmęczył się dźwiganiem własnego brzucha, zaproponował wzniesienie toastu z okazji nowego roku na cześć hojnych gospodarzy, państwa Marchów. Jego grube, pomarszczone wargi lśniły, gdy patrzył lubieżnie na panią March. Usiłowała wytrzymać jego spojrzenie, ale nie mogła.

* * *

Nazajutrz rano – w pierwszy dzień nowego roku – zaparzyła filiżankę herbaty i dmuchała na nią lekko, stojąc przy oknie sypialni. „Królik, królik, królik!” – szepnęła, spoglądając na sąsiednie budynki, na puste okna. Mówiła coraz głośniej i w końcu zaczęła krzyczeć: „Królik, królik, królik!”, aż szyba pokryła się parą.

XXIII

Tydzień po rozpoczęciu zajęć dyrektorka szkoły Jonathana zaprosiła panią March do swojego gabinetu.

– Obawiam się, że doszło do nieprzyjemnego incydentu – powiedziała. – To... dość delikatna sprawa i nie chciałabym o niej rozmawiać przez telefon.

Pani March postanowiła odgrywać rolę eleganckiej, charyzmatycznej matki, zatroskanej o syna, lecz surowej wobec personelu pedagogicznego, enigmatycznej, ale ciepłej. Założyła najlepsze klipsy i w dobrym nastroju pojechała taksówką do Upper West Side, jednak gdy w drodze do Central Park West kierowca cały czas gwałtownie hamował, poczuła lekkie mdłości.

W dzieciństwie odwoził ją do szkoły szofer ojca. Robił to dziesięć lat, lecz rzadko widywała jego twarz. Pamiętała tylko kark kierowcy – masywny, porośnięty krótkimi włoskami – widoczny nad fotelem. Kiedy ojciec jechał do pracy nieco później, towarzyszył jej w samochodzie, ubrany w elegancki garnitur szyty na miarę. Czytał wiadomości biznesowe w porannych gazetach, które czekały rozłożone na tylnym siedzeniu. Zapach farby drukarskiej, podobny do woni benzyny, zawsze przyprawiał panią March o mdłości. Raz wymiotowała na skórzaną tapicerkę samochodu i drewniane panele drzwi (celowała w okno). Szofer, jak zawsze dyskretny i miły, próbował ją pocieszać i trochę mu współczuła – przynajmniej udało jej się wytrzymać do chwili, gdy ojciec wysiadł z samochodu.

Następnego ranka limuzyna przyjechała czysta i pachnąca świeżością, jakby nic się nie stało.

Wachlując się, by się uspokoić, pani March wysiadła z taksówki przed szkołą Jonathana, obok której grali w koszykówkę uczniowie drugiej klasy. Dobiegały stamtąd krzyki, a niekiedy piski. Wszyscy chłopcy byli ubrani w obowiązkowe mundurki szkolne.

Pani March zauważyła mężczyznę stojącego koło ogrodzenia. Dobrze wiedziała, jaki rodzaj mężczyzn kręci się w pobliżu szkół i w parkach. Matka bardzo wcześniej ją ostrzegła – kiedy po raz pierwszy, w wieku dziewięciu lat, wysłała córkę do spowiedzi – że nigdy nie powinna całkowicie ufać mężczyznom.

– A tacie? – spytała pani March, spodziewając się, że będzie to wyjątek od reguły, zwłaszcza że matka zawsze chwaliła ojca.

– Nigdy nie trać czujności – odrzekła pani Kirby.

W szkole powietrze pachniało metalem i wilgotnym drewnem, a nie dziećmi. Pani March była z tego zadowolona. Na zielonych i brązowych ścianach przypominających mury więzienia wisiały gdzieś tam tablice korkowe z kolorowymi rysunkami. Na korytarzach panowała nabożna cisza, jak w kościele, z wyjątkiem monotonnego głosu nauczyciela, który stopniowo się nasilał, gdy pani March szła po lastryko pokrytym brązowymi plamkami.

Dyrektorka, którą pani March pamiętała z pierwszej wizyty w szkole, miała bujne kasztanowe włosy, blady uśmiech i niewielki ostry nos przypominający dziób wróbla. Zaprosiła panią March do gabinetu – ciasnego pokoiku ozdobionego kolorowymi dywanikami i niedobranymi meblami. Na propozycję dyrektorki usiadły naprzeciwko siebie na ciężkich fotelach, jednym obitym tkaniną w tureckie wzory, a drugim materiałem w szkocką kratę.

– Bardzo dziękuję, że pani przysłała – powiedziała dyrektorka, gdy pani March utonęła w wielkim fotelu. – Przepraszam za kłopot, ale uważałam, że powinniśmy porozmawiać o tej sprawie osobiście.

Zapadło milczenie. Dyrektorka uśmiechnęła się uspokajająco, wokół jej oczu pojawiły się kurze łapki.

– Naturalnie – odparła pani March.

– Jak pani wie, nigdy wcześniej pani nie zapraszałam, i mam nadzieję, że nie okaże się to konieczne w przyszłości. – Dyrektorka głęboko zaczerpnęła tchu. – Czy Jonathan ma jakieś kłopoty w domu? Może... coś go zdenerwowało w czasie ferii?

Pani March zamruła.

– Nie – odparła.

– Mogło chodzić o niewinną ciekawość, rozumie pani. Chłopcy w jego wieku bywają przekorni, chcą zobaczyć wszystko na własne oczy... Nie zdają sobie sprawy, że... mogą kogoś skrzywdzić. –

Dyrektorka westchnęła, splatając dłonie na kolanach. – Niestety, Jonathan postąpił bardzo nieładnie. Po powrocie z ferii zimowych zachowywał się normalnie, ale potem, no cóż...

Pani March słuchała dyrektorki i patrzyła na postrzępiony dywanik z podwiniętym rogiem, na oprawione fotografie z wycieczek narciarskich stojące na biurku, na książki o psychologii okresu dojrzewania na półkach. Jako dziewczynka tylko raz została wezwana do gabinetu dyrektorki szkoły, po napisaniu brzydkiego liściku do koleżanki z klasy. List brzmiał: „Kochana Jessico, wszyscy cię nienawidzą i niedługo umrzesz. Taka jest wola Boga. Uczennica czwartej klasy”. W tej chwili nie rozumiała, dlaczego Jessica, zupełnie bezbarwna dziewczynka, tak ją denerwowała (od tamtej pory śmiertelnie nienawidziła imienia Jessica). Obserwowała

koleżankę na boisku i patrzyła z wściekłością, jak podkolanówki stopniowo się zsuwają na jej łydkach, obnażając różową skórę. Była zima i panował lodowaty chłód, a wszystkie pozostałe dziewczęta nosiły sztruksowe spodnie i wełniane rajstopy. Spoglądała na niczego niepokojącą Jessicę, jak tańczy. Wspierała się pod boki, śmiała się piskliwie, jasne włosy odbijały się od piersi. Wyglądała jak idiotka. Obserwowała Jessicę w klasie – patrzyła, jak ogryza paznokcie z głową pochyloną nad zeszytem. Między lekko rozchylonymi wargami widać było zęby z niewielkimi odstępami. Jessica stale zgłaszała się do odpowiedzi, unosiła rękę, piskliwie skomlała: „Ja! Ja! Ja!”. Kiedy występowała w przedstawieniu baletowym, pani March siedziała wśród publiczności. Patrzyła na tańczącą koleżankę, na jasne włosy upięte w słodki koczek, na maleńkie sterczące sutki pod różowym trykotem i czuła straszliwą zazdrość pulsującą w całym ciele. Zazdrość krążyła w jej żyłach, gdy usiadła po lekcji matematyki, napisała list i wsunęła go do tornistra Jessiki.

Kiedy odkryto list, wybuchła afera. Nauczycielka wykonała fotokopię i rozdała odbitki wszystkim nauczycielom czwartej klasy. Pani March wyrzucała sobie, że w nieprzemyślany sposób, zadowolona z siebie, ujawniła swój rocznik, ale przecież nie spodziewała się, że ta świnka Jessica pokaże komuś list.

– Dobrze znam Jonathana – powiedziała dyrektorka. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił, ale powinna pani rozumieć, że nie mogę mu pozwolić demoralizować innych uczniów...

Pani March zadygotała. Często czuła mdłości, gdy była głodna, i przyjechała do szkoły prawie na czczo. Dlaczego zjadła tak niewiele na śniadanie? Usiłowała sobie przypomnieć.

– Nie możemy tolerować w szkole zachowań tego rodzaju – ciągnęła dyrektorka. – Zdaje sobie pani z tego sprawę?

– Oczywiście.

– Świetnie, bardzo się cieszę. Jonathan może wrócić do szkoły po upływie okresu zawieszenia...

– Zawieszenia?

Dyrektorka zmarszczyła brwi.

– Cóż, tak, pani March. Jak wspomniałam, nie może nie ponieść kary. Rzuciłoby to złe światło na szkołę. Szczerze mówiąc, również na mnie. I byłoby niesprawiedliwe wobec rodziców dziewczynki. Musimy dawać przykład.

– Tak, rozumiem – odpowiedziała pani March, niczego nie pojmując. Pociła się w ciężkim płaszczu, którego wcześniej nie zdjęła, a teraz byłoby jej głupio wstawać i go ściągać. Z pewnością miała mokre plamy pod pachami.

– Jak powiedziałam, Jonathan może dziś odbyć resztę zajęć. Wróci do szkoły w przyszłym tygodniu.

Dyrektorka wstała. Pani March uznała to za znak, że rozmowa jest zakończona, i również wstała. Podziękowały sobie; powtarzały podziękowania tyle razy, że pani March zastanawiała się, jakie krzywdy sobie wyrządziły, że muszą dziękować w taki sposób. Dyrektorka odprowadziła ją do drzwi i uśmiechnęła się na pożegnanie.

Kiedy pani March łąpała taksówkę, zaczepił ją bezdomny.

– Hej ty, stara, nie nadajesz się do ruchania! – ryknął. Pośpiesznie wsiadła do auta i zatrzasnęła drzwi.

XXIV

Zbliżając się do kamienicy, pani March zauważyła grupkę ludzi skulonych na chodniku. Próbowali się rozgrzać. Jeden chodził w kółko, paląc papierosa. Ich twarze były niewidoczne i trudno było się zorientować, czy to kobiety, czy mężczyźni: wszyscy mieli na sobie obszerne zimowe płaszcze i kapelusze nasunięte na oczy. Większość trzymała w rękach identyczną książkę – nową powieść George’a. Jeden ścisnął ją dłońmi odzianymi w rękawiczki, innemu wystawała z kieszeni. Domyśliła się, że polują na George’a albo zauważyli go wchodzącego do budynku – a teraz czekają w nadziei, że zdobędą fotografię albo autograf.

Kilku z nich zerknęło na panią March, gdy wbiegła do kamienicy. Portier uchylił przed nią drzwi. Stał sztywno wyprostowany i milczał.

– Dzień dobry! – rzekła. Nie odpowiedział. Przeszła przez hol, trzepocąc powiekami, zdeorientowana. Czy wypowiedziała pozdrowienie na głos, czy tylko jej się zdawało?

* * *

Tego wieczoru rodzina Marchów zasiadła razem do kolacji. Jonathan, zajmujący miejsce naprzeciwko pani March, spożywał posiłek w milczeniu. Zerknęła na niego ukradkiem, przyglądała się zapadniętym, podkrążonym oczom. Syn zachowywał się

powściągliwie i doszła do wniosku, że w słowach dyrektorki nie było ani krzty prawdy.

Pamiętała słowo „demoralizacja” i miała wrażenie, że czuje smród zgnilizny. Chwytając się ostatniej deski ratunku, pomyślała, że może to Jonathana zdemoralizowano. Namówił go do jakichś ohydnych rzeczy kolega z klasy albo... popatrzyła na George’a, który jadł posiłek, głośno mlaszcząc. „To on go zdemoralizował” – pomyślała. „Ten potwór zdemoralizował moje dziecko”.

– Mógłbym prosić o ziemniaki, kochanie? – rzekł George, nie unosząc oczu znad talerza.

– Tak, ziemniaki – powtórzył jak echo Jonathan.

Pani March przesunęła w ich stronę półmisek i nagle z elektryzującą jasnością zauważyła, jak bardzo są do siebie podobni. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiała (wydawało się, że Jonathan powstał samoistnie, bez udziału materiału genetycznego ojca i matki), ale teraz widziała wyraźne podobieństwo – krzywiznę czoła, linię włosów, kształt brwi. Z ulgą skonstatowała, że ich oczy całkowicie się od siebie różnią: jeśli oczy rzeczywiście są oknami duszy, można przyjąć, że ich dusze są inne. Jonathan miał długie rzęsy, a jego duże, puste oczy błyszczały – w ogóle nie przypominały małych, świdrujących, sprytnych oczu męża. Może stały się takie dlatego, że George był krótkowidzem i przez wiele lat czytał książki, korzystając z okularów. Jako dziecko mógł mieć duże, puste oczy, podobnie jak Jonathan. Teściowa utrzymywała, że George był niezwykle inteligentnym dzieckiem. Zawsze ubóstwiała syna. Pani March przypuszczała z goryczą, że po śmierci ojca George’a ich relacje stały się szczególnie bliskie. Zjednoczyli się w żałobie. George mówił, że jego ojciec był rygorystą, zawsze zachowywał dystans.

Pani March nagle pomyślała, że może to nie śmierć ojca była prawdziwą traumą. Może ojciec go maltretował i nikt o tym nie wiedział? Pił i biciem zmuszał syna do posłuszeństwa. Strofowała męża w myślach za ukrywanie bolesnej przeszłości. Przypuszczała, że się wstydzi albo obwinia samego siebie, podobnie jak wiele maltretowanych dzieci. A może George to lubił?! Na samą myśl stłumiła jęk, a szparag, który próbowała połknąć, utkwił jej w gardle. Może ojciec zmienił go w potwora, a teraz George robi to samo z Jonathanem? Dziadek, ojciec i syn: dynastia potworów.

Popatrzyła na męża, później na Jonathana. Nie zwracali na nią uwagi. Przez ułamek sekundy zastanawiała się nawet, czy w ogóle przebywa w jadalni. Poprosili o ziemniaki, prawda? Chciała się do nich odezwać, musiała się odezwać, by potwierdzić swoją obecność. Odchrząknęła i powiedziała:

– Jonathanie, powiesz ojcu, co się wydarzyło dziś w szkole?

Chłopiec uniósł oczy. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, zmarszczył brwi. George zerknął na niego znad okularów.

– Poe? – rzekł.

– Zostałem zawieszony – odezwał się Jonathan, wbijając wzrok w talerz.

George westchnął z rezygnacją. Nie wydawał się zaskoczony.

– Zrobił coś brzydkiego młodej dziewczynce – wyjaśniła pani March. Zaschło jej w ustach.

George znowu spojrzął na syna znad okularów.

– Tak nie wolno. Uczyliśmy cię, jak powinieneś się zachowywać – powiedział surowo. – Nie będziemy tolerować takich ekscesów. Szczerze mówiąc, jestem zawiedziony, podobnie jak twoja matka. Powinieneś się pohamować.

– To nie moja wina – odparł Jonathan z nutą żalu w głosie. – Alec namawiał do tego chłopców...

– Alec? – spytała pani March. Odzyskiwała nadzieję. Myśl o tym, że piętro wyżej Sheila przeżywa te same udręki, budziła w niej rozkoszny dreszczyk. – Też został zawieszony?

Jonathan pokręcił głową, ciągle wpatrując się w talerz.

– Nie, nie wysłano go nawet do dyrektorki, ale to wszystko jego wina...

George uderzył pięścią w stół. Pani March się wzdrygnęła.

– Skandal! – zawołał. – Masz osiem lat, zostałeś zawieszony i nie jesteś nawet w stanie przyznać się do tego, co zrobiłeś! To twoja wina, tylko twoja! Przemyśl swoje postępowanie, Jonathanie, i niech to się więcej nie powtórzy!

Pani March w oszołomieniu patrzyła na scenę rozgrywającą się nad jej oczami. George zaciskał zęby, miał rozszerzone nozdrza. Obok leżała przewrócona solniczka. Nie pamiętała, kiedy ostatnio widziała męża tak rozwścieczonego. George nigdy nie traktował Jonathana surowo. Wyobrazila sobie rozjuszonego George'a z Sylwią – błagała o życie, leżąc na podłodze sypialni, a George stał nad nią i mówił, że to wszystko jej wina, że poniesie odpowiedzialność za swoje czyny. Za to, że go drażniła, prowokowała. Później, gdy została zgwałcona i konała, do ostatniego tchu błagała o życie, a George głośno się śmiał. Pani March zadrżała, wyobrażając sobie tę straszliwą scenę. Przygryzła policzki, z których popłynęła krew.

– Idź do swojego pokoju. Kolacja skończona – rzucił George. Jonathan wstał z krzesła i wybiegł z jadalni, nie patrząc na ojca i matkę.

Pani March zerknęła kątem oka na męża, który jadł posiłek. Obserwowała, jak kroi szparag. Przełknął ostatni kęs, zmarszczył brwi i spytał:

– Czy ktoś nie obchodzi dziś urodzin? Może twoja siostra?

– Nie – odparła. Obawiała się, że uzna jej odpowiedź za szorstką, i dodała: – Lisa ma urodziny we wrześniu.

– Ach, prawda. Jestem pewien, że dziś są czyjeś urodziny, ale nie pamiętam czyje.

„Sylvii” – pomyślała pani March.

– Mogę zjeść resztę twojej porcji? – spytał George, kiwając głową w stronę jej talerza. – Skoro nie masz ochoty...

Przesunęła talerz w jego stronę. Zwykle jadał lekkie kolacje, bo po ciężkim posiłku trudno mu się pisało. „Może gniew wyzwolił w nim głód” – pomyślała. „Może żywi się gniewem, karmi się złą atmosferą jak pszczoła spijająca rosę z płatka kwiatu”.

* * *

Tej nocy, kiedy pani March spała, George usiadł na łóżku, ale nie był to George, tylko diabeł.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – powiedziała. Pogładził jej policzek długim żółtym szponem.

– Masz w sobie stado demonów, moja droga – odparł.

– Tak.

– Znalazły drogę wejścia.

– W poniedziałek przyjdzie tępicieł robaków – rzekła. – W domu pojawiły się karaluchy.

– Co się stało z twoim uchem? – spytał diabeł, gładząc jej małżowinę żółtym szponem.

- Och, oparzyłam się, ale już wszystko w porządku.

- Doprawdy?

Dotknęła palcem ucha i poczuła strupek.

- Rzeczywiście, dziwne – odparła. – Myślałam, że oparzenie już się zagoiło. – Małżowina odłamała się z trzaskiem jak rozchwiany ząb wyrywany ze szczęki. Pani March podała ją George’owi, by ją obejrzał, a on włożył ją do ust, pogryzł i połknął. Uznała to za dość niegrzeczne. – Przepraszam, ktoś mnie woła – powiedziała głośno.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nikt cię nie woła – rzekł.

- Tak, z holu.

- Przedpokój jest pusty.

Otworzyła oczy. Stała w sypialni z dłonią na gałce drzwi. Było ciemno, przez niestarannie zaciągnięte zasłony wpadało blade światło księżyca. Pod drzwiami widać było smugę światła z holu.

Powoli obróciła gałkę i otworzyła drzwi. Na zewnątrz ktoś się czał – ciemna postać stojąca w cieniu, obrócona w stronę pani March, nieruchoma. Zrobiła krok do tyłu, chwytając ustami powietrze. Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do mroku. Jonathan. Był sztywno wyprostowany, spoglądał pustym wzrokiem obok pani March.

Miał otwarte oczy, ale nic nie widział. Uklękła i potrząsnęła nim. Zamrugał, zdziwiony, i się rozplakał. Przytuliła go, a raczej to on ją przytulił. Kiedy przywarł do niej drobnym ciałem, zauważyła, że w gabinecie George’a pali się światło. Stali przez chwilę, przytuleni, a pani March patrzyła na światło pod drzwiami gabinetu.

W ciągu następnych kilku dni Jonathan ciągle zaskakiwał panią March – nagle wyrastał przed nią jak spod ziemi. Po chwili przypominała sobie, że został zawieszony, i próbowała nawiązać z nim kontakt, lecz chłopiec, podobnie jak matka, nie był rozmowny. Często nie patrzył jej w oczy, a kiedy już to robił, myślała o tym, co zasugerowała dyrektorka. „Jak zrozumieć psychikę ośmioletniego dziecka?” – zastanawiała się.

Nie wiedziała, czym go zająć, więc kupiła kredki i kolorowanki. Poprosiła Marthę, by przynosiła mu do pokoju kanapki i patery z owocami. Pewnego ranka zabrała go na lodowisko Wollmanów w Central Parku. Był chłodny, pogodny, styczniowy dzień, a niebo nadawało budynkom lazuruowy odcień.

Czekała, aż Jonathan włoży łyżwy, po czym nagle w pobliżu rozległ się krzyk. Zobaczyła wrzeszczącego mężczyznę, który wybiegł spośród drzew i popędził w jej kierunku. Zamarła, ściskając gronostajową etolę. Zauważyła, że nieznajomy trzyma na rękach niemowlę, cmokał do niego, a dziecko piszczalo z radości. Uśmiechnęła się z przymusem, ale serce biło jej tak mocno, jakby miało lada chwila pęknąć. Kiedy Jonathan niezgrabnie wyszedł na lodowisko, z trudem się uspokoiła i przestała kurczowo ściskać etolę.

Obserwowała go z trybun dla widzów i nagle zauważyła znajomą twarz – matkę jednego z kolegów z jego klasy. Na początku

próbowała się ukryć, przyłożyła dłoń do czoła, jakby osłaniała oczy przed słońcem, lecz niestety została dostrzeżona.

– To ja, Margaret, Margaret Melrose! Jestem mamą Petera! – Przysadzista Margaret przyszła na lodowisko z kilkuletnim synem i mężem. Pani March natychmiast wpadła w dobry humor, ponieważ obecność męża Margaret w Central Parku w dzień powszedni mogła oznaczać, że stracił pracę.

– John wziął wolny dzień, żeby spędzić z nami trochę czasu – wyjaśniła Margaret. Promieniała z dumy.

– Cudownie – odparła pani March.

– To Jonathan? Dlaczego nie jest w szkole?

– Jego babcia poważnie zachorowała – rzekła z westchnieniem pani March. – Bardzo ją kocha. Postanowiliśmy go zwolnić na kilka dni. – Pochyliła się w stronę Margaret i powiedziała cicho: – Uważamy, że staruszka nie dożyje niedzieli, więc... – z zadowoleniem kiwnęła głową, gdy Margaret jęknęła – ...Jonathan spędza z nią ostatni tydzień.

– O Boże! – odpowiedziała Margaret z przerażoną miną. – Bardzo mi przykro. To miło z pani strony, że dba pani o syna. Na pewno to docenia.

Pani March uśmiechnęła się i skromnie spuściła oczy. Wyobraziła sobie Margaret Melrose witającą się wieczorem z synem po jego powrocie ze szkoły. Powie mu, że spotkała Jonathana na lodowisku i że jego babcia jest ciężko chora, po czym doda, że w ciągu następnych tygodni powinien być miły dla syna pani March. Zaskoczony chłopiec nieśmiało zdradzi prawdę. Może nie zna dokładnej przyczyny zawieszenia Jonathana? Ale pani March

wiedziała, że dzieci uwielbiają plotki, są okrutne i nic się przed nimi nie ukryje.

– A gdzie George? – spytała Margaret, inteligentnie zmieniając temat. – Pisze, jak się domyślam?

– Owszem. Przygotowuje ważny artykuł dla prasy, sama pani rozumie.

– Bardzo mi się podobała jego ostatnia książka.

– Och, jeszcze jej nie czytałam – wypaliła pani March. Była zbyt wytracona z równowagi poprzednim kłamstwem, by natychmiast wypowiedzieć następne.

– Powinna pani – powiedziała Margaret, puszczając do niej oko. – Naprawdę, zwłaszcza pani.

„Naprawdę, zwłaszcza pani”. Pani March patrzyła na spierzchnięte od zimna wargi Margaret, gdy wypowiadała te słowa. Margaret wróciła do syna i męża, a pani March spojrzała na lodowisko. Ludzie zastygli w bezruchu. Stali i patrzyli na nią – nie tylko łyżwiarze, lecz także widzowie. Wyciągali szyje i gapili się na nią, spoglądali jej prosto w oczy, jeden po drugim, jak portrety w muzeum, nie chcąc odwrócić wzroku. Jonathan stał na środku tafli i szczyrzył zęby.

Pani March się cofnęła i zatopiła twarz w dłoniach, zamykając oczy. Oddychała głośno, czując zapach jasnozielonych rękawiczek o barwie listków mięty – miękkich i bezpiecznych – aż jej oddech zaczął przypominać głos obcej osoby.

Opuściła ręce, słysząc ćwierkanie ptaków i zgrzyt łyżew. Lodowisko wyglądało tak jak wcześniej: roilo się od ludzi, panował na nim gwar, nikt nie zwracał na nią uwagi, w tle rozbrzmiewała wesoła muzyka. Pełna ulgi, pomachała ręką w stronę Jonathana.

– Pora wracać do domu! – krzyknęła.

Kiedy wychodzili (nadaśany Jonathan nie chciał włożyć czapki), zawołała do nich Margaret, ale pani March udała, że nie słyszy.

Przeszli przez park, mijając spacerujących turystów i ludzi malujących akwarele. Jonathan wskazał pustą, stłuczoną butelkę po Veuve Clicquot leżącą w koszu na śmieci, a pani March ostrzegła go, by jej nie dotykał.

Wyczuwała, że podąża za nimi ciemna postać – kilka kroków z tyłu, poza polem widzenia. Dostrzegała ją kątem oka, lecz kiedy zerknęła do tyłu, nikogo nie dostrzegała. Ciężko dyszała, narastający niepokój sprawił, że zwolniła, jakby skręciła kostkę. Powiedziała sobie, że popada w paranoję. Od lat bała się powrotu tego mężczyzny, podświadomie czuła, że nagle natknie się na niego w sklepie spożywczym, w kwiaciarni, gdziekolwiek. Czasem, gdy zamknęła oczy, w dalszym ciągu go sobie wyobrażała – ciemną sylwetkę z rękami w kieszeniach na tle słońca.

– Możemy znowu iść jutro na łyżwy? – spytał Jonathan, idący obok pani March.

– Zobaczymy.

Był ubrany w koszulkę z krótkimi rękawami; na tkaninie nadrukowano maleńkie rakiety tenisowe. Czy widziała tę koszulkę wśród drzew? Doszła do wniosku, że nie nosiłby letniej koszulki w zimie. A jeśli chciał, by go poznała?

– Możemy zamówić na kolację hot dogi?

– Nie dziś wieczorem, Jonathanie.

– Alec bez przerwy je hot dogi.

Pani March wzdrygnęła się, słysząc chrzęst po lewej stronie – gałązki łamiące się pod ciężkim butem? – i ruszyła szybciej,

ignorując skargi Jonathana, który z trudem dotrzymywał jej kroku.

Miała około trzynastu lat. Najlepiej pamiętała swoje nogi. Uznała za zabawne, że zapamiętała przede wszystkim nogi, ale tak było. Okres dojrzewania zmienił jej wygląd, ale wcześniej pani March miała długie, chude nogi – prawie jak pajak. Tego lata na południu Hiszpanii były ładnie opalone, pokryte jasnym meszkiem. Pamiętała Kadyks, jakby widziała go we śnie albo w kinie – wydmy nadmorskie porośnięte krzewami, hałaśliwych bosonogich handlarzy sprzedających krewetki na brzegu i roziskrzone, szumiące morze. Szum fal, głęboki i szorstki jak oddech, nie cichł nawet w nocy, nie dało się przed nim uciec.

Dni w Kadyksie się dłużyły, więc pani March czuła nudę i niepokój. Jej rodzice przejechali przeszło pięćset kilometrów, po czym odkryli, że nie lubią plaży. Od czasu do czasu bez przekonania spacerowali brzegiem morza – pani March wlokła się ponuro z tyłu – lecz najczęściej siedzieli w milczeniu nad basenem, popijając koktajle margarita. Trudno było się zorientować, czy są zadowoleni z urlopu, bo duże okulary przeciwsłoneczne nie pozwalały odczytać wyrazu ich twarzy. Namawiali panią March, żeby z kimś się zaprzyjaźniła, ale była w wieku, gdy nawiązywanie przyjaźni jest trudne – nie była już tak bezpośrednia jak małe dziecko, lecz jeszcze nie należała do świata dorosłych, w którym funkcjonują konwenanse gwarantujące bezpieczeństwo. Dąsała się, całymi dniami czuła ciężką pustkę, niepewnie kąpała się samotnie w morzu, niepokojąc się tym, co kryje się w wodzie – nie tylko zębami ryb, szczypcami krabów i parzydełkami meduz, lecz także śladami innych pływaków: plasterkami poplamionymi krwią i plamami ciepłego moczu. Wiatr niósł paplaninę i okazjonalne krzyki plażowiczów. Po południu

chroniła się przed słońcem w pokoju hotelowym. Czasem wychodziła do holu, by oglądać książki pozostawione na półkach przez innych gości albo przymierzać słomkowe kapelusze leżące na drucianych stojakach w sklepie z pamiątkami. Wszystkie kanały telewizyjne w pokoju były po niemiecku i wszyscy turyści wyglądali na Niemców – mężczyźni w obcisłych spodenkach kąpielowych, kobiety z tak jasnymi włosami, że wydawały się prawie białe. Ich plecy i uda były boleśnie zaróżowione od słońca, a na skórze rysowały się jasne paski pozostawione przez ramiączka staników.

Wieczorem, kiedy na morze wypływały kutry rybackie, na różowym, lawendowym, a miejscami łososiowym widnokręgu mrugały światła. Pani March miała wrażenie, że niepokojąco blisko brzegu kołysze się na falach kobieca pierś. Po chwili zdawała sobie sprawę, że to tylko boja.

Po raz pierwszy zauważyła tego mężczyznę na tarasie hotelowym, gdy ją obserwował (później doszła do wniosku, że widywała go już wcześniej, lecz nie zwracała na niego uwagi). Taras wychodził na plażę, był otoczony podświetlonymi palmami o łuskowatych pniach podobnych do ananasa. Skończyła kolację, lecz rodzice w dalszym ciągu siedzieli w sali jadalnej, gdzie śpiewała i klaskała w dłonie grupka muzyków grających flamenco, a kobieta z długimi włosami i bolesnym wyrazem twarzy wybijała obcasami ostry rytm. Słysząc śmiechy, atmosfera wydawała się radosna, ale pani March odnosiła wrażenie, że widzowie zostali zahipnotyzowani. Rodzice zaprzyjaźnili się z młodym małżeństwem i całymi dniami pili z nim koktajle. Pani March czuła irytację, że matka, zwykle tak chłodna i pełna rezerwy, potrafiła wydać się sympatyczna i w niespełna tydzień zdobyła bliskich przyjaciół.

Nie chcąc uczestniczyć w zabawie, pani March ponuro wymknęła się na taras, gdzie inni goście palili i pili. Zamówiła bezalkoholowy koktajl Virgin San Francisco i stała przy barierce, ssąc wiśnie maraschino. Nagle zauważyła mężczyznę w koszuli z nadrukowanymi małąnkimi rakietami tenisowymi. Obserwował ją; nie potrafiła odgadnąć, co wyrażają jego zaciśnięte wargi.–
Przepraszam – powiedziała, po czym wypluła wiśnię na piasek pod tarasem. Przypuszczała, że głośno mlaskała, a nieznajomy uznał to za niegrzeczne.

– Jest w tym alkohol? – spytał, wskazując podbródkiem koktajl o barwie brzoskwini trzymany przez panią March.

– Nie – odpowiedziała. W jej głosie zabrzmiała emocja nastolatki pragnącej, by jej uwierzono. – Oczywiście, że nie.

– Domyślałem się tego – odparł. Trochę się zbliżył, choć nie widziała, by się poruszał. Opierał się łokciami o barierkę. – Nudne przyjęcie, nie sądzisz?

Pani March skinęła głową i wypła łyk. Świdrował ją wzrokiem, ona zaś desperacko próbowała wymyślić jakieś inteligentne zdanie. Nagle wyprostował się i odwrócił. Obawiała się, że stracił zainteresowanie, i wypaliła:

– Idę na plażę obejrzeć sztuczne ognie.

– Sztuczne ognie?

Skinęła głową.

– Puszczają je codziennie o dziesiątej. Znacznie lepiej widać je z dołu. Odbijają się w morzu. Robią imponujące wrażenie.

Słyszała kiedyś, jak przewodnik w muzeum powiedział, że obraz robi imponujące wrażenie. Wydawało jej się, że brzmi to bardzo dorośle.

Mężczyzna spoglądał na nią. Trzymał ręce w kieszeniach.

– Cóż, sam nie wiem – powiedział.

Odstawiła niedopity koktajl i ruszyła w stronę długiego drewnianego mostku prowadzącego na plażę. Miała nadzieję, że pójdzie za nią. Była zmęczona samotnością, a gdyby obserwował ją z tarasu, musiałaby udawać, że fajerwerki jej się podobają. Byłoby to dość upokarzające.

Poszedł jednak za nią i zeszli razem z mostku. Kiedy znaleźli się na piasku, przyjrzała mu się uważniej. Noc była ciemna – na atramentowym niebie świeciły gwiazdy i księżyc – ale ich blask tłumili żółte lampki przymocowane do poręczy mostku. Zatrzymali się na piasku i dyskretnie na siebie spojrzeli. Miał zapadnięte policzki i jasnozielone oczy. Zerknęła na jego przedramiona i zauważyła czarne włoski przetykane siwizną.

Minęła ich para trzymająca się za ręce. Kobieta paliła papierosa. W przyływie brawury pani March podbiegła i poprosiła o poczęstowanie. Kobieta wręczyła jej papierosa i podała ogień, a pani March wróciła do nowego znajomego, czując się naprawdę jak dorosła kobieta.

– Jak masz na imię? – spytał mężczyzna.

– Przyjaciele nazywają mnie Kiki – odparła.

– Niespotykane imię. Ile dokładnie masz lat?

– Szesnaście. W przyszłym miesiącu zacznę siedemnaście – odpowiedziała, pokaszując.

– Wybierasz się na studia?

Zastanawiała się nad pytaniem, jakby wyceniała biżuterię, po czym wydmuchała kłęb dymu i rzekła:

– O tak. Studia pociągają mnie jako przygoda.

Uśmiechnął się, lekko rozszerzając nozdrza, na jego policzkach pojawiły się dołeczki. Poczowała ściskanie w żołądku.

– Jasne – powiedział. – Niezbyt dobrze pamiętam lata studenckie. Zdaje się, że byłem ciągle pijany.

Rzuciła niedopałek na piasek i odparła:

– Szkoda.

– Owszem.

Szli powoli wzdłuż wydm, oświetlony mostek został z tyłu. Przynajmniej raz morze na szczęście było ciche, fale lekko pluskały o brzeg.

Musnął ją lekko przedramieniem, lecz udała, że tego nie zauważyła. Dmuchnęła w górę, podwiewając grzywkę. Miała nadzieję, że wygląda figlarnie, czarująco. Roześmiał się, a pani March zachichotała. Pochylił się i dmuchnął jej prosto w twarz. Grzywka znowu się uniosła.

– Nie rób tego! – powiedziała ze śmiechem.

– Jesteś tu z rodzicami?

– Tak.

– Co robisz przez cały dzień?

– Piszę powieść – odparła.

– Naprawdę? – zdziwił się. Poczowała przyływ rozkosznej przyjemności, jakby zjadła smaczną czekoladkę wypełnioną likierem.

– Tak. Obawiam się, że nie jest zbyt dobra – rzekła, wbijając wzrok w piasek. – Skończę ją w przyszłym roku. Chyba na wiosnę.

– Zaimponowałaś mi – powiedział. – Chciałbym mieć czas na napisanie książki.

– Warto znaleźć czas na ważne rzeczy – uśmiechnęła się.

Zbliżył się do wody.

– Co robisz? – spytała, widząc, że zdejmuje buty.

– Chcę czuć pod stopami piasek i morze – odpowiedział. Zakołysał się lekko, ściągając buty. – Obawiam się, że jestem trochę pijany. Gotowe. – Wsadził do butów zwinięte skarpetki. – Chodzenie w butach po plaży to koszmar, prawda? Czuję się okropnie nienaturalnie.

Skinęła głową na znak zgody i pochyliła się, by zdjąć buty, nowe białe tenisówki, które matka kupiła na podróż, odrzucając prośbę o klapki (uznała to za absurdalny kaprys). Rozwiązując sznurowadła, pani March czuła, że mężczyzna intensywnie jej się przygląda. Odwróciła się i powoli zdjęła skarpetki.

– Masz wyjątkowo delikatne stopy – powiedział. Kiedy się wyprostowała, położył dłoń na jej ramieniu. – Wiesz, że jesteś bardzo ładna? – Pochylił się w jej stronę. Jego zielone oczy przypominały kocie ślepie.

– Proszę, nie – odparła. Lekkość, którą przed chwilą czuła, zmieniła się w ciężar. Nie mogła się poruszyć.

Byli sami w ciemnym zakątku wydm między hotelami. Zaczął się przypływ, morze zalewało brzeg. Piasek pod stopami był zimny i twardy, zupełnie inny niż w ciągu dnia.

Pani March pamiętała to, co się wydarzyło nocą w czasie fajerwerków, ale wolała myśleć, że przytrafiło się to komuś innemu. Koleżance ze szkoły, może przyjaciółce siostry. Albo że to fikcja. Ostrzeżenie, historia o głupiej nastolatce udającej dorosłą kobietę.

Wyprowadziła Jonathana z Central Parku i minęła długi rząd koni dorożkarskich. Mimo kłapek na oczach spoglądały na nią wypukłymi

ślepiami z białkami pokrytymi siecią czerwonych żyłek, podobnymi do wypolerowanego mahoni.

Pomyślała z zaskakującym spokojem, że tamtej nocy w Kadyksie zamieszkał w niej diabeł. W tej chwili zakrada się do jej domu, podobnie jak karaluchy wchodzące przez niewidzialne szczeliny. Znalazł drogę i wkrótce ją odwiedzi.

XXVI

Nie spała dobrze. Dręczyły ją koszmary, zmieniała się w inne kobiety, pożyczając ich twarze odbite w lustrach. Kradła im domy i życia, rozpaczliwie próbując ratować ich małżeństwa i pozycję społeczną. W którymś momencie musiała wstać i iść do toalety, po czym z bolesnym rozczarowaniem i pękającym pęcherzem zdała sobie sprawę, że to tylko sen i że będzie musiała znowu wstać.

Kiedy nazajutrz pani March stała w holu w futrze i kapeluszu, nie wiedziała, czy zamierza wyjść, czy przed chwilą wróciła do domu. Słyszała w głębi mieszkania Marthę przesuającą meble i otwierającą okna. Usiłowała przypomnieć sobie przebieg dnia – śniadanie, prysznic, rozmowę z Marthą o carpaccio wołowym, ale pamiętała tylko niepowiązane sceny – istniało zbyt wiele pustych miejsc. Popatrzyła na złocone lustro obok drzwi garderoby. Spoglądało na nią jej przestraszone odbicie. Za ścianą, u sąsiadów, rozlegała się muzyka jazzowa – ciche dźwięki pianina i pyszałkowate, rozbudowane partie saksofonowe. W końcu kapryśnie uznała, że powinna wyjść, i opuściła mieszkanie.

Miasto było dziwnie oświetlone, przypominało plan filmowy skąpany w sztucznej poświacie. Pani March poczuła przelotną obawę, że lada chwila dekoracje zaczną się odsuwać i okażą się wykonane z tektury.

Dotarła jak we śnie do marketu spożywczego i przeszła w oszołomieniu przez automatyczne drzwi. We wnętrzu sklepu neony w kształcie gwiazd informowały o tygodniowych rabatach i wzywano przez trzeszczące głośniki ekspedientów w białych fartuchach. Na panią March spoglądały martwe ryby leżące na lodzie z otwartymi pyskami. Przeszła między półkami z produktami zbożowymi, jakby spacerowała po Polach Elizejskich. Ten dział sklepu zawsze wydawał jej się najdziwniejszy: na kolorowych pudełkach widniały komiksowe postacie zachęcające do kupienia produktów. Miały w sobie coś niepokojącego, wyglądały, jakby zamierzały skoczyć na klienta.

Skręciła w sąsiednią alejkę i stanęła jak wryta na widok jednej z kobiet robiących zakupy. Była odwrócona plecami, lecz jej futro wydawało się znajome. Garbiła się lekko i wysunęła łokcie, jakby załamywała ręce. Pani March wzdrygnęła się, gdy ktoś nagle poklepał ją po ramieniu. Obróciła się gwałtownie i zobaczyła jedną z sąsiadek, choć za żadne skarby nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska.

– Jak się miewasz, moja droga? Co słyszać u George’a? Nie rozmawialiśmy od wieków! – trajkotała kobieta, nie pozwalając pani March odpowiedzieć. – Zdaje się, że ostatni raz widziałyśmy się na przyjęciu u Milly Greenberg. Nie... chyba cię tam nie było. Nie wiem, czy słyszałaś...

Pani March знаła Greenbergów dość powierzchownie, ale sąsiadka zaczęła o nich plotkować i pani March dowiedziała się, że Milly Greenberg się rozwodzi, bo mąż ją zdradzał (chyba na to zasługiwała, bo ona również zdradzała pierwszego męża z obecnym, gdy miał poprzednią żonę). Kobieta gestykulowała gwałtownie. Pani

March ciągle nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska; obserwowwała gęste czarne włoski na jej nadgarstku zaczepiające o pasek od zegarka. Przypomniała sobie nagle, że to właśnie ona dawała dzieciakom z okazji Halloween jabłka zamiast słodczy pod pretekstem, że dba o ich zęby. Skarżyła się, że psy sąsiadów są agresywne, tylko dlatego, że były duże.

– To okropne, wręcz niewiarygodne.

– Zawsze wydawali się tacy szczęśliwi – powiedziała pani March.

– Och, nie bądź naiwna – rzuciła sąsiadka. – Znam mnóstwo par, które wydają się zakochane, ale wszystkie tylko udają, wszystkie. Przyjaźniłam się z Anne, przynajmniej tak mi się wydawało, i czuję ból, że nie zwierzyła mi się ze swoich problemów.

– Może chciała, ale nie mogła.

– Nonsens. Opowiadałam jej o swoich kłopotach, o operacji teściowej – makabryczna historia – i o tym, jaka byłam smutna we wtorki, bo we wtorki mój ojciec się upijał i pluł na nas.

– Boże...

– Prawda? To poważne sprawy. Obnażyłam przed nią duszę. I co mi dała w zamian?

Umilkła na chwilę i pani March zastanawiała się, zaniepokojona, czy to rzeczywiście pytanie retoryczne. Na szczęście sąsiadka cmoknęła i mówiła dalej:

– Teraz Anne musi się przeprowadzić do znacznie mniejszego mieszkania, jest w depresji i prawie z nikim nie rozmawia. No cóż, jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. To jedno z ulubionych powiedzonek mojej siostry.

– Anne stać na wynajęcie mieszkania? – spytała pani March, czując autentyczną ciekawość. – Myślałam, że nie ma pracy?

– Och, musiała znaleźć jakieś zajęcie. Pracuje na pół etatu w kancelarii adwokackiej. Zdaje się, że mąż okazał się na tyle przyzwoity, że załatwił jej angaż.

– To miło z jego strony – zauważyła pani March.

– Bynajmniej. Wszyscy w kancelarii wiedzą o romansie męża. Niedługo zaczną tam pracować jego kochanka.

– Ach, mam nadzieję, że tak się nie stanie...

– Nie jestem pewna, czy Anne zdoła się z tego otrząsnąć. Miała wielki talent artystyczny, była świetną malarką. Zrezygnowała z własnych ambicji. Dla niego.

Pani March zaczęła się zastanawiać, czy ona również mogłaby coś osiągnąć. Być kimś więcej niż żoną i matką. A może podjęłaby pracę? Wyobraziła sobie, że mieszka samotnie w smutnym, wilgotnym mieszkaniu, rankiem chodzi do ponurego biura, nie kupuje dla nikogo chleba z oliwkami. Nie wie, dokąd iść, co robić, kim być.

– Biedna Anne... – powiedziała.

– Hm, nigdy nic nie wiadomo. Przez całe życie współczujemy ludziom, a potem okazuje się, że nie zasługują na współczucie. Niektórzy to niewdzięcznicy. Moja siostra zna kobietę, która miała doskonale płatną pracę w agencji reklamowej. Bonusy, dodatki, ubezpieczenia. A jednak rzuciła wszystko w diabły i próbowała zrobić karierę jako aktorka. W jej wieku, wyobrażasz sobie?!

– Udało jej się?

– Skądże! – odparła z zachwytem. Pani March, mająca cichą nadzieję, że usłyszy odpowiedź przeczącą, poczuła przypływ rozkosznej satysfakcji. – Czego właściwie się spodziewała? Moja siostra słyszała plotki, że posunęła się do... no wiesz. – Kobieta

otworzyła szeroko oczy i pochyliła się konspiracyjnie w stronę pani March. Pachniała stekami i wodą perfumowaną Shalimar.

– Widywano ją ze znacznie starszymi mężczyznami – szepnęła kobieta sotto voce. – Bogatymi, starszymi panami. Posłuchaj, nie znoszę plotek, ale wątpię, czy naprawdę kochała któregoś z nich, to wszystko, co mogę powiedzieć. – Odsunęła się i umilkła. – Książka twojego męża... – dodała i po raz pierwszy spojrzała na panią March z autentycznym zainteresowaniem, choć wcześniej przemawiała przez kilka minut.

– Książka? – Pani March była zupełnie nieprzygotowana na badawcze spojrzenie, tak niespodziewane, że prawie się zachwiała.

– Wiesz, to zabawne – ciągnęła kobieta. – Któregoś dnia zostawiłam swój egzemplarz w wózku i poszłam kupić trochę kiełbasek. Dean uwielbia kiełbaski wieprzowe. A potem ktoś go ukradł. Z wózka w markecie, wyobrażasz sobie?!

– Wielkie nieba! – Pani March z poważną miną pokręciła głową.

– Niesłychane! Rozumiem, że książka jest popularna, ale żeby ją kraść w miejscach publicznych...

– Porozmawiam z George'em i dostaniesz nowy egzemplarz...

– Kupiłam nowy egzemplarz. Szybko przeczytałam książkę. Prawie skończyłam. – Kobieta zmrużyła oczy i zmarszczyła brwi, jakby zastanawiała się, co powiedzieć. – To... to wyjątkowa powieść, prawda?

– Tak.

Spoglądała w milczeniu na panią March, która czekała na przerażające pytanie, czując dreszcze. Ponieważ pytanie było obraźliwe, a rozmawiała z sąsiadką, więc można było przyjąć, że kobieta go nie zada. Przypominałoby to składanie gratulacji

kobiecie, która nie jest w ciąży. Pani March popatrzyła na sąsiadkę i uśmiechnęła się słabo.

– Cóż, nie będę cię dłużej zatrzymywać – powiedziała sąsiadka. – Na pewno jesteś bardzo zajęta. Wszystkie jesteśmy zajęte, prawda? Pogratuluję George’owi, jeśli go spotkam.

– Dziękuję. Powiem mu, że książka ci się podobała – rzekła pani March.

Pani March wyszła ze sklepu, niczego nie kupiwszy. W drodze do domu zmagiała się z wiatrem. Kiedy mijiała kwadratowy budynek stojący w pobliżu parku, postawiła kołnierz płaszcza. Nad wejściem do gmachu wykuto w wapieniu napis: KOCHAJ BLIŹNIEGO SWEGO JAK SIEBIE SAMEGO.

* * *

W windzie nacisnęła guzik, by pojechać do apartamentu numer sześćset sześć. Drzwi się zasunęły, po czym powoli, prawie z rozmarzeniem, nacisnęła posuwistym ruchem wszystkie pozostałe guziki. Panel rozjarzył się jak świąteczna choinka.

„Wyjątkowa powieść” – powiedziała kobieta. Pani March pomyślała, że publiczne mieszanie z błotem własnej żony to rzeczywiście wyjątkowe świństwo. Obnażył jej najskrytsze sekrety niczym podstępny demon, wir powietrzny niszczący wszystko na swojej drodze. Zacisnęła pięści tak mocno, że zbieleły knykcie przypominały zęby trzonowe. Powinien zostać ukarany. Na początek aresztowany za zamordowanie Sylvii Gibbler. Przestałby się uśmiechać z takim zadowoleniem.

W apartamencie numer sześćset sześć George siedział samotnie w salonie i czytał gazetę. Z adapteru, nastawionego na pełny

regulator, dobiegała aria operowa – Puccini.

Pani March stanęła w progu, spojrzała na męża i zmarszczyła brwi.

– Masz ochotę na kotlety jagnięce na kolację? – spytała.

– W porządku – odpowiedział.

Stała przez kilka sekund w salonie, po czym poszła do sypialni, gdzie zdjęła ciężkie kolczyki. Spacerowała po pokoju, patrząc na telefon na nocnym stoliku George'a. Podniosła słuchawkę i wykręciła numer dziewięćset jedenaście. Przerwała połączenie, nim rozległ się pierwszy dzwonek. „To śmieszne” – pomyślała. „Nie mam żadnych dowodów. Co mogłabym powiedzieć? Że znalazłam wycinek z gazety w notesie męża?” Znowu przyłożyła słuchawkę do ucha, bawiła się plastikowym przewodem, nawijając go na palec. Zastanawiała się, czy mimo wszystko nie zadzwonić.

W dalszym ciągu trzymała w dłoni słuchawkę, nie zwracając uwagi na piskliwe sygnały, gdy nagle za jej plecami zaskrzypiały deski podłogi. Odwróciła się, zobaczyła w drzwiach George'a i stłumiła krzyk.

– Widziałas gdzieś moje rękawiczki? – spytał. – Potrzebuję ich na podróż do Londynu.

– Londynu?

– Tak, nie pamiętasz? Wezmę udział w akcji charytatywnej z kilkoma innymi pisarzami, a potem mam naprawdę ważny wywiad w telewizji. Nie będzie mnie tylko kilka dni – mówił beznamiętnym, starannie wycwiczonym tonem.

– Tak, pamiętam. – W rzeczywistości zupełnie nie pamiętała, lecz doszła do wniosku, że powinna sprytnie udawać, że sobie przypomniała.

– Do kogo dzwoniysz? – spytał George.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, po czym zdała sobie sprawę, że ciągle przyciska słuchawkę do ucha.

– Do nikogo – odrzekła. Popatrzył na nią z ciekawością i lekko się uśmiechnął.

– Więc to nic ważnego.

– Próbuję się skontaktować z siostrą, ale nie odbiera. – Pani March odłożyła słuchawkę na widełki, tak niezgrabnie i z taką siłą, że brzęknął dzwonek telefonu. George w dalszym ciągu na nią patrzył. Czowała potrzebę zrobienia czegoś z rękami, więc zaczęła składać ubrania rzucone na fotel w chwili pojawienia się męża: apaszkę, jasnozielone rękawiczki o barwie liści mięty, gruby sweter. Ułożyła je w schludny stos.

– Nic się nie stanie, jeśli zostaniesz w domu zupełnie sama? – spytał George, patrząc, jak zajmuje się odzieżą.

– Cóż, to nie pierwszy raz.

– Wiem, wiem. Chciałbym, żebyś ze mną pojechała, ale ktoś powinien się opiekować Jonathanem. Niedługo wraca do szkoły. Zgadzasz się ze mną?

– Naturalnie – odpowiedziała. – Źle bym się czuła, gdyby został sam.

Pani March wyobraziła sobie, jak spędzi kilka ostatnich dni, gdy Jonathan wróci do szkoły. Będzie samotnie odwiedzać muzea, jeść w milczeniu lunch w pustej jadalni. „Przecież zawsze to robię, prawda?” – pomyślała.

– Nie chciałbym cię narażać na taką wyczerpującą podróż – powiedział George. – Ledwo byś doszła do siebie po jet lagu i już musielibyśmy wracać.

Przyszło jej do głowy, że George nigdy wcześniej nie używał określenia jet lag. Poczwała ciężką, bolesną pewność: ten mężczyzna to nie George. W takim razie kto? Wyglądał jak George: miał jego twarz, nosił jego kardigan, a jednak instynkt podpowiadał, że to nie George.

– Siedzenie w domu nie jest szczególnie atrakcyjne – odpowiedziała ostrożnie, przesadnie akcentując słowa.

Uśmiechnął się, trzymając ręce w kieszeniach. Zwykle nie spaceruje z rękami w kieszeniach, prawda?

– Moim zdaniem wręcz przeciwnie. – Uniósł rękę, podrapał się za uchem i dodał: – Idę do gabinetu. Zawołaj mnie, kiedy kotlety jagnięce będą gotowe.

Odwrócił się, by wyjść.

– Zaczekaj! – zawołała pod wpływem nagłego impulsu. Popatrzył na nią. Wyrzuciła z siebie potok słów: – Chciałam cię zapytać... jak się nazywała ta mała miejscowość... no wiesz, gdzie spędziliśmy lato na południu Włoch i nie było klimatyzacji. Widzieliśmy morze z pokoju hotelowego i siedzieliśmy do późna na tarasie, paląc cygaretki... Pamiętasz?

– Co takiego? Dlaczego tak nagle mnie o to pytasz? – odparł. Pomyślała, że gra na zwłokę.

– Millerowie, którzy mieszkają nad nami, zamierzają pojechać do Włoch – rzekła. – Uwielbiają podróżować – dodała. – Opowiedziałam Sheili o naszych wakacjach i spytała mnie o nazwę miejscowości.

George wbił wzrok w podłogę. Pani March przez chwilę była pewna, że wreszcie go zdemaskuje, że naprawdę jest obcym człowiekiem, ale pstryknął palcami, spojrzał na nią i rzucił triumfalnie:

– Bramosia!

Pomyślała, że wykonali dobrą robotę, kimkolwiek są. Ogromna dbałość o szczegóły. Kiedy nieznajomy George wyszedł z sypialni, dokładnie analizowała tę nową, niebezpieczną myśl. Wydawała się dziwaczna, a jednak paradoksalnie logiczna. Możliwość, że się nie myli, że George został zastąpiony przez oszusta, miała przerażające konsekwencje. Skoro po świecie chodzi inny George March, może istnieje również inna pani March? W końcu uznała to za oczywiste, mimo woli kiwając głową w stronę okna.

XXVII

O becność Marthy wywierała duży wpływ na panią March. George wyjechał na kilka dni i gdyby służąca nie przychodziła codziennie rano, nie chciałoby jej się wstać z łóżka i ubrać. Martha mogłaby ją uznać za gnuśną babę, więc pani March wzięła się w garść. Niedawno nabrała zwyczaju chowania wszystkiego, co Martha musiałaby oczyścić albo doprowadzić do porządku. Każdego ranka przed przybyciem służącej chodziła na czworakach po mieszkaniu, zaglądała pod meble i do kątów łazienki w poszukiwaniu karaluchów, usuwała ślady popiołu z papierosów Gabrielli (w dalszym ciągu od czasu do czasu paliła w sekrecie, delektując się dymem jak truflami czekoladowymi, choć zapas papierosów powoli się kończył), zbierała kieliszki do wina, które pozostawiły ciemne, okrągłe ślady na toaletkach i stolikach, bo nie zadbała o podkładki. Strzepywała okruchy z prześcieradeł – ostatnio zaczęła jeść w łóżku o późnej porze – masochistyczny nawyk, biorąc pod uwagę karaluchy. Niedawno jej sukienki stały się za ciasne w talii. Lubiła wylegiwać się w gorącej kąpieli. Łazienka wypełniała się parą, która osiadała na lustrze, więc pani March nie widziała swojego nagiego ciała, wychodząc z wanny.

W oszołomieniu wykonywała rutynowe czynności: niezliczone samotne spacerunki, by kupić chleb z oliwkami w kiepskiej jakości odpowiednikach cukierni Patricii albo odwiedzić muzeum. Pewnego dnia zapomniała rękawiczek i tak zdrętwiały jej palce, że po

powrocie do domu nie mogła przekręcić klucza w drzwiach apartamentu. Stała kilka minut na korytarzu, aż wreszcie poczuła bolesne mrowienie w zaczerwienionych, spierzchniętych dłoniach.

W czasie jednego z porannych spacerów, idąc mroźną 75th Street, zauważyła na wystawie sklepowej opaskę na głowę. Taką samą nosiła Sylvia Gibbler na fotografii opublikowanej przez prasę. Martwa dziewczyna siedziała na kocu w lesie i uśmiechała się do aparatu (wydawało się, że zawsze się uśmiechała), trzymała brzoskwinie i miała na głowie prostą, czarną opaskę z aksamitu.

Pani March zastanawiała się, czy kupić opaskę. Przymierzyć w domu. Spojrzeć w lustrze na swoje nagle bardziej atrakcyjne odbicie. Może zobaczyłaby twarz Sylvii? Zastanawiała się nad tym, ale minęła sklep, zrezygnowała z zakupu, szła wśród tłumów ludzi wypełniających Third Avenue.

Przyłączyła się do grupy ludzi stojących przed przejściem dla pieszych, dzielnie walczących z podmuchem powietrza wywołanym przez przejeżdżający autobus linii M86. W tym momencie, zamierzając przejść przez ulicę, zauważyła stojącą przed nią kobietę. Była ubrana w futro i lśniące skórzane półbuty z chwostami, miała niewielki, obwisły kok. Pani March spoglądała na tył jej głowy, po czym zapaliło się zielone światło i tak gwałtownie wepchnięto ją na pasy, że straciła kobietę z oczu wśród rozkołysanych kapeluszy i torebek. Po kilku sekundach znowu ją zauważyła, mijając restauracyjkę na rogu. Później spostrzegła, że kobieta skręca za róg. Pośpieszyła za nią, starając się iść kilka kroków z tyłu. Zmierzały w tym samym kierunku, więc uznała, że nic się nie stanie, jeśli zacznie ją śledzić. Kobieta szła równym krokiem, stawiały stopy w identycznym rytmie. Kiedy pani March obróciła głowę i spojrzała

na witrynę sklepową, zobaczyła znajomy krój kości policzkowych i patrycjuszowski nos. Szły przez jakiś czas jedna za drugą jak kaczki, aż wreszcie kobieta skręciła za róg, a pani March, która powinna iść w przeciwnym kierunku, stanęła jak wryta. Patrzyła na plecy kobiety podążającej ulicą i ogarnęło ją euforyczne poczucie wolności. Miała wrażenie, że wypila kieliszek czerwonego wina – ogarnęło ją szczęście. Doszła do wniosku, że w tej chwili nie może po prostu odejść. Skręciła w lewo, o mało nie wpadając na przechodnia niosącego ogromny bukiet kwiatów.

Podążała w bezpiecznej odległości za kobietą w futrze, aż dotarły do ulicy, przy której stały identyczne kamienice. W końcu kobieta weszła po kamiennych schodach jednego z budynków z czerwono-brunatnego piaskowca. Nie szukała kluczy, po prostu nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi frontowe. Weszła do środka i zamknęła drzwi. Pani March obserwowała je przez chwilę, rozejrzała się w obie strony, po czym postanowiła podejść bliżej. Senny liliowobrazowy budynek wydawał się miły, miał łukowate drzwi frontowe i okna zwieńczone gzymsami na wspornikach. Wyglądał bardzo sympatycznie. Weszła powoli po schodach, półbuty stuknęły w płyty piaskowca. Trzymała ręce złożone jak do modlitwy. Kiedy dotarła do najwyższego stopnia, dotknęła dłońmi w rękawiczkach grubo polakierowanego drewna, próbując wyczuć puls, po czym je pchnęła. Drzwi otworzyły się z zadowolonym skrzypnięciem, odbicie pani March w lśniącym lakierze poruszyło się wraz z nimi. Jak najciszej zamknęła za sobą drzwi i weszła do holu.

W środku powietrze wydawało się zupełnie inne. Przeszła po szachownicy czarno-białych płyt pokrywających korytarz i miała

wrażenie, że poznaje własne lustro i wąską garderobę na płaszcz w holu apartamentu. Ruszyła dalej i zobaczyła po prawej stronie duży, jasno oświetlony salon. Na marmurowym gzymsie kominka stały oprawione fotografie. Ze srebrnych ramek uśmiechały się nieznajome twarze. Rozejrzała się po pomieszczeniu. Na antycznej kanapie leżały poduszki z aksamitnymi frędzlami, a na uroczym sekretarzyku z żaluzjowym zamknięciem widać było duże złożone wydanie *Jane Eyre*. Pani March dobrze się czuła w tym salonie, uspokajał ją, jakby już wcześniej go odwiedziła. Przyszło jej do głowy, że może tak rzeczywiście było. Podeszła do lustra i wydało jej się, że widzi odbicie własnego salonu z obrazem Hoppera pod poziomą mosiężną lampą i półkami na książki po obu stronach kominka, a nie salon nieznajomej kobiety.

Kilkakrotnie głęboko odetchnęła i wróciła do holu. Nasłuchiwała kroków dochodzących z wyższych pięter. Nie chciała uciekać, prawie czekała, by ktoś ją odkrył. Kiedy nikt nie zszedł po schodach, otworzyła frontowe drzwi i wyszła. Po drodze wyjęła z porcelanowego stojaka parasolkę z dekoracją w kwiaty.

* * *

Po powrocie do domu była w rozmarzonym nastroju. Zostawiła skradzioną parasolkę w garderobie wraz z płaszczem i kapeluszem. Martha była w sypialni – o tej godzinie zwykle słała łóżka. Pani March wślizgnęła się do kuchni, by zaparzyć filiżankę herbaty. Stała niezgrabnie obok kuchenki, czekając na zagotowanie wody, po czym zaniósła filiżankę i haftowaną serwetkę do salonu. Postawiła herbatę na stoliku, włączyła telewizor i zamierzała usiąść. Nagle usłyszała stukanie do drzwi frontowych. Zastygła wypięta nad kanapą,

czekając na następny odgłos pukania, który potwierdziłby, że ktoś rzeczywiście jest za drzwiami. Kiedy się rozległ, głośniejszy, bardziej natarczywy niż za pierwszym razem, zerwała się, pobiegła i otworzyła drzwi, zapominając w pośpiechu zerknąć przez wizjer.

Nikogo nie zobaczyła. Korytarz, ozdobiony znajomą tapetą i zalany ciepłym, uspokajającym światłem kinkietów, był pusty. Popatrzyła na windę, której guziki się nie świeciły.

Powoli zamknęła drzwi. W tym momencie ktoś zastukał do drzwi po raz trzeci, szybko i cicho, wręcz nieśmiało: dźwięk był ledwo słyszalny przez drzwi. Gwałtownie je otworzyła, wyjrzała na korytarz i znowu nikogo nie zobaczyła. Może to kawał jednego z dzieci mieszkających w kamienicy?

Zdumiała się, słysząc za plecami głos George'a. Jego głos dobiegał z salonu i docierał do holu, wydawał się z niej drwić. Zamknęła drzwi frontowe i ruszyła w stronę głosu. Czyżby George wrócił wcześniej z Londynu? Oddychała ciężko, weszła ostrożnie do salonu, który okazał się pusty, lecz w dalszym ciągu słyszała głos George'a. Zdziwiona, wsunęła głowę do jadalni przez przeszklone drzwi, po czym zrozumiała, że głos dobiega z tyłu, z telewizora. George udzielał wywiadu w telewizji.

– Rzeczywiście, Johanna została w tej książce wyszydzona, zwłaszcza przez narratora – mówił ze spuszczonej oczami, jakby ważył każde słowo. – Nie było to moją intencją, ale stopniowo czułem do niej coraz mniejszą sympatię, a nawet zacząłem nią gardzić. – Na widowni rozległy się chichoty.

– Co tak bardzo fascynuje w niej czytelników, jak pan sądzi? – spytał prowadzący.

– No cóż, przede wszystkim wydaje się autentyczna. – George spojrział prosto w obiektyw, na panią March. Świdrował ją wzrokiem w dziwnie erotyczny sposób, jakby powoli coś wpychał w jej ciało. Znowu popatrzył na dziennikarza. – Mam przynajmniej taką nadzieję.

– Z pewnością. Stworzył pan ciekawą powieść o tragicznej postaci.

– Odpowiem na pańskie poprzednie pytanie. Owszem, rozważyłbym propozycję sprzedaży praw filmowych. Moim zdaniem książka da się przełożyć na język srebrnego ekranu.

– Przychodzą panu do głowy aktorki, które mogłyby zagrać Johannę? – spytał dziennikarz.

– Nie wciągnie mnie pan w pułapkę. Nie chciałbym obrazić żadnej aktorki, wymieniając jej nazwisko. – George się roześmiał.

– Jestem pewien, że ustawi się długa kolejka aktorek, które zechcą wydać się brzydkie, by dostać tę rolę. To szansa na Oscara.

Pani March wyobraziła sobie kandydatki do roli Johannы, wszystkie podobne do niej, poruszające się w taki sam sposób, setki zwariowanych lustrzanych odbić. Sięgnęła po pilota jak po ukrytą broń i wyłączyła telewizor. Wypiła w ciszy filiżankę herbaty, patrząc na swoje odbicie na ekranie.

XXVIII

Wieczorem w przeddzień powrotu George'a pani March trochę się upiła czerwonym winem i wzięła wonną kąpiel z pianką.

Na kolację podano befsztyki; pani March i Jonathan jedli w milczeniu, nie patrząc na siebie i słuchając płyty z nagraniami Chopina. Po posiłku, gdy Martha wyszła, pani March wzięła jeden z eleganckich kieliszków – zarezerwowanych na uroczyste przyjęcia i przechowywanych w serwantce w salonie – po czym nalała sobie czerwonego wina z Bordeaux.

Kazała Jonathanowi się położyć, lecz ciągle słyszała, jak chodzi po sypialni i mruczy pod nosem. Zamknęła drzwi łazienki i spojrzała na posadzkę, szukając wzrokiem karaluchów. Niczego nie zauważyła i nalała do wanny dużą porcję pachnącego płynu do kąpieli.

Rozebrała się, nie patrząc na siebie w lustrze, jakby unikała kontaktu z innym klientem supermarketu. Położyła schludnie złożone ubranie na klapie sedesu i ostrożnie weszła do wanny. Wyregulowała temperaturę wody, nim położyła się w aromatycznej kąpieli. Nacisk wody na piersi wydawał się prawie miazdzący.

Męczyły ją wspomnienia kilku ostatnich dni – przypominały natrętne muchy uparcie siadające na gnijących zwłokach. Dokładnie przeszukała gabinet George'a, spodziewając się znaleźć zęby Sylvii w porcelanowym puzderku (podobnym do tego, w którym przechowywała mleczone zęby Jonathana). Przeszukała wiele notatników, etui na pióra wyściełanych aksamitem i szuflad pełnych

starych taśm do maszyny do pisania, lecz niczego nie znalazła – tylko numer telefonu nabazgrany na kartce. Zatelefonowała. Słuchawkę podniosła kobieta, ale pani March nie była w stanie wymyślić przekonującego pretekstu, by wyjaśnić, o co chodzi, i w panice odłożyła słuchawkę.

Rano, kiedy ciągle nie miała ochoty wstać z łóżka, coś nagle wyrwało ją z letargu – zdała sobie z przerażeniem sprawę, że zapomniała dać portierowi napiwek z okazji Bożego Narodzenia. Pobiegła do holu na parterze, nieuczesana, w luźnej koszuli, która marszczyła jej się na brzuchu, i narzuconym na ramiona zbyt obszernym płaszczu George'a, po czym spoconymi dłońmi wetknęła gruby zwitek banknotów do ręki zaskoczonego mężczyzny, który cofnął się o kilka kroków.

Piła wino w kąpieli, usiłując zapomnieć, że błagała go łamiącym się głosem: „Proszę to wziąć, proszę!”. Zachowała się jak wariatka. Wypuściła z drżącej dłoni torebkę, a jej zawartość rozsypała się na posadzce holu. Po marmurze potoczyły się pomarszczone kasztany zebrane w czasie dawno zapomnianej wizyty w muzeum.

Musiała zaczekać z wyjściem z domu, aż o trzeciej po południu pojawi się nowy portier.

Zgięła lewą nogę, wynurzając z wody kolano, i patrzyła na parę unoszącą się nad wanną. Kiedy zerknęła na pomarszczone opuszki palców, do wody kapnęło kilka kropel krwi. Popłynęły w dół niczym zygzakowaty wąż morski, aż wreszcie w pobliżu palców u nóg zmieniły się w różową chmurkę. Usiadła, gotowa wyskoczyć z wanny, po czym zdała sobie sprawę, że wlała do wody trochę wina. Odprężyła się, z powrotem zanurzyła się w wodzie i wypila kolejny łyk. Czy Sylvia krwawiła, gdy ją zamordowano? Czy czuła, jak

wycieka z niej krew, spływa po skórze, gdy ją bito i gwałcono? Lekarze sądowi orzekli, że trudno z całą pewnością przyjąć, iż doszło do gwałtu, ponieważ zwłoki długo leżały na wolnym powietrzu, ale wszyscy byli pewni, że Sylvia została zgwałcona, również pani March. Gdyby nie została zgwałcona, ludzie byliby rozczarowani: żałoba z powodu zwykłego morderstwa wydawałaby się stratą czasu. Z pewnością poszlaki wskazywały na gwałt. Zwłoki znaleziono obnażone od pasa w dół, a w pobliżu leżały majtki Sylvii, jakby wyrzucone w pośpiechu. Pani March usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądało nagie ciało dziewczyny. Patrzyła na własne ciało w przejrzystej wodzie i wyobraziła sobie włosy łonowe Sylvii, na które spoglądał morderca, nim ją zgwałcił. W pani March rozkwitło zapomniane uczucie – podniecenie. Natychmiast ogarnęła ją skrucha, znajomy wstyd z czasów, gdy była nastolatką i dotykała swojego ciała w wannie. Kiedy po raz pierwszy to robiła, wyobrażała sobie, że obserwuje ją Kiki i że robi jej wymówki. W końcu na zawsze rozstała się z Kiki w zimie po dziwnym lecie w Kadyksie. Kiedy tamtej nocy Kiki weszła z nią do wanny, pani March poczuła ogarniającą ją furję, a później rozpacz. Błagała Kiki, by odeszła i nigdy nie wracała, lecz uparta Kiki odmawiała. Pani March z gniewem wyciągnęła ręce w stronę gardła Kiki i mocno ją ścisnęła. Kiki zacisnęła pięści, aż paznokcie wbiły jej się w dłonie, drżały jej ramiona, łapała ustami powietrze, jakby walczyła o życie. Kiedy fikcyjna przyjaciółka utonęła, pani March wyobraziła sobie jej bezwładną szyję i pokryte bielmem oczy. Usatysfakcjonowana, wyjęła korek i woda spłynęła przez otwór, zabierając Kiki ze sobą.

Była coraz bardziej pijana. Kieliszek z winem zakołysał się niebezpiecznie na krawędzi wanny. Nagle zauważyła coś kątem oka.

Spojrzała w lewo, nie poruszając głową, i zobaczyła, że obok stoi naga kobieta. Chwyciła krawędź wanny, przygotowując się do obrócenia głowy, i zorientowała się, że to ona sama patrząca na siebie z góry. Kobieta uniosła nogę i weszła do wanny, spoglądając prosto w oczy pani March, która nagle zrozumiała, że to na pewno sen. Bliźniaczka patrzyła na nią lekko pytającym wzrokiem. Pochyliła się do przodu, a jej zbyt ciemne, zbyt wielkie sutki musnęły powierzchnię wody. Wyciągnęła dłonie w stronę pani March, rozstawiając palce. Zanurzyła je i pani March widziała, że suną do przodu między jej rozchyłonymi nogami. „Nie rób tego” – powiedziała.

Obudziła się w letniej wodzie pokrytej warstwą tłustej piany i zobaczyła stojącego nad sobą Jonathana. Miał na sobie kostium niedźwiedzia.

– Umarłaś, mamó? – spytał.

Próbowała się uśmiechnąć, ale miała spierzchnięte, wysuszone wargi. Wypiła za dużo wina.

– Po prostu się zdrzemnęłam – odpowiedziała. – Idź się pobawić, dobrze?

– Powinienem już spać.

Zerknęła na okno w ścianie łazienki i zobaczyła, że jest ciemne. Kiedy napełniała wannę, nie zapadł jeszcze zmrok.

– Naturalnie – odpowiedziała. – Więc dlaczego wstałeś?

– Miałem zły sen.

– Wracaj do łóżka.

– Mogę spać z tobą?

– Jesteś już za duży, dobrze wiesz.

Czekała. Jonathan w milczeniu się zastanawiał. Nie mogła się poruszyć, bo piana by się rozstała i zobaczyłby jej biust. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni oglądał ją naga. Chyba nigdy. Ona sama tylko raz zobaczyła nagą matkę i wyraźnie pamiętała widok jej gęstych, ciemnych włosów łonowych. Pani Kirby siedziała na sedesie przed młodą panią March w niezrozumiale nonszalancki sposób, bo nagość była uważana w domu za coś niestosownego.

– Mamo... – zaczął Jonathan, pocierając zaspane oczy z długimi ciemnymi rzęsami. – Nie mogę znaleźć pani ze środka drugiej pani.

– O czym ty mówisz? – spytała zaniepokojona pani March.

– Pani ze środka drugiej pani – powtórzył Jonathan. – Wiesz, ta rosyjska lalka!

– Ach tak... – westchnęła z ulgą pani March. Miał na myśli kolekcję rosyjskich matrioszek. – Zaglądałeś do moich rzeczy? Wiesz, że nie wolno ci tego robić.

– Nie mogłem jej znaleźć... ostatniej, najmniejszej.

Jako mała dziewczynka pani March w sekrecie bawiła się matrioszkami. Rozkręcała je, oglądała coraz mniejsze figurki. Czasami zastępowała najmniejszą i najczystsza innym przedmiotem. Złożoną karteczką z nabazgranym rysunkiem, pionkiem szachowym z kości słoniowej, własnym mlecznym zębem. To, że matka lubiała lalki, czyniło ją bliższą. Pani March wreszcie ją rozumiała, czuła, że są do siebie podobne. Kiedy pani Kirby odkryła, że pani March bawi się matrioszkami, zrobiła jej burę i umieściła lalki na najwyższej półce kredensu w sypialni. Otaczała je aura czegoś nieosiągalnego i właśnie dlatego pani March je wzięła, gdy matkę wysłano do Bethesdy, a apartament opróżniono.

Jonathan opuścił łazienkę po dłuższych namowach, w końcu popartych groźbą kary. Pani March uniosła się w wannie, w której siedziała w niewygodnej pozycji, a następnie wyjęła korek. Chłodna woda opadała powoli między jej nogami.

* * *

Zażyła tabletki ziołowe. Czasami działały, lecz tym razem okazały się nieskuteczne. Nie mogła zasnąć.

Wstała z łóżka, włożyła skarpetki, narzuciła szlafrok i poszła do salonu. Był słabo oświetlony blaskiem latarni ulicznych, cichy, choć czasem słyszała warkot samochodu w dole.

Przed wielu laty, w czasie podróży do Wenecji, George podarował jej zabytkową maskę. Miała długi, ptasi dziób jak maski lekarzy w czasach zarazy, ale była pomalowana na jaskrawożółty kolor; wokół otworów na oczy znajdowały się złote piórka. Pani March, wytrącona z równowagi, ukryła maskę na najwyższej półce wśród przewodników turystycznych sprzed kilkudziesięciu lat. Teraz stanęła na krześle i odnalazła ją po omacku. Kiedy jej dotknęła, natychmiast ją poznała.

Krążyła bez celu po apartamencie, dysząc pod maską, przyzwyczajając się do patrzenia przez niewielkie otwory. Kiedy jako dziewczynka nie mogła zasnąć, nie ośmielała się chodzić po mieszkaniu. W środku nocy salon rodziców miał w sobie coś odstręczającego. Stały w nim eleganckie kanapy i masywny stolik do kawy.

Weszła do jadalni, musnęła palcami stół, dotknęła portretów. Zauważyła coś srebrzystego obok ramy jednego z nich, dziwny błysk kontrastujący z ciemnymi wiktoriańskimi farbami. Przyjrzała się

dokładniej, na tyle, na ile pozwalała maska, i zobaczyła, że to rybik uwięziony pod szkłem, po omacku szukający wyjścia. Znajdował się blisko twarzy damy z epoki wiktoriańskiej, której oczy miały błagalny wyraz, jakby prosiła, by go usunąć.

Uniósł mikroskopijną główkę, może próbował spojrzeć na panią March? Delikatnie puknęła w szkło i robak uciekł, chowając się za ramą.

XXIX

George miał wrócić wieczorem, a Jonathan był u Millerów, więc pani March postanowiła odebrać czystą odzież z pralni chemicznej. Dawniej zajmowała się tym Martha, lecz po jakimś czasie jeden z garniturów George'a wrócił bez krawata. Pani March nie chciała robić jej wyrzutów i postanowiła sama się tym zająć. Zwykle czekała z tym do weekendu, gdy Martha miała wolne, by nie doszło do niezręcznej sytuacji.

Pani March wiele razy widziała portiera niosącego rzeczy sąsiadów odebrane z pralni. Uważali, że mogą go o to prosić, lecz w przypadku rodziny Marchów nie wchodziło to w rachubę. Minęła go szybko w holu, nasuwając kapelusz na oczy, by uniknąć rozmowy. Otworzył drzwi i rzekł głośno: „Dzień dobry, pani March!”. Oblała się pąsowym rumieńcem i wymamrotała niezrozumiałą odpowiedź.

Pralnia chemiczna mieściła się w złudnie małym budynku na Third Avenue. Jej dostawcy nie budzili zaufania i pani March zauważyła, że wysokość rachunku zależy od tego, jak jest ubrana, gdy oddaje rzeczy do prania (najwięcej żądano, gdy miała na sobie futro). Jakości usług nie można było nic zarzucić. Zakład reklamował się, że jest w stanie usunąć każdą plamę, i dotrzymywał słowa. Tego dnia chciała odebrać rzeczy George'a noszone w trakcie wycieczki do domu letniskowego Edgara. Co dziwne, George nalegał, że sam zawiezie je do pralni.

– Znalazł pan na ubraniu jakieś dziwne plamy? – spytała pracownika pralni, kiedy położył na ladzie przezroczysty plastikowy worek z ubraniami.

Mężczyzna spoglądał na nią przez chwilę. Uniósł drwiąco kącik ust; pani March miała nadzieję, że mimo woli.

– O co pani chodzi? – spytał obcesowo. Śmierdział cygarami. Miał w kołnierzyku wypaloną dziurkę.

– Och, nic, nieważne – odpowiedziała. Dotknęła plastikowej torby i przyjrzała się odzieży.

– Wszystko jest w porządku, jak zwykle. Profesjonalista poradzi sobie z każdą plamą. Paragon jest w worku.

Pani March wyjęła portmonetkę. Mężczyzna obsługiwał innego klienta. Z zaplecza dobiegał syk parowych żelazek do prasowania i nagle rozległ się metaliczny głos spikera mówiącego przez radio: „Niewielkie miasto Gentry, ciągle wstrząśnięte po odnalezieniu zwłok Sylvii Gibbler...”.

Wręczyła pracownikowi pralni kilka banknotów, a kiedy szukał reszty, pochyliła się nad ladą i słuchała. „Policja nie wytypowała jak dotąd żadnych podejrzanych. Przyjaciele i rodzina uważają, że brutalna zbrodnia mogła zostać popełniona przez przyjezdnego, który przypadkiem znalazł się w okolicy. Śledczy apelują do świadków o informacje, można anonimowo dzwonić pod specjalny numer telefonu...”

Pani March zastanawiała się, czy nie zadzwonić i nie zadenuncjować George’a, ale obawiała się, że mimo wszystko może być niewinny. Przeczuwała, że to on jest sprawcą, i czuła ściskanie w żołądku.

- Dziękuję, zapraszamy ponownie - powiedział śpiewnie pracownik pralni, wręczając pani March resztę.

Wracła do domu, ściskając spoconymi rękami plastikową torbę, i w jej głowie zaczął kiełkować plan. Sama pojedzie do Gentry. Poszuka śladów, potwierdzi swoje podejrzenia. „Nie, to śmiechu warte. Dlaczego miałabym jechać do Maine z powodu idiotycznych domysłów?” - pomyślała. Obiekcje okazały się nieprzekonujące, gdy wyobraziła sobie, że zdobywa zaufanie mieszkańców miejscowości, odkrywa zlekceważone dowody, a później jest chwalona przez policję za odwagę i upór. Postanowiła pojechać, upewnić się raz na zawsze, czy rzeczywiście jest żoną mordercy seksualnego.

Szła obok księgarni na Madison Avenue i z niesmakiem spojrzała na egzemplarze starych książek George'a, które leżały rozchylone na wózkach na ulicy. „Prostytutki rozstawiające nogi i wabiące klientów” - pomyślała. Zatrzymała się, gdy zauważyła na wystawie najnowszą powieść. Widziała przez szybę sklep zalany ciepłym światłem, drabiny z mosiężnymi poręczami przymocowane do regałów. Książki sięgały od podłogi do sufitu. Pani March stała przed działem bestsellerów i miała wrażenie, że poznaje rozplotkowaną sąsiadkę z supermarketu, której nazwiska ciągle nie pamiętała. Z jej wózka wypełnionego kiełbaskami ukradła powieść George'a. Nic nie słyszała przez szkło, ale przypuszczała, że kobieta czyta książkę na głos i śmieje się. Obok śmiał się ktoś inny... Czy to Sheila Miller? Krótkowłosa, szczupła, ubrana w chłopięcą parkę i kolorową chustkę, trzymała się za brzuch, jakby próbowała powstrzymać paroksyzmy śmiechu.

Pani March patrzyła na nie złym wzrokiem przez szybę. Jej szybki oddech przypominał szelest plastikowego worka. Z tyłu przejechała

taksówka, rozpryskując wodę na chodnik, a w oknie księgarni pojawiło się żółte odbicie samochodu, które przecięło szyje kobiet.

Ich zachowanie sugerowało, że w książce jest coś pikantnego. Sheila pochyliła się, by przeczytać jakiś fragment; na jej twarzy malowało się oczekiwanie.

To, co zobaczyła, sprawiło, że otworzyła szeroko usta i zasłoniła je dłonią, zaszokowana. Wybałuszyła oczy. Kobiety patrzyły na siebie z wyrazem radosnej złości: wyglądały jak wiedźmy nad kotłem.

Pani March ruszyła powoli wzdłuż wystawy. W końcu spojrzała w oczy dwóm roześmianym kobietom. Czekala, by na ich twarzach pojawił się wyraz skruchy. Zamiast tego, ku jej przerażeniu, uśmiechnęły się chłodno i żarłocznie. Ruszyła w stronę domu.

Kiedy dotarła do kamienicy, zauważyła niewielką grupkę ludzi skulonych przed wejściem. Kilku z nich spojrzało na nią z ciekawością.

Natychmiast po wejściu do mieszkania rozległ się dzwonek domofonu: ostry, nieprzyjemny dźwięk, który wytrącił ją z równowagi. Podniosła słuchawkę.

– Słucham?

– Jest tam George?

– Nie, przykro mi. Kto mówi?

– Możemy wejść? Chcielibyśmy dostać autograf.

– To niemożliwe. Już mówiłam, że męża nie ma w domu.

– Jesteśmy fanami jego powieści. Chcemy zobaczyć miejsce, gdzie mieszka. Proszę, niech nas pani wpuści.

– Nie, ja nie...

– Zajmie to co najwyżej pięć minut.

– Gdzie jest portier? – spytała. Zaszło jej w ustach.

– Piszę pracę dyplomową o powieści pana Marcha – odezwał się inny głos. – Zajmę państwu tylko chwilę. Gdybym zobaczył dom Johanny, bardzo pomogłoby mi to w badaniach.

– Nie mogę państwa wpuścić. Proszę odejść.

W słuchawce rozlegały się trzaski, ale słyszała też szepty.

– Proszę zostawić nas w spokoju! – rzekła błagalnie. Zaszło jej w ustach. Trzymała w ręku pranie, skronie miała pokryte kropelkami potu. – Halo? – powiedziała. – Halo?

– Tak? – odezwał się męski głos, tak głośny i wyraźny, że się wzdrygnęła. – Mówi portier.

– Och, dzięki Bogu. Nazywam się March, mieszkam w apartamencie numer sześćset sześć. Czy już sobie poszli?

– Kto?

– Fani, fani George'a, ludzie stojący przed domem... – Urwała, oblana zimnym potem, bo nagle pomyślała, że to wcale nie portier. Odkryli numer mieszkania.

Jakby potwierdzając jej obawy, coś uderzyło we frontowe drzwi z taką siłą, że zatrzeszczały zawiasy. Wstrząśnięta pani March jęknęła i upuściła pranie na podłogę. Przełknęła ślinę, zebrała się na odwagę i zerknęła przez wizjer. W tym samym momencie coś znowu uderzyło w drzwi, chcąc je wyrwać z zawiasów. Zatopiła twarz w dłoniach. Walenie w drzwi nie ustawało, oparła się o nie plecami, by nie puściły. Bezlitosne uderzenia przeszywały jej pierś.

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyknęła, szlochając, i osunęła się na podłogę.

W tym momencie uderzenia nagle ustały.

* * *

Długo leżała na podłodze, oparta o drzwi. W końcu zapadł zmrok. Poruszyła się niespokojnie, gdy rozległ się dzwonek. Zza drzwi dobiegł głos:

– To ja, Sheila! Przyprowadziłam Jonathana.

Jonathan! Przyprowadziła Jonathana z góry. Pani March wstała z podłogi i spojrzała na siebie w lustrze. Miała obrzmiałą twarz i policzki poplamione spływającą maszczą. Usunęła palcami ślady – a przynajmniej rozmazała. Sheila znowu zastukała. W szparze pod drzwiami poruszały się cienie i pani March przez chwilę podejrzewała, że to podstęp, że fani George'a wymyślili nową sztuczkę. Przyłożyła oko do wizjera i zobaczyła Sheilę z rozczochranymi jasnymi włosami. Pośpiesznie cofnęła głowę, po czym przygryzła kciuk i otworzyła drzwi.

Sheila z uśmiechem położyła dłoń na ramieniu Jonathana. Nawet jeśli zauważyła przed księgarnią panią March, jej twarz niczego nie zdradzała. Jonathan wbiegł do apartamentu. Sheila miała zamiar wypowiedzieć banalne słowa powitania, gdy pani March odchrząknęła i rzekła:

– Byłabym ci bardzo wdzięczna, Sheilo, gdybyś nie zostawiała Jonathana bez nadzoru, gdy jest pod twoją opieką.

Na twarzy Sheili pojawiło się zdumienie. Oblała się rumieńcem.

– Och, naturalnie – rzekła. – Nigdy w życiu...

– Czy nie widziałam cię na Madison Avenue? Przed kilkoma godzinami?

Sheila teatralnie zmarszczyła brwi. Wyglądała, jakby uprawiała kontemplację.

– Nie, przecież... w ogóle dziś nie wychodziłam. Chłopcy oglądali film, a ja przygotowałam lemoniadę i upiekłam ciasteczka.

– W takim razie musiałam się pomylić.

Sheila podrapała się po obojczyku.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Doskonale – odpowiedziała pani March. Zamrugła i nagle przeszła cudowną przemianę: wyprostowała się i uśmiechnęła tak szeroko, że o mało nie pękła jej skóra na twarzy. – Bardzo dziękuję, że zaopiekowałeś się Jonathanem – dodała ze sztuczną wesołością. –

Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy. Miłego wieczoru! – Zatrzasnęła Sheili drzwi przed nosem.

* * *

Kiedy George wrócił, pani March – jak zawsze nienagannie grzeczna – spytała, jak się udała podróż.

– Znakomicie – odpowiedział, co głęboko ją zirykowało. – Żadnych zgrzytów. Myślę, że wywiad dobrze wypadł. Oglądałaś go?

– Nagrałam, żebyśmy mogli go obejrzeć razem z Jonathanem – odpowiedziała, zerkając na telewizor i puste kasety wideo w szafce.

– Mam wrażenie, że powieść naprawdę im się podoba – zauważył George, usiadł na dywanie i próbował naprawić kolejkę Jonathana, która przestała działać poprzedniego wieczoru.

– Podoba się wszystkim, kochanie – odparła. Powiedziała to takim dziwnym, zdyszonym tonem, że Jonathan, leżący na podłodze i oglądający telewizję, dziwnie na nią spojrział.

– Tak czy inaczej, bardzo ci dziękuję – dodał George. Pani March pokręciła z niedowierzaniem głową. – Naprawdę jestem ci wdzięczny – powtórzył, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń pani March.

Przeszło jej przez myśl, że powinna być zadowolona, ale nie była. Została sama w Nowym Jorku, choć chciała mu towarzyszyć („Czy naprawdę?” – rozległ się w jej głowie cichy głos). Pragnęła go ukarać, wzbudzić w nim poczucie winy, że ją opuścił. Sprawić, by następnym razem dobrze się zastanowił, nim zrobi coś podobnego. Gadał o jakiejś nagrodzie, do której nominowano powieść, a pani March szukała w nim oznak obcego człowieka, który stał w sypialni i pakował walizkę. Widziała wągry na czubku jego nosa, siwe, krzaczaste brwi, nieco przekrzywione okulary – i z rozczarowaniem doszła do wniosku, że jej teoria jest błędna. George był George’em, jak zawsze, i nie powinna dawać wiary fantastycznym teoriom, by usprawiedliwić brutalną zbrodnię. „Nie” – pomyślała, patrząc na męża rozstawiającego kolejkę Jonathana tymi samymi dłońmi, które udusiły Sylvię. „Odkryję prawdę. Powiem George’owi, że wybieram się z wizytą do siostry i matki w Bethesdzie, lecz zamiast tego pojedę do Gentry”. Skaleczył się w palec na szynie kolejki, po czym poszła do łazienki po plaster, cały czas lekko się uśmiechając.

XXX

Poczucie winy ma w sobie coś zabawnego. Była to pierwsza emocja zapamiętana przez panią March. Skończyła trzy lata, nauczyła się korzystać z toalety, lecz nie opanowała jeszcze sztuki podcierania się. Rodzice wydawali uroczysty lunch. Nie pamiętała dokładnie, kto był obecny i dlaczego pozwolono jej usiąść z Lisą przy stole. Kiedy jadła purée z warzyw – może wskutek jakiegoś freudowskiego skojarzenia – poczuła, że musi pójść do toalety. Popatrzyła na matkę, siedzącą u szczytu stołu nieco dalej. Głośno odsunęła krzesło, upuszczając na podłogę płócienną serwetkę, i chwyciła pulchnymi rączkami gałki na szczycie oparcia. Podeszła do pani Kirby, która piskliwie się śmiała – nigdy nie zachowywała się w ten sposób, gdy w domu nie było gości. Pani March wspięła się na palce, przyłożyła dłonie do ust i szepnęła matce do ucha, muskając nosem jeden z klipsów marki Chanel: „Muszę zrobić kupę!”.

Matka westchnęła i szepnęła przez zaciśnięte zęby: „Nie wytrzymasz?”. Kiedy pani March pokręciła przecząco głową, matka odprawiła ją skinieniem dłoni. Pani March czasami się to śniło – widziała cienie swoich nóg na jasnobrązowym marmurze posadzki, gdy siedziała na sedesie w łazience dla gości. Prawdopodobnie skorzystała z tej łazienki, bo znajdowała się najbliżej jadalni. Matka mogła ją słyszeć, kiedy w końcu zawołała: „Mamusi, skończyłam!”. Po niewiarygodnie długim czasie pojawiła się matka (a gdyby nigdy

nie przyszła?...), wściekła, mrużąc pod nosem: „Nie mogłaś wytrzymać... to nie moje zadanie... Lisa nigdy...”. Wytarła tyłek pani March z taką siłą, że go obtarła. Kiedy później pani March wołała matkę z toalety, zawsze przychodziła służąca.

W owym czasie pani March po raz pierwszy zaczęła doświadczać poczucia winy.

Później, w wieku czterech lat, otrzymała na Gwiazdkę wspaniały dom dla lalek. Kiedy go rozpakowała, zalała się łzami.

– Co się stało?! – spytała matka. – Przecież właśnie o tym marzyłaś!

Pani March skinęła głową i dalej płakała. Śluz spływał z nosa na wargi.

– Jest niemożliwie rozpuszczona – powiedziała Lisa, siostra pani March. Trzymała własny prezent, skomplikowany zestaw przyrządów do eksperymentów chemicznych, i patrzyła na niego z obojętnością dorosłej kobiety.

Pani March nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego chciała dostać ten konkretny dom dla lalek i dlaczego tak o nim marzyła, odkąd po raz pierwszy zauważyła go w katalogu sklepu z zabawkami FAO Schwarz. Teraz widziała go na własne oczy: gigantyczny pseudowiktoriański dom z miniaturowymi obrazami w złożonych ramach, działającym oświetleniem i łazienką z porcelanową wanną. W ogóle na niego nie zasłużyła, nie zapracowała w taki sposób jak na odznakę wzorowego przedszkolaka. Po prostu poprosiła rodziców i trzymała go w rękach.

Płakała cichutko, a Lisa powiedziała, przewracając oczami:

– Jezu, nic się nie stało. Dostaniesz wymarzony prezent w przyszłym roku.

Poczucie winy jest dla odważnych. Wyparcie dla reszty.

XXXI

Pani March pomyślała, że w tej chwili jedynym problemem jest to, że siostra mogłaby zatelefonować pod jej nieobecność i spytać, dokąd pojechała. Nie przypuszczała, by Lisa zadzwoniła – rzadko to robiła, chyba że w czasie wakacji i z okazji urodzin. Zdarzało się jednak, że nagle telefonowała, by przekazać najświeższe nowiny o matce. Raz przekazała pilną wiadomość, że matka pomalowała brokatem ozdobę świąteczną na choinkę w domu opieki.

Należało wymyślić kolejne kłamstwo. To ważna misja. Zatrze za sobą ślady i nikt nie musi wiedzieć, że pojechała do Maine; wszystko zależy od tego, co ustali. Czuła dreszczyk emocji na myśl, że będzie miała własny sekret, może na zawsze.

Następnego wieczoru, po wyjściu Marthy, gdy George zamknął się w swoim gabinecie, zatelefonowała do siostry.

– Chcę cię zawiadomić, że będę nieobecna przez kilka dni, więc proszę, nie dzwoń. Nie zastaniesz mnie, George’a zresztą też – dodała pod wpływem impulsu. – Jedziemy do spa.

– Och, cudownie! Nie wiedziałam, że tak dbacie o formę.

– Cóż, to przecież śmiechu warte, prawda?

– Chyba tak – zgodziła się Lisa. – Gdzie jest to spa?

– Och... sama nie wiem.

– Chcesz powiedzieć, że nie wiesz, dokąd wyjeżdżasz?!

– Nie, to niespodzianka... Pomysł George'a – dodała, podziwiając samą siebie.

– Ty to masz szczęście... – powiedziała Lisa. Pani March pomyślała, że zabrzmiało to dość kwaśno. – A co z Jonathanem?

– Zostanie z sąsiadami z góry.

– Chcesz, żebym wpadła i sprawdziła, jak się miewa?

– Nie, nie, sama się tym zajmę. Zatelefonowałam tylko po to, by ci powiedzieć, że nie będzie mnie w domu. Zadzwoń zaraz po powrocie.

– W porządku, kochana. Baw się dobrze.

Później pani March zadzwoniła do biura linii lotniczych i zarezerwowała bilet do Augusty bez wyznaczonej daty powrotu.

– Dziękuję pani! Życzę miłej podróży! Maine jest cudowne o tej porze roku – powiedziała pracownica linii lotniczych, nim się rozłączyła. Pani March wyszła z pokoju i z poważną miną otworzyła drzwi garderoby – wszystkie jej działania wydawały się teraz niezwykle doniosłe – po czym zdjęła z górnej półki niewielką walizkę w szkocką kratę.

Pakowała jasnobrązowe zimowe pantofle ranne, gdy do garderoby wszedł George. Miała wrażenie, że przeżywa scenę, w której już wcześniej uczestniczyła, lecz tym razem patrzy na nią z innej perspektywy.

– Zamierzam odwiedzić matkę – rzekła, kiedy George przestąpił próg. – Rozmawiałam z siostrą. Matka źle się czuje.

Zerknęła kątem oka na George'a, udając, że się pakuje. Wydawał się trochę wytrącony z równowagi. Podrapał się po brodzie i powiedział:

– Przykro mi to słyszeć, kochanie. Czegoś ci potrzeba?

– Nie, wszystko już załatwione – odparła, wkładając do walizki kilka chustek na głowę (był to pomysł na podróż incognito).

– Jak długo cię nie będzie?

– Cóż, kupiłam bilet otwarty, bo nie jestem pewna, jak długo będę potrzebna. Obiecałam zostać, dopóki sytuacja się nie unormuje. – Wypowiedziała te słowa z męczeńską dumą.

– Naturalnie. Zajmij się wszystkimi niezbędnymi rzeczami.

– Będę do ciebie dzwoniła, by ci powiedzieć, jak się czuje matka.

– Wydaje się, że panujesz nad sytuacją, jak zwykle – rzekł. Całkowity brak zainteresowania jej nagłą podróżą doprowadzał ją do furii. Podeszedł do niej i pocałował ją lekko w policzek. Zesztywniała. Przebiegła jej przez głowę myśl: „Pocałunek Judasza”. Gdy cofnęła głowę, zauważyła na jego twarzy cień uśmiechu. – Pójdę wziąć prysznic – dodał.

Kiedy puścił wodę, popędziła do jego gabinetu. Trzymał klucze od domku letniskowego Edgara w niewielkiej ceramicznej misie stojącej na biurku, zauważyła je wśród starych opakowań po gumie do żucia i drobnych monet. Wyjęła je ostrożnie, spodziewając się, że za chwilę ją przyłapie, ale się nie pojawił. Schowała klucze do kieszeni i wyszła z gabinetu równie cicho, jak się do niego zakradła.

* * *

Pocałowała George’a na pożegnanie i pożegnała Marthę (Jonathan był w szkole). Weszła do windy, spoglądając na drzwi apartamentu numer sześćset sześć. Były zamknięte.

W windzie zaczerpnęła głęboko tchu. Nuciała pod nosem, patrząc na niewielką walizkę na kółkach. Napisała adres na skórzanej zawieszce i na imieniu rozmazał się atrament.

Drzwi windy się rozsunęły, jak zwykle gwałtownie. Weszła do holu, ciągnąc za sobą walizkę. Zbliżyła się do szklanych drzwi, spodziewając się, że George lada chwila pojawi się za jej plecami. Szła w stronę wyjścia, nie ośmielając się odwrócić.

Portier wezwał taksówkę, a pani March czekała w milczeniu, aż włoży walizkę do bagażnika. Zachowywał się przesadnie służalczo. Podziękowała, usiadła z tyłu i zamknęła za sobą drzwi. Zerknęła na kamienicę, kwadratowe okna i kwadratowe klimatyzatory. Taksówka odjechała, skręciła za róg i pani March straciła z oczu budynek. Ogarnęło ją poczucie winy. Ostatnio odwiedziła matkę, gdy Jonathan był niemowlęciem. Zawsze miała ponure przekonanie, że to matka powinna umrzeć – nie ojciec. Ojciec, z opalonym krągłym brzuchem, który tylko raz widziała tamtego lata w Kadyksie. Ojciec, który zawsze rezerwował stolik na kolację i wiedział, do kogo zadzwonić, gdy walizki zgubiły się w Grecji. Pewnego razu przygotowała odrażające danie złożone z winogron, pokruszonych biszkoptów z czekoladą i orzeszków ziemnych z dodatkiem soli, cukru i pieprzu, po czym dumnie pokazała je rodzicom, zachęcona przez rozpromienioną Almę. Matka nie chciała spróbować potrawy, kolejne świadectwo, że nie jest przyjaciółką córek i nigdy nie będzie. Ojciec na początku grzecznie odmówił, ale po łagodnych zachętach Almy postanowił spróbować. Pochylił się nad talerzem i włożył łyżeczką do ust dużą porcję niesmacznej mieszaniny. Jadł w milczeniu, niewątpliwie żałując swojej decyzji. Pani March czuła piekący wstyd, ale była mu wdzięczna i może po raz pierwszy naprawdę go doceniła.

Siedziała w taksówce na cuchnącym siedzeniu z popękanej skóry i usprawiedliwiała się przed sobą, że zaniedbywała matkę.

Przekonywała się, że gdyby ojciec żył, często odwiedzałyby go w Bethesdzie. Z nagłym przekonaniem doszła do wniosku, że nigdy nie pozwoliłaby go umieścić tak daleko. Postarałaby się, by był jak najbliżej. Kochany, stary pan Kirby. Zastanawiała się, jak wygląda teraz w trumnie. Zwykle wyobrażała go sobie jako unoszącą się w powietrzu gazetę z parą nóg. Na pewno zgnił i zostały tylko kości.

W czasie jazdy na lotnisko nic się nie wydarzyło – nikt jej nie śledził, nikt nie zatrzymał. Taksówkarz nie zjechał z autostrady, by zamordować ją w jakimś odludnym miejscu na polecenie George'a.

Samolot wystartował i wylądował punktualnie, przeszła gładko przez kontrolę bezpieczeństwa. Założyła komicznie wielkie okulary przeciwsłoneczne i chustkę na głowę. Omijała szerokim łukiem księgarnię na lotnisku, gdzie z wiatraka szydziła z niej powieść George'a.

Kiedy czekała przed bramką, usłyszała głos mężczyzny stojącego przy pobliskim automacie telefonicznym. Był ubrany w trencz i ścisnął w ręce teczkę; słuchawkę umieścił między policzkiem a ramieniem. „Halo, restauracja Delmonico's? Mówi John Burnett. Zgadza się. Chciałbym zarezerwować stół na kolację na przyszłą sobotę. Dla dwóch osób. Dobrze, może być siódma”.

Pani March pokazała bilet pracownikowi lotniska stojącemu przy bramce i odeszła od mężczyzny rezerwującego stół. „Jakie to dziwne, że wiem, gdzie będzie o siódmej w przyszłą sobotę” – pomyślała. Przez chwilę bawiła się myślą, że mogłaby się pojawić w Delmonico's, powitać mężczyznę jak starego znajomego i bawić się jego zaskoczeniem. Czy udałby, że ją zna? Czy John Burnett to uczciwy człowiek? Wsiadając do samolotu, zastanawiała się, z kim umówił się na randkę. Czy to romantyczna kolacja z żoną, czy

zaprosił kochankę na butelkę szampana i ostrygi? Ale czy rozmawiałby o tym tak jawnie, korzystając z publicznego automatu?

Siedziała przy oknie. Zdrętwiały jej nogi, a pas bezpieczeństwa nieprzyjemnie wpijał się w brzuch. Kiedy tylko zgasł napis, że należy zapiąć pasy, pani March poprosiła stewardesę o czerwone wino. Zrezygnowała z plastikowego kubeczka i piła prosto z małej buteleczki. Zastanawiała się, jak długo George by jej szukał, gdyby samolot się rozbił. Porozmawiałby z Lisą, po czym mógłby dojść do wniosku, że pani March ma romans i uciekła z kochankiem. Podobała jej się myśl, że obawiałby się, że ją straci, że dręczyłoby go poczucie winy za to, że ją lekceważył, że napisał tę odrażającą książkę.

* * *

Po godzinnym przystanku w Bostonie poleciała do Augusty. Cała podróż trwała trochę więcej niż trzy godziny. Ponieważ dotarcie do Bethesdy zajęłoby połowę tego czasu, zadzwoniła do George'a z automatu na lotnisku i powiedziała, że dotarła do domu siostry po niespodziewanym opóźnieniu samolotu. Nie wydawał się zainteresowany, tylko dziwnie roztargniony; pani March słyszała w tle przytłumione chichoty.

– Kto to? – spytała.

– Och, to nic, tylko Jonathan trochę bryka.

Zmarszczyła nos i popatrzyła na swoje buty. Jeszcze nigdy nie widziała brykającego Jonathana.

– U was wszystko w porządku?

– Tak, tak. Tęsknimy za tobą, ale jakoś wytrzymamy. Nie martw się, kochanie. Damy sobie radę bez ciebie.

– Doskonale. Nie zapomnij poprosić Marthę, by przygotowała dziś na kolację jagnięcinę. Inaczej się zepsuje.

– Zrobi się – odparł George. – Baw się dobrze! Pozdrów wszystkich ode mnie. – Rozłączył się.

Pani March stała przy automacie telefonicznym. Mrugała, w dalszym ciągu przyciskając słuchawkę do ucha.

– Ja też cię kocham, najdroższy – powiedziała głośno. – Wkrótce się zobaczymy – dodała, by usłyszała to kobieta stojąca w kolejce.

Pod automatem leżały rozrzucone wizytówki z numerami miejscowych restauracji i firm taksówkowych. Zadzwoiła do jednej z nich. Odebrano po kilku dzwonekach; mężczyzna wydawał się zdziwiony, ale zapewnił, że taksówka przyjedzie w ciągu pięciu minut.

Z determinacją wyszła na chłodne powietrze, które uderzyło ją jak morska fala.

XXXII

Dom letniskowy Edgara znajdował się około czterdziestu minut jazdy od lotniska. Pani March przepisała adres z obrotowego wizytownika George'a na żółtą karteczkę, którą miała w kieszeni przez całą drogę. Zabrała ze sobą notes (należący do George'a) i pióro, by robić notatki.

Taksówka, zgodnie z obietnicą, przyjechała szybko. Na tylnych drzwiach znajdowało się logo w komiksowym stylu przedstawiające łosia w ciemnych okularach stojącego na tylnych łapach i wystawiającego do góry kciuk. Kierowca był wylewny i przesadnie gadatliwy, co irytowało panią March, która uważała to za oznakę braku profesjonalizmu. Kiedy zaproponował, że przytrzyma drzwi, wymówił to słowo jako „dźwi”.

Kiedy jechała do domu letniskowego Edgara, po obu stronach szosy widać było wielkie cmentarze – nagrobki rzucały cienie na śnieg. Na moście na rzece Kennebec taksówkarz wskazał duże ławice kry i wyjaśnił, że zostaną wysadzone przez straż przybrzeżną.

Uprowadził panią March, że wjeżdżają do spokojnego miasteczka Gentry. Spoglądała przez okno na puste ulice – tak puste, że zastanawiała się, czy taksówkarz w ogóle włącza kierunkowskaz. Zauważyła dwa sklepy papiernicze specjalizujące się w materiałach do ręcznego dekorowania albumów pamiątkowych i zwiędły wieniec wiszący nad frontowymi drzwiami ratusza.

W miejscu uchodzącym za centrum taksówka skręciła w drogę, wzdłuż której rosły ogromne jodły, a budynki były bardziej oddalone od siebie. Lokalne sklepy i zakłady usługowe wyglądały jak domy mieszkalne – przysadziste budynki ze ścianami z desek i szyldami w oknach lub na podwórkach: „Salon fryzjerski Diany”, „Muffinkowe szaleństwo” i „Strzyżenie psów u Lestera”. Mieszkańcy Gentry wydawali się dumni ze swojego miasta, ale pani March widziała tylko brzydką, zapadłą miejscinę. Zupełnie nie pojmowała, co dostrzegł w niej Edgar, że kupił tu dom letniskowy. Może podobało mu się odludne położenie pozwalające realizować mroczne fantazje jego i George’a? Usiłowała sobie przypomnieć, czy George znał Edgara, gdy przed wielu laty kupował on dom letniskowy.

Minęli restaurację z ogromnym parkingiem. Pani March zauważyła, że znajduje się blisko domku letniskowego, po czym taksówkarz skręcił w prowadzącą do niego drogę gruntową.

Zapłaciła gotówką i nie przyjęła propozycji kierowcy, że zanieśie jej walizkę do domu, choć wielokrotnie ją powtarzał. W końcu uniósł dłonie w geście kapitulacji i odjechał, żegnając ją dobrodusznym klaksonem, po którym upuściła bagaż na lód. Drewniany dom okazał się większy, niż się spodziewała; miał kamienny komin i otaczała go kolistą werandą ze schodkami. Kiedy otworzyła skradzionym kluczem drzwi frontowe i weszła do środka (przewracając parę śniegowców opartych o ścianę), ze zdumieniem zobaczyła wszędzie drewno. Drewniane podłogi, drewniane ściany, drewniane meble, drewniane półki, stosy drewna obok kominka. Cały budynek składał się z drewna, w większości lekko polakierowanego, i miał w sobie coś niedokończonego. Pani March pomyślała, że ściany błagają o warstwę farby.

Zamknęła za sobą drzwi, mając wrażenie, że zatrzaskuje wieko własnej sosnowej trumny. Postawiła walizkę na podłodze, splótła ręce na piersi i zaczęła się rozglądać. Sufity były pokryte krzyżującymi się belkami. Kominiek wykonano z kamieni polnych, stał na nim wypchany lis upozowany na drewnianej gałęzi – może upolowany przez Edgara. W jednym z oczodołów brakowało marmurowej kulki imitującej ślepię.

Obejrzała dużą etażerkę wbudowaną w ścianę, czując trwogę na myśl, co tam znajdzie. Okazało się, że miała trafne przecucie: zobaczyła kompletny zestaw powieści George'a ustawionych według dat publikacji, z lśniącymi okładkami. Wyjęła jedną na chybił trafił i przeczytała dedykację na pierwszej stronie: „Edgarowi, najlepszemu wydawcy na świecie. George”. Wyjęła drugą i otworzyła na tej samej stronie: „Edgarowi. Bez Ciebie ta książka nie byłaby tym, czym jest, podobnie jak autor. George”. Zobaczyła jeszcze jeden wpis: „Edgarowi. Przyjacielowi, wydawcy, współnikowi zbrodni”. Przeczytawszy te słowa, gwałtownie wyprostowała stronę, zamknęła książkę i postawiła ją z powrotem na półce. George dedykował jej powieści tylko na początku ich związku. Przypuszczała, że teraz, gdy od tak dawna mieszkają razem, dedykowanie książek żonie nie ma większego sensu. Poza tym zawsze z góry zakładała, że wszystkie jego powieści są zadedykowane kobiecie, z którą postanowił spędzić życie.

Chodziła po domku letniskowym i stale przypominały jej się słowa „wspólnik zbrodni”. Otwierała drzwi prowadzące do skromnie umeblowanych sypialni i garderób pachnących stęchlizną, lecz nie potrafiła odkryć żadnych śladów życia, jakie tu prowadzono. Podniszczone koce, stare płaszcze i spłowiałe spodenki kąpielowe

nie zdradzały żadnych tajemnic – przynajmniej takich, które pani March pragnęła odkryć.

Otworzyła jeszcze jedne drzwi i znalazła kuchnię – w stylu rustykalnym, z miedzianymi rondlami wiszącymi nad zabytkową kuchnią węglową z sześcioma fajerkami. W lodówce było trochę jedzenia, prawdopodobnie nieświeżego. Pomyślała, że powinna zjeść posiłek w restauracji.

Na ścianie koło tylnego wyjścia wisiała szafka z rzędem kluczy. Wzięła klucz z zawieszką „Garaż” i wyszła na dwór. W garażu, niczym niedźwiedź w stanie hibernacji, stał zaparkowany stary jeep, ciemnozielony, z łysymi oponami. Wyobraziła sobie, jak Edgar go prowadzi, a George siedzi na miejscu dla pasażera. Milczą, wracając do domku po zamordowaniu Sylvii, być może z jej zwłokami wepchniętymi do bagażnika. Przyłożyła dłonie do twarzy i zajrzała przez szybę na miejsce kierowcy. Pod wpływem impulsu pociągnęła za klamkę. Drzwi otworzyły się tak lekko, że pani March krzyknęła. Kiedy w garażu ciągle rozlegało się echo jej głosu, wsiadła do szoferki i powąchała odświeżacz powietrza w kształcie choinki wiszący na lusterku wstecznym. Nie pachniał już sosną. Zajrzała pod dywaniki leżące na podłodze i otworzyła schowek na rękawiczki, w którym znalazła niedbale złożony kalendarz ze szczegółami aktualnego sezonu polowań. „Jeden jeleń”. „Dwa niedźwiedzie”. Kilka dat zaznaczono czerwonymi kółkami. Otworzyła bagażnik i zaczęła szukać śladów krwi, długich kasztanowych włosów, bransoletki z monogramem albo naszyjnika, czegokolwiek, co mogło należeć do Sylvii, lecz niczego takiego nie zauważyła.

Zastanawiała się, czy nie znaleźć kluczyków od samochodu i nie pojechać do miasta. Nie chciała zwracać na siebie uwagi,

zamawiając kolejne taksówki i podając fałszywe nazwiska, ale zaniepokoiła ją myśl o jeździe samochodem drogą publiczną – ostatnio siedziała za kierownicą wózka golfowego w klubie ojca.

W końcu doszła do wniosku, że najrozsądniej będzie chodzić pieszo. Najpierw postanowiła iść do restauracji na kolację.

* * *

Pani March owinęła twarz szalikiem i poszła wśród drzew na skraju szosy, by jej nie zauważono. Często zerkała w kierunku garażu – w tej chwili ledwo widocznego. Wyrzucała sobie głupotę. Z pewnością zamarznie w tym lesie i jej zwłoki odnajdzie dopiero po kilku tygodniach turysta albo myśliwy, podobnie jak zamarznięte ciało Sylvii.

Szła w stronę restauracji wśród sosen kołyszących się na wietrze. Papier na książki George'a mógł pochodzić z drzew ścinanych w tym rejonie. Zastanawiała się, ile drzew zabito, by wydrukować te wszystkie egzemplarze. Cały las poświęcony na przyszłe wydania. Otaczające ją drzewa wydawały się dygotać ze strachu. Wyobrażała sobie, jak krzyczą kobiecymi głosami i machają gałęziami. Pośpieszyła w stronę błyskającego w dali neonu restauracji.

* * *

Restauracja była prawie pusta, z wyjątkiem starszego małżeństwa i mężczyzny czytającego gazetę w rogu. Lokal nie wyglądał jak spelunka, choć czerwonobrazowe plastikowe boksy z pewnością nie kojarzyły się z elegancką restauracją. Na każdym stole leżały karty dań w plastikowych okładkach i stały pojemniki z keczupem oraz musztardą. Lokal wydawał się przytulny, a nawet bezpieczny. Pani

March wyobrażała sobie, że co wieczór przychodzi tu na kolację, zaprzyjaźnia się z kelnerkami, staje się ulubioną klientką.

Wybrała boks obok okna z widokiem na parking. Mała plastikowa poduszka wyrzuciła z sykiem powietrze, gdy na niej usiadła. Kelnerka siedząca za barem usłyszała dźwięk i kiwnęła głową pani March, która nie chciała podnosić głosu i pozdrowiła ją królewskim skinieniem dłoni.

Powąchała nadgarstki i zorientowała się, że zapomniała wziąć perfumy. Czuła się bez nich dziwnie obco – jak widmo pozbawione zapachu. Uśmiechnęła się do tej myśli. Jeśli zapach wyznacza tożsamość, jego brak otwiera nowe, ekscytujące możliwości. Mogła zostać w Gentry, zapomnieć o przeszłości, zacząć wszystko od nowa. Mogła zostać tym, kim chciała.

Nagle poczuła przeciąg i zobaczyła dwóch mężczyzn wchodzących do restauracji. Powoli zamknęły się za nimi drzwi, podeszli do baru i usiedli na stołkach. Jeden z nich spojrzał na nią. Uśmiechnęła się. Zignorował ją i odwrócił się plecami, po czym zaczęli zamawiać drinki u barmana.

Pani March poczuła, że oblewa się rumieńcem. Spojrzała na menu. Prawdopodobnie byli takimi samymi nieokrzesanymi brutalami jak mężczyźni, którzy zamordowali Sylwię. Zauważyli ponętą młodą dziewczynę siedzącą samotnie w tej samej restauracji, po czym porwali ją z parkingu. Pani March wpatrywała się z wściekłością w ich plecy, zirytowana, że nigdy nie będą się lubieżnie na nią gapić jak na Sylwię.

Do jej stolika podszedł kelner. Kiedy przyjmował zamówienie, uwodzicielsko złożyła wargi w dzióbek. Poprosiła o bułkę z homarem

i gorącą herbatę. Ani razu nie spojrział jej w oczy, gryzmołąc w notesie.

Kiedy zjadła kolację, w lokalu pozostali tylko dwaj mężczyźni przy barze. Siedziała w swoim boksie, zastanawiając się, jak odrzuciłaby ich zaloty, gdyby do niej podeszli. W ogóle się do niej nie zbliżyli. Gdy włożyli płaszcze i kapelusze, rzuciła na stół kilka pogniecionych banknotów i pośpieszyła do wyjścia, dając mężczyznom ostatnią szansę zaczepki w chwili wyjścia z restauracji. Nie zwrócili na nią uwagi, nawet nie uchylili przed nią drzwi. Zimne powietrze owiało jej rozpaloną twarz. Przechodząc przez parking, wpadła na psa, a raczej to pies wpadł na nią. Nigdy nie rozumiała psów. Dorastała jako dziewczynka w towarzystwie kapryśnego kota, więc знаła nieprzewidywalną naturę zwierząt. Pies przycisnął pysk do jej nogi i pociągnął nosem, spokojnie mrugając. Czytała gdzieś, że psy często wyczuwają choroby i cierpienie. Czy wyczuł jej niepokój? Uklękła obok zwierzaka, wielkodusznie doceniając jego zaloty (właścicielka stała obojętnie obok, trzymając smycz i poprawiając apaszkę). Pani March pogłaskała psa, czując, że świetnie się rozumieją. Pogładziła szarą, kędzierzawą sierść i szepnęła: „Tak, tak, wszystko będzie dobrze, prawda?”, a tymczasem pies ziewnął, wysunął jęzor i spojrział czarnymi, wilgotnymi ślepiami w dal (dlaczego psy nigdy nie patrzą ludziom w oczy?).

Właścicielka odchrząknęła. Pani March cicho się zaśmiała, pociągnęła nosem i wstała.

– Dziękuję – zwróciła się do kobiety. – Dziękuję. – Nie czekając na odpowiedź, przeszła przez parking. Obcasy półbutów z chwostami (zniszczonych przez śnieg i sól) stukały w beton. Cień pani March przecinał plamy światła rzucanego przez lampy uliczne.

* * *

W nocy, gdy próbowała spać w domu letniskowym, rozpraszały ją nieznajome dźwięki. Drewniane podłogi i ściany skrzypiały, a niewidoczny zegar tykał, odmierzając minuty. Na dworze wiał wiatr, słycać było nieustanne wycie wichury podobne do szumu morza w Kadyksie. Kiedy pani March zapadała w sen, zastanawiała się, czy może utonąć.

W pewnym momencie obudziła się, zdezorientowana. Znajdowała się w ciemności, obcej, tak głębokiej, że dźwięczała jej w uszach. Wichura przestała wyc, zmieniła się w cichy szum. Pani March wsłuchiwała się w niego i słyszała oddech, głęboki, ciężki, wręcz wilgotny. „To tylko Kiki. Stara, dobra Kiki, która za tobą tęskni”.

Nie była pewna, czy zacisnęła powieki, czy po prostu leży w ciemności. Nakryła głowę kocem.

XXXIII

Na skraju wanny stała drewniana kaczka krzyżówka. Pani March w oszołomieniu popatrzyła na nią, modląc się, by do niej nie mrugnęła, gdy wycierała pachy i pachwinę postrzępioną ścierką znalezioną pod zlewem.

Mrużyła oczy w jasnym porannym świetle wpadającym przez okno łazienki. Było ostre, białe, rażące.

Spała na kanapie przed kominkiem, by nie zostawiać żadnych śladów. Przykryła się kocykiem, który prawdopodobnie należał niegdyś do basseta Edgara. Natychmiast po przebudzeniu cisnęła go na podłogę, gdzie go znalazła, i zaczęła dokładnie przeszukiwać domek.

Zajrzała pod łóżka, do wazonów z kwiatami, za sedes, a nawet do pojemników z cukrem i mąką stojących w kuchni. Opukiwała ściany, badając, czy nie rozlegnie się głuchy odgłos wskazujący na istnienie sekretnego pomieszczenia. Szukała czegoś podejrzanego, nietypowego, co mogłoby podważyć to, jak George i Edgar opisywali domek letniskowy. Niczego nie znalazła.

Rankiem wybrała się na spacer na główną ulicę Gentry – długa, czterdziestominutowa wędrówka w lodowatym chłodzie; zniszczone półbuty obtarły pięty pani March. Sklep spożywczy mieścił się w brudnobiałym budynku z desek, przed którym znajdowały się niebieska skrzynka na listy i maszt z postrzępioną flagą Stanów

Zjednoczonych. Nad wejściem wisiał szyld z napisem: „Sklep wielobranżowy w Gentry”.

Pani March weszła do środka, minęła wiatrak z pocztówkami, stopy miejscowych produktów żywnościowych – głównie ziemniaków – i warcząca lodówkę z kartonami przemrożonych lodów.

Spacerowała wąskimi przejściami między regałami i powąchała kilka aromatycznych świec. Wszystkie pachniały kurzem, niezależnie od tego, co głosiły etykiety.

– Mógłbym pani w czymś pomóc?

Odwróciła się i zobaczyła ekspedienta, tęgiego łysiego mężczyznę z kępkami włosów na karku i uszach. Jego ramiona i dłonie również były porośnięte włosami. Pani March pomyślała, że jego ciało próbuje przeprosić za łysinę.

– Och, dzień dobry! – powiedziała. Odstawiła na półkę świecę (marki Turkey & Stuffing) i podeszła do lady, za którą stał sprzedawca. Za kasą wisiała na ścianie tabliczka z napisem „Sprzedajemy pozwolenia wędkarskie i myśliwskie!”. – Po prostu... po prostu się rozglądam.

– Rozgląda się pani po sklepiku z trzema regałami? Dziwne. Większość klientów przychodzi z gotowymi listami, najczęściej kupują mleko albo jaja. – Pani March patrzyła na niego pustym wzrokiem i w końcu dodała: – No cóż, niech się pani rozgląda, jeśli pani chce. Nikt pani nie popędza. Proszę powiedzieć, gdyby pani czegoś potrzebowała.

– Tak naprawdę jestem ciekawa, czy coś pan wie o zamordowanej dziewczynie, o tym, co się wydarzyło.

Ekspedient uniósł brwi i wytrzeszczył oczy.

– Nie szukam sensacji – dodała pośpiesznie. – Nie pochodzę z tych stron i ta historia mną wstrząsnęła, bo jestem matką. – Nabierała odwagi, mówiła z coraz większym przekonaniem. – Mam córkę, Susan, a Sylvia bardzo ją przypomina.

Sprzedawca się uspokoił, a na jego twarzy pojawił się wyraz przypominający czułość. Rozejrzał się dramatycznie w obie strony i oparł łokciami o ladę.

– Ostatnie tygodnie były bardzo trudne dla mieszkańców miasta – powiedział. – Zwłaszcza dla mnie... Znałem ją osobiście.

Tym razem to pani March uniosła brwi.

– Naprawdę? – spytała bez tchu.

– Przychodziła czasami do sklepu. Po mleko, baterijki i inne artykuły.

– Och... – westchnęła pani March. Oklapła.

– Wszyscy ją lubili, absolutnie wszyscy. Miała mnóstwo przyjaciół. Była jedną z najsympatyczniejszych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. Wspomagała ubogich, dawała im jedzenie i starą odzież. Nie tylko na Boże Narodzenie.

– Boże, co za straszliwa strata... – powiedziała pani March.

Pomyślała, że to zabawne, jak status człowieka wzrasta po śmierci. Wiele razy wyobrażała sobie własny pogrzeb: Jonathan, zawsze niewzruszony, szłocha rozpaczliwie, obejmując trumnę matki; obok stoi zaszokowany, milczący George, z pozoru stoicko spokojny, lecz w rzeczywistości pełen poczucia winy. Ludzie będą ciepło ją wspominać, uważać za bliższą niż za życia. Wyobrażała sobie, że inny pisarz wyda biografię George'a zawierającą długi rozdział poświęcony przedwczesnej śmierci jego ukochanej małżonki. Brzmiało to cudownie, lecz po jakimś czasie przyszło jej

do głowy, że biograf mógłby zacząć grzebać w przeszłości i odkryć ciemniejsze strony jej życia: inną wersję smutnej, żalostnej Johanny.

– Nie powinna wychodzić tak późno wieczorem – powiedział sprzedawca. – To niebezpieczne. Nawet w naszym mieście, gdzie wszyscy się znają. To wstyd, ale nawet w Gentry nie możemy się czuć pewnie. Moja córka zawsze powtarza, że to niesprawiedliwe, by kobiety musiały się pilnować po zmroku. Odpowiadam: „Owszem, niesprawiedliwe, lecz tak funkcjonuje świat”. Pani córka też tak uważa?

Pani March zorientowała się po chwili, że pyta o rzekomą Susan.

– Susan zawsze była domatorką – odparła. – Świetnie się uczy. Niedawno dostała się na Harvard. – Zawsze chciała imponować, coś ją do tego zmuszało.

– Harvard?! Fantastycznie! Ma pani zdolne dziecko!

– Tak uważamy – odpowiedziała pani March, zapominając o skromności.

– Macie wielkie, ogromne szczęście.

– Jest w tym odrobina szczęścia, oczywiście. Mimo to wcale nie jesteśmy pewni, czy wychowanie ma coś wspólnego z jej sukcesami... – odparła, by sprzedawca nie uznał jej za samochwałę.

– Jasne, jasne. To trudne sprawy. Nie rozumieliśmy naszej córki już w niemowlęctwie, nie wiedzieliśmy, w kogo się wrodziła. Dzika dziewczyna, naprawdę. Po odnalezieniu Sylvii trochę się uspokoiła, ale...

– Kim byli myśliwi, którzy ją znaleźli? Zna ich pan?

– Nie, przyjechali na polowanie. Przeżyli cholernie dziwną przygodę: najpierw strzelali do ptaków, a później zobaczyli martwą dziewczynę.

– Okropne – powiedziała pani March. – Zastanawiam się, kto mógłby zrobić coś takiego...

– Jest mnóstwo świrów i maniaków polujących na kobiety. Co pani zamierza?

– Sylvia mogła znać napastnika, widywać się z nim wcześniej?

– Nie. Mieszkańcy Gentry zauważyliby, że z kimś się spotyka. I to natychmiast. – Pstryknął palcami. – To niewielkie miasteczko. Bardzo niewielkie. Musiał to być ktoś przyjezdny.

– Hm.

– Jej grób jest niedaleko, gdyby chciała go pani odwiedzić. Spoczywa na cmentarzu miejskim w Gentry.

– Tak, chyba tam pójde. Sklep, w którym pracowała, też jest w pobliżu? Chciałabym tam kupić prezent dla córki na znak solidarności. Musiał to być straszny cios dla ludzi, którzy z nią pracowali.

– Tak, zwłaszcza dla Amy, bardzo się przyjaźniły. Amy Bryant – dodał, gdy pani March zmarszczyła brwi. – To córka moich przyjaciół. Sylvia i Amy były nierozłączne, nie rozstawały się. Codziennie rano widziałem je mijające sklep, gdy szły do pracy – rzekł, wskazując kciukiem okno obok lady. – Podobno zastanawiały się, czy nie zamieszkać razem. Sylvia mieszkała z babką. Dziewczyna w jej wieku potrzebuje niezależności.

– Wiem. Chyba odwiedzę sklep, porozmawiam z biedną Amy – odparła pani March.

– Och, Amy już tam nie pracuje – powiedział sprzedawca. – Siedzi w domu i nic nie robi. Wpadła w depresję po tym strasznym wydarzeniu.

– Okropne, naprawdę. Bardzo smutne.

– Ostatnio przeżyliśmy kilka naprawdę trudnych miesięcy, może mi pani wierzyć.

– Amy mieszka w pobliżu?

– Tak, ale niestety nie mogę podać pani jej adresu.

– Och, nie prosiłam o...

– Gentry to niewielkie miasto, chronimy prywatność sąsiadów.

Pani March była urażona przypuszczeniem, że chce wyciągnąć od sprzedawcy adres Amy Bryant, choć w istocie zamierzała to zrobić. Chciała powiedzieć, że miasto tak dbające o sąsiadów pozwoliło na dokonanie straszliwego morderstwa. Powstrzymała się jednak i spytała krótko:

– Ale może mi pan wskazać drogę do sklepu, prawda?

* * *

Natychmiast poznała liliowy fronton, który widziała w telewizji. Nad drzwiami wisiał szyld „Magiczna Skrzynia”, napisany staroświeckimi złotymi literami. Dziwnie kontrastował z nowoczesnymi przedmiotami ułożonymi na wystawie. Wiele z nich udawało antyki, lecz prawdopodobnie były wulgarnymi podróbkami importowanymi z Chin. Pani March zauważyła, że wystawa zupełnie się nie zmieniła od chwili, gdy pokazano ją w telewizji – choć usunięto ozdobną świąteczną lametę.

„Mieszkańcy niewielkiej miejscowości Gentry są pogrążeni w smutku, bo stracili nadzieję, że znowu zobaczą Sylwię żywą” – półgłosem zacytowała słowa dziennikarza i otworzyła liliowe drzwi.

Sklep był ciemny i ciasny. Na regałach stały bibeloty, wypchane zwierzęta, mydła domowej roboty i porcelana pomalowana w kwiatki.

Pani March szła cicho, przeciskając się między regałami, omijając meble, tłumiąc kaszel wywołany kurzem. Zatrzymała się obok skrzyni z inicjałami G.M.M. i datą – 1798. Wyglądała jak skrzynia na wyprawę panny młodej. Drewno, pomalowane na niebiesko, było popękane. Farba spłowiała, lecz widziała ślady żółto-zielonego bukietu namalowanego na jednym z boków. Na skrzyni leżały dwie pięknie oprawione w skórę księgi związane sznurkiem. Zauważyła ekspedientkę kręcącą się nerwowo w pobliżu, wzięła książki i spytała o ich cenę. Dziewczyna – przysadzista, z perkatym nosem i rzadkimi włosami o barwie piersi rudzika – oblała się rumieńcem.

– Och, nie są na sprzedaż – odpowiedziała. – Wypożyczyliśmy je z księgarni na tej samej ulicy, to tylko dekoracja...

– Tak przypuszczałam – odparła pani March. Czowała, że jej szyja staje się gorąca pod chustką.

– Mogłabym pani w czymś pomóc? – spytała ekspedientka.

– Tak. Szukam pani koleżanki, Amy Bryant. Zdaje się, że tu pracuje?

– Amy? Och, dziś jej nie ma.

– Rozumiem. Muszę z nią porozmawiać – odparła pani March. Mówiła spokojnym, zdecydowanym tonem, jak osoba o wielkim autorytecie. – To ważna sprawa. Wie pani, gdzie mieszka?

– No cóż... chciałabym pani pomóc, ale chyba nie mogę...

– Jestem dziennikarką „New York Timesa”. Piszę artykuł o Sylvii i wywiad z Amy Bryant ma ogromne znaczenie, bo były bliskimi przyjaciółkami, prawda?

– Ach, wow, rozumiem... – Dziewczyna westchnęła i na jej tępej, piegowanej twarzy pojawił się wyraz bezgranicznego zachwytu. –

Amy mieszka u babki Sylvii, razem lepiej się czują po tej tragedii. Musiałaby pani tam pójść.

– Do domu Sylvii? – Pani March przełknęła ślinę. Poczowała zawrót głowy na myśl, że mogłaby wejść do domu, w którym Sylvia spała, jadła, oddychała...

– Tak. Chciałaby pani tam iść? – spytała dziewczyna, zaniepokojona, że pani March straciła zainteresowanie. – Mogę zapisać adres.

Pani March miała ochotę zrezygnować, ale pokusa obejrzenia domu Sylvii była zbyt silna. Stłumiła resztkę oporów moralnych i powiedziała:

– Tak, bardzo dziękuję. – Świetnie naśladowała kosmopolityczny akcent matki.

Ruszyła w stronę domu, ściskając kartkę z adresem nabazgranym koślawym charakterem pisma nastolatki. Kręciło jej się w głowie i zastanawiała się, co zastanie w domu. Zadawała sobie pytanie, czy nie jest przesadnie podejrzliwa. A może – pamiętając o Johannie – za mało podejrzliwa?

XXXIV

Pani March zastukała do drzwi domu Sylvii – brzydkiego beżowego budynku w pobliżu głównej ulicy, w ślepym zaułku, nad którym wznosiła się jasnoblękitna wieża miejscowego kościoła.

Zdjęła z głowy chustkę i wcisnęła ją do torebki, podejrzewając, że reporterka „New York Timesa” nie nosiłaby chustki w trakcie pracy. Drzwi otworzyła Amy Bryant. Pani March uznała to za trochę dziwne, że obca osoba odpowiada na pukanie do drzwi, ale przypuszczała, że babka Sylvii jest zbyt wstrząśnięta tragedią, by zebrać siły i otworzyć drzwi samodzielnie.

Amy Bryant miała ostry nos, małe usta, cofnięty podbródek i oczy przypominające paciorki. Nie ulegało wątpliwości, że Sylvia zaprzyjaźniła się z nią z powodu jej brzydoty. Pani March doszła do wniosku, że chociaż Amy mogła być inteligentniejsza od Sylvii, zawsze wydawała się błada w porównaniu z piękną przyjaciółką, wykorzystującą swoje naturalne walory.

– Dzień dobry! Jestem reporterką „New York Timesa”. Piszę artykuł o Sylvii Gabler i mam nadzieję, że mogłabym zadać pani kilka pytań. Zajmie to tylko kilka minut. Wiem, że to musi być dla pani trudne, ale moim obowiązkiem jest postawić zabójców przed obliczem sprawiedliwości. Sylvia by tego chciała. – Pani March grzebała w torebce, jakby gorączkowo szukała pióra, gdyż doszła do wniosku, że będzie to wyglądało autentycznie: powinna się

zachowywać jak zabiegana reporterka „Timesa” mająca mnóstwo zajęć.

Amy Bryant otworzyła szerzej drzwi.

– Tak, oczywiście. Proszę wejść.

Pani March poczuła dreszczyk emocji. Jak łatwo skłonić ludzi do rozmowy, przedstawiając się jako reporterka „New York Timesa”. Nikt nie prosi o legitymację prasową, nawet o wizytówkę; wszyscy mdleją z zachwytu na myśl, że mogliby zostać opisani w „Timesie”. Czy ona również otworzyłaby drzwi obcej kobiecie przedstawiającej się jako dziennikarka, jak zrobiła to Amy? Przypuszczała, że tak. Wyobraziła sobie, że siedzi naprzeciwko reporterki – samej siebie – w salonie w Nowym Jorku, częstując ją makaronikiem na talerzyku deserowym.

– Jeśli chce pani zachować coś dla siebie, proszę o tym nie wspominać – rzekła do Amy, przekroczywszy próg domu Sylvii Gibler. – Chcę zdobyć jak najwięcej informacji, by opisać tę historię całkowicie obiektywnie i zgodnie z prawdą.

– Rozumiem, proszę pani. Postaram się być obiektywna...

– Och, to moje zadanie, panno Bryant. Proszę nie zawracać sobie głowy obiektywizmem i po prostu powiedzieć, co pani pamięta. Przeżyła pani straszne chwile. – Spojrzała na Amy swoim najbardziej współczującym wzrokiem. Cofnięty podbródek dziewczyny zadrżał, a jej niewielkie oczy zwilgotniały. Słowa pani March sprawiły, że zaczęła litować się nad sobą.

Pani March obrzuciła krytycznym wzrokiem salon, do którego wprowadziła ją Amy. W całym domu panował bałagan, meble nie pasowały do siebie. Zasłony były poplamione, podłogi zakurzone,

serwetki pożątkle, a w powietrzu unosiła się woń stęchlizny. Pani March miała ochotę poprosić o otwarcie okna.

– Proszę usiąść – powiedziała Amy, wskazując obszarpaną kanapę z plastikowym obiciem. Pani March szybko ją obejrzała i ukradkiem próbowała strzepnąć okruszki oraz białe zwierzęce włosy.

Amy zajęła miejsce na pobliskim fotelu i ryknęła tak głośno, że obudziłaby umarłych:

– Usiądź z nami, babuś! – Z ciemnego kąta salonu bezszelestnie wyszła stara, uśmiechnięta kobieta. – To pani dziennikarka – znowu krzyknęła Amy. – Przyjechała aż z Nowego Jorku. Chce porozmawiać o Sylvii.

Pani March wyjęła z torebki notes i długopis. Nacisnęła kilka razy guzik, patrząc na wysuwający się i chowający wkład. Babuś w dalszym ciągu się uśmiechała.

– Rodzice Sylvii zmarli w dzieciństwie i od tamtej pory mieszkała z babcią – wyjaśniła Amy. – Babuś pochodzi z Polski. Przeprowadziła się do Stanów po wyjściu za mąż.

– Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia – powiedziała pani March. Uśmiech staruszki zbladł. Zmarszczyła brwi i przechyliła głowę, kierując w stronę pani March lewe ucho, którym prawdopodobnie słyszała lepiej.

– Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia! – powtórzyła pani March, tym razem głośniej.

Babuś wyprostowała przygarbione plecy na tyle, na ile mogła, po czym skinęła dłonią, jakby chciała podziękować pani March za kondolencje. Pani March usiłowała się uśmiechać.

– Sylvia była dobrą dziewczyną – zaczęła staruszka. Mieszkała prawie przez całe życie w Stanach Zjednoczonych, lecz w dalszym

ciągu mówiła z wyraźnym polskim akcentem. – W życiu... zdarza się wiele nieszczęść.

– Tak – odpowiedziała pani March, bazgrząc w notatniku. Miała nadzieję, że wygląda, jakby stenografowała.

– Takie jest życie. Skomplikowane, ale trzeba iść naprzód.

– Jest pani bardzo dzielna – rzekła pani March. Staruszka przymknęła oczy, zacisnęła wąskie wargi i pokręciła głową, jakby się nie zgadzała. Pani March zastanawiała się, czy dobrze ją zrozumiała.

– Chciałaby pani się czegoś napić? – spytała Amy. – Może kawy?

– Tak, przyniosę kawę! – zawołała babuś i zaskakująco zwinnie ruszyła w stronę kuchni.

Pani March uśmiechała się blado do dziewczyny, gdy czekały na powrót staruszki.

– Babuś znaczy po polsku babcia – wyjaśniła Amy, przerywając milczenie.

– Ach, rozumiem.

W ich stronę potoczył się niewielki fioletoworóżowy kłębek kurzu i zatrzymał się przy nodze fotela.

– Źle słyszy prawym uchem. Bardzo ją to denerwuje.

Babuś wróciła, niosąc wyszczerbione, poplamione kubki z kawą i sernik. Oświadczyła, że „własnoręcznie go zrobiła”. Była z tego bardzo dumna. Pani March jęknęła w duchu, gdy zdała sobie sprawę, że nie wyjdzie z domu, nie spróbawszy domowego sernika. Babuś ukroiła ogromny kawałek i podała pani March popękany różowy talerzyk, aż wreszcie pani March go wzięła wraz z poczerniałą łyżeczką deserową, a później z szerokim uśmiechem ugryzła kleiste ciasto. Było ciepłe, przechowywane w temperaturze pokojowej, i smakowało ohydnie. Pani March usiłowała sobie nie wyobrazić, jak

staruszka dotyka sera i surowych jajek spierzchniętymi rękami pokrytymi plamami wątrobowymi. Ze stoickim spokojem jadła sernik.

– Zainteresował się nami cały kraj, ale minęły już dwa miesiące od znalezienia Sylvii – powiedziała Amy. – To znaczy jej ciała – dodała niezręcznie. – Wygląda na to, że wszyscy przestali się tym interesować i ciągle nie wiadomo, kto ją zabił. Myśli pani, że artykuł wzbudzi zainteresowanie, na którym nam zależy?

Pani March skinęła głową. Mlaskała, oddychając przez usta: sernik przylepił jej się do podniebienia. Babka znowu wycofała się do kuchni. Straciła zainteresowanie rozmową albo jej nie słyszała, a może jedno i drugie? Pani March poczuła ulgę: staruszka działała na nią deprymująco i pod jej nieobecność nie musiała nakładać na talerz nowych porcji sernika.

– Nie wytypowano żadnych podejrzanych? – spytała z kawałkiem ciasta na języku. Musiała je połknąć. Nie dało się tego uniknąć. Tymczasem Amy tłumaczyła, że początkowo, jak zwykle w takich sprawach, głównym podejrzany był chłopak Sylvii, jednak został oczyszczony z podejrzeń, kiedy wielu świadków zapewniło mu alibi: w nocy, gdy zniknęła Sylvia, przebywał poza Gentry, ponieważ wyjechał na kilka dni.

– Wszyscy uważają, że to ktoś obcy – powiedziała Amy. – Człowiek spoza Gentry.

Pani March wreszcie połknęła sernik.

– Mmm, rozumiem. Czy przy zwłokach znaleziono coś, co mogłoby sugerować, że to osoba spoza Gentry?

– Ślady przemocy i gwałtu – odparła Amy. – Nikt z miejscowych nie byłby do tego zdolny. Dobrze się znamy.

– Cóż, nie znamy do końca nawet najbliższych przyjaciół – zauważyła pani March. Amy Bryant zmrużyła oczy, a pani March ciągnęła: – Więc Sylvia nie знаła żadnego podejrzanego mężczyzny? Zdolnego do przemocy? Może spotkała go przed zaginięciem? Kogoś spoza miasta?

Amy pokręciła głową.

– Myślałam o ludziach, których poznałyśmy w poprzednich tygodniach. Nikt nie pasuje – westchnęła i wbiła wzrok na podłogę. – Sylvia i ja czasem wychodziłyśmy razem wieczorami. Był to zawsze mój pomysł. Nawiązywałyśmy znajomości z mężczyznami, ale nie wyobrażam sobie, że któryś z nich mógłby zrobić coś takiego...

Od Amy Bryant emanowało poczucie winy. Jej niezbyt subtelna próba uzyskania rozgrzeszenia sprawiła, że pani March poczuła się dumna ze swoich umiejętności prowadzenia wywiadów. Zaczęła wierzyć, że naprawdę może napisać artykuł.

– Spotykałyśmy wielu mężczyzn, ale do niczego nie dochodziło – ciągnęła drżącym głosem Amy. – Były to niewinne flirty, proszę mi wierzyć.

Pani March spojrzała ze współczuciem na dziewczynę i kiwnęła głową. Napisała w notesie słowo „dziwka”, a później przypomniała sobie o dziennikarskim obiektywizmie i dodała na końcu znak zapytania.

– Bardzo trudno wyrobić sobie zdanie na temat tej sprawy – powiedziała. – Zrekonstruować prawdziwy obraz Sylvii.

Zapadła chwila milczenia. W końcu Amy powiedziała lęklonie:

– Może pani zobaczyć jej pokój, jeśli ma pani ochotę.

Pani March z początku udawała wahanie, lecz wyraziła zgodę i poprosiła Amy, by jej towarzyszyła. Wydawało się, że prawdziwa

dziennikarka właśnie tak by postąpiła ze względu na zasady etyki zawodowej (choć w rzeczywistości chodziło o to, by Amy ujawniła więcej informacji o nieżyjącej przyjaciółce).

Wspięły się po wytartych schodach, oglądając oprawione fotografie Sylvii w różnym wieku wiszące na ścianie. Były to głównie zdjęcia z kronik szkolnych. Znajdowała się wśród nich fotografia opublikowana przez prasę, znaleziona przez panią March w notesie George'a. Wyobrażała sobie, jak wspinał się tymi samymi schodami w środku nocy na schadzkę z kochanką, a zmechacony ołowianoszary chodnik tłumił odgłos jego kroków. Czy opierał dłoń na chropawej poręczy, jak w tej chwili pani March?

Sypialnia Sylvii nie odznaczała się niczym szczególnym, jednak pani March poczuła się jak w świątyni. Do pokoju wpadało przez okno eteryczne światło, nad toaletką z cedru wirowały drobinki kurzu.

Znalazłszy się w sanktuarium Sylvii, starała się na nie patrzeć chłodnym wzrokiem archeologa. Zobaczyła łóżko przykryte skromną niebieską narzutą, poszarzałe zasłony z falbankami, brzoskwiniową szminkę i w połowie opróżnioną buteleczkę perfum – zapisała w notesie ich nazwę, by później je kupić.

Ściana obok drzwi była pokryta wycinkami prasowymi z krzyczącymi nagłówkami informującymi o zaginięciu Sylvii. Amy wyjaśniła, że babka wycinała je i przypinała do ściany w czasie makabrycznych tygodni przed odkryciem zwłok, gdy ciągle miały nadzieję, że Sylvia się odnajdzie. Pod ścianą z wycinkami stało sosnowe dziecięce biurko; leżały na nim książeczki do kolorowania, karteczki samoprzylepne w kształcie gwiazdek, długopisy ozdobione piórkami i pojemniki brokatu.

– Sylvia nie prowadziła pamiętnika? – spytała pani March. Poczowała przyływ ekscytacji i oblała się potem. Gdyby zdobyła dziennik zamordowanej dziewczyny, byłby to niewiarygodny sukces.

– Nawet jeśli prowadziła, nikt go nie znalazł – odpowiedziała rzeczowo Amy. Splotła ramiona na piersi i spoglądała na sypialnię jak kustosz muzeum. Zerknęła na niewielką, schludnie złożoną chusteczkę leżącą na rogu biurka, powoli ją podniosła i przyjrzała jej się, zastanawiając się, co z nią zrobić.

– Proszę spojrzeć, to jej chusteczka – powiedziała w końcu. – Miała ją zawsze przy sobie. Jednak nie zabrała jej w dniu... w dniu, kiedy zniknęła.

Pani March wzięła białą chusteczkę. Miała koronkową bordiurę i wyhaftowane inicjały Sylvii.

– Policja szukała odcisków palców na ubraniu, które nosiła tamtego dnia? – spytała.

– Tak, zbadano wszystko, ale niczego nie znaleziono... Chyba leżała za długo na dworze.

Amy znowu splotła ręce na piersi i odwróciła się w stronę okna, a pani March wykorzystała chwilę jej nieuwagi i wsunęła chusteczkę do kieszeni. Leniwie patrzyła na stosy kolorowych płyt i różowy plastikowy telefon z okrągłą tarczą, aż nagle zatrzymała się jak wryta przed półką z książkami – stał tam rząd powieści George'a. Przez ułamek sekundy widziała przed oczami mgłę, później wzrok jej się wyostrzył – nazwisko „George March” na grzbietach było boleśnie wyraźne. Otarła kropelki potu na górnej wardze. Prawie śliniąc się z podniecenia, zdjęła z półki jedną z książek i otworzyła ją. Zauważyła autograf. Był autentyczny. Zawsze poznałaby leniwy podpis George'a. Przełknęła ślinę. Zaschło jej w ustach. Dotknęła

palcem podpisu, niemal spodziewając się, że zacznie pulsować, uwypukli się jak zakazona żyła. Musnęła atrament opuszką krótkiego palca. Wyobraziła sobie, jak się poznali na wieczorze autorskim. Sylvia stała w kolejce po autograf, a George umilkł w połowie zdania w trakcie rozmowy z innym fanem i spojrzał na nią zza okularów. Rozmawiali, śmiali się i flirtowali, a pozostali uczestnicy wieczoru czuli się zlekceważeni. Czy Sylvia celowo zgubiła apaszkę, by podsycić jego narastające zauroczenie, on zaś skrycie ją wachał i dopiero niedawno pozbył się dowodu, że się znali? Czy rzeczywiście tak było? A jeśli w mieszkaniu pani March jest gdzieś apaszka ofiary morderstwa? Gdzie George mógł ją ukryć? Wepchnął ją za książki w gabinecie. Albo – w przyпыłwie szaleńczej pychy – zostawił na widoku na biurku. Może natrafiła na nią Martha i wzięła ją za jedną z apaszek pani March, po czym włożyła ją do jednej z szuflad w garderobie, gdzie apaszka leży teraz obok jej własnych ubrań?

Kiedy Amy odwróciła się od okna, pani March w dalszym ciągu trzymała w ręku książkę.

– O tak, powieści George’a Marcha – powiedziała dziewczyna. – Była jego wielką fanką. Miała stary egzemplarz należący do jej ojca. Uwielbiała tę książkę. Czytała ją chyba ze sto razy. – Umilkła i dodała: – Była bardzo odczytana. – Zastanawiała się przez chwilę nad swoimi słowami, może musząc odzyskać równowagę po komplementach, którym obdarzyła koleżankę. – Kiedy stał się naprawdę sławny, dowiedziała się, że ma w Gentry domek letniskowy. Wielu ludzi widziało go w mieście...

– Dom letniskowy należy do jego wydawcy – wtrąciła pani March, pewna, że ważna dziennikarka z Nowego Jorku powinna znać takie szczegóły.

– Tak, no cóż, zeszłego lata czekała w restauracjach i innych miejscach, mając nadzieję, że go spotka.

– I spotkała? – spytała pani March, wstrzymując oddech.

Amy pokręciła głową.

– Nie. Nigdy jej się nie udało.

Pani March głęboko odetchnęła.

– Ale w tej książce jest autograf. – Pokazała Amy stronicę z dedykacją.

– Tak, musiała należeć do jej ojca. Sylvia nigdy nie spotkała George’a Marcha. Proszę mi wierzyć, natychmiast by mi o tym powiedziała. Miała obsesję na punkcie jego książek.

Amy wyjaśniła, że powieści George’a jej nie interesują, uważa je za książki dla „starych ludzi, którzy nie mają nic do roboty”, ale pani March przestała słuchać. Przejrzała książkę, szukając jakiegoś śladu – ręcznie napisanego liściku albo sekretnego szyfru złożonego z przypadkowo zaznaczonych liter – lecz znalazła tylko zasuszony, spłowiały kwiat, który rozpadł się pod palcami. Popatrzyła na zdjęcie autora na tylnym skrzydełku okładki. Była to stara fotografia portretowa George’a, co wskazywało, że książkę wydano przed urodzeniem Sylvii. Wkrótce potem agenci przekonali go, by zrobił nowe zdjęcie, ponieważ czytelnicy mówili, że „wydaje się spięty”. Był to eufemizm. Przygarbione plecy, uniesione brwi i zmrużone oczy spoglądające znad okularów tworzyły dość złowrogi obraz męża pani March, który zwykle nie wydawał się tak groźny. Pani March patrzyła w oczy męża, wyrazistsze na czarno-białej fotografii, i zastanawiała się, czy to w nie patrzyła Sylvia przed śmiercią.

Amy pokazała kilka rysunków przyjaciółki. Dziewczęce obrazki przedstawiające kucyki i kwiaty, a także kiepski portret babki. Pani

March powiedziała, że rysunki bardzo jej się podobają, i udawała, że dokładnie opisuje je w notesie.

Zamierzała zaproponować obejrzenie innych pokoi – miała nadzieję, że odkryje coś pikantnego w apteczce w łazience – ale Amy oświadczyła:

– Myślę, że ma pani wszystkie potrzebne informacje.

Na parterze pani March podziękowała babce i Amy, że poświęciły jej dużo cennego czasu. Obiecała podjąć starania, by artykuł opublikowano, lecz dodała, że nigdy nie jest to pewne, bo wydawcy są kapryśni i ulegają chwilowym modom. Otworzyła drzwi frontowe, ale Amy ich nie przytrzymała.

– Czy mogłabym dostać chusteczkę? – spytała.

Pani March zatrzymała się w progu.

– Och, zostawiłam ją na górze – odparła.

– Nie, jest w pani kieszeni.

Zapadła cisza. Pani March popatrzyła na Amy, na jej surową, beznamiętną minę kojarzącą się z portretami George’a Washingtona. Wyjęła chusteczkę i usłyszała własne słowa:

– To zabawne. Pomyliłam ją z własną chusteczką, którą musiałam zostawić na górze. Jestem taka roztargniona...

– Przepraszam, jak ma pani na imię?

Pani March wyprostowała się i odetchnęła.

– Johanna – odparła, założyła okulary i wyszła.

* * *

Pierwszy dzień w Gentry okazał się tak owocny, że wcale się nie zdziwiła, gdy drugiego nie zrobiła prawie żadnych postępów. Kupiła kilka kanapek zawiniętych w plastikową folię i paczek słonych

krakersów, które mogła gryźć w chwilach głodu, by nie korzystać z kuchni Edgara. Zjadła je żarłocznie i wytarła okruchy zwilżonym palcem.

W dalszym ciągu grzebała w szafkach i szufladach, szukając śladów zbrodni. Spacerowała i drzemała. Uwięziła pająka we wnętrzu kieliszka i zachichotała na myśl, co pomyśli o tym Edgar.

Trzeciego dnia odkryła długie, wąskie drewniane pudło ukryte pod stosem koców w szafie w głównej sypialni. Było zamknięte na masywną kłódkę. Czując przyływ podniecenia, znalazła młotek w skrzynce z narzędziami w garażu i zdołała rozbić kłódkę. Była rozczarowana. Nie znalazła sekretnej korespondencji Sylvii i George'a, pamiętnika Sylvii ani jej uciętych palców – w pudle znajdowały się karabiny myśliwskie Edgara. Natychmiast kupiła identyczną kłódkę w sklepie wielobranżowym, mówiąc ekspedientce, że jej córka potrzebuje jej do roweru na Harvardzie.

Wracając ze sklepu, zobaczyła na polanie łanię pożerającą martwego królika. Chrzęst chrupanych kości martwego zwierzęcia był identyczny jak chrzęst śniegu pod podeszwami wysokich butów, które pożyczyła z domku letniskowego. Padał śnieg, osiadając na grzbiecie łani. Przyłożyła dłoń do skroni i ruszyła naprzód. Łania nie zwróciła na nią uwagi i jadła dalej.

* * *

Czwartego dnia pani March odwiedziła grób Sylvii. Zauważyła go łatwo, bo ludzie zostawiali na nagrobku kwiaty, zabawki i listy, teraz zniszczone przez deszcz i śnieg. Na pysku pluszowego misia wisiało na nitce wydłubane oko. Pani March próbowała naszkicować grób w notesie.

Wieczorem zadzwoniła do George'a i powiedziała, że wróci nazajutrz po południu.

- W porządku – odparł. – Jak poszło? Jak się czuje twoja matka?
- Nie tak dobrze, jak miałam nadzieję.
- Przykro mi, kochanie.
- Trzeba po prostu wytrzymać. Zobaczymy się jutro.
- Będę w domu.

* * *

Ostatniego wieczoru w Gentry włożyła notes do torebki i odwiedziła miejscowy pub. Był to tani lokal z drewnianymi boksami, brudną podłogą i kilkoma torami kręglarskimi pod ścianą. Wzdłuż baru stały stołki pokryte podartym winylem. Sukno na stole bilardowym miało wypalone dziurki. Kiedy weszła do środka, otoczyło ją lepkie powietrze, przesiąknięte zapachem dymu, piwa i ludzkich ciał.

Usiadła samotnie w jednym z boksów, nie zdejmując okularów przeciwsłonecznych i chustki. Popijała kwaśne czerwone wino nalane przez barmana z dwulitrowej butli.

- Widział pan w mieście sławnego pisarza George'a Marcha? – spytała, kiedy zakręcał butlę. – Wpadał tu na drinka?

- Nie czytam książek – odparł. Zabrzmiało to zniechęcająco. Kiedy później spytała o Sylwię, zakładając, że odwiedzała pub z Amy, gdy polowały na mężczyzn, w ogóle nie odpowiedział. Spojrzał obok pani March i rzekł:

- Dlaczego nie spyta pani jej chłopaka? Jest tutaj.

Obróciła głowę i zobaczyła młodego mężczyznę pijącego samotnie przy stoliku z tyłu.

Nie podeszła do niego, ale przesiadła się na miejsce naprzeciwko niego. Przyglądała mu się przez chwilę, sącząc wino przez słomkę, by nie dotykać ustami kieliszka ze śladami palców. Chłopak Sylvii, spocony i blady, z podbródkiem pokrytym trądzikiem, pił piwo po piwie, mruczając coś pod nosem, aż w końcu wstał i ruszył, opierając się na stolikach, w stronę wąskiego przejścia koło baru. Stał i zaczął lekko się kołysać do przodu i do tyłu. Odchylił głowę z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Na początku pani March myślała, że ma atak padaczki, aż wreszcie zrozumiała, że to rodzaj tańca. Wstała i podeszła do niego, czując w ustach cierpki smak kwaśnego wina. Uścisnęła chłopaka, ciągle ubrana w okulary przeciwsłoneczne i chustkę. Wydawało się, że jej nie zauważa, nie odwzajemnił uścisku. Ramiona miał opuszczone, nie odpychał pani March. Kołysali się razem jak para dzieci, czuła ciepło jego ciała. Pachniał piwem, a także zmiękcaczem do tkanin i płatkami zbożowymi na mleku – wydawało się, że matka dba o jego odzież i zdrowo go odżywia. Wyobraziła sobie tulącą go Sylwię, która wdychała jego zapach i słyszała bicie serca pod swetrem.

Kołysali się łagodnie z boku na bok w rytm muzyki, aż lokal opustoszał i barman oznajmił, że goście mogą złożyć ostatnie zamówienie.

* * *

Kiedy taksówka podjechała pod kamienicę Marchów, zapadł już zmrok. Spod zielonej markizy wybiegł nocny portier i powitał panią March, ona zaś zerknęła na znajomą fasadę. Dom. Wysoki i majestatyczny w mdłym zimowym świetle, z zasłoniętymi oknami przypominającymi zamknięte oczy.

Zbliżając się do apartamentu numer sześćset sześć, nie zauważyła niczego niezwykłego na korytarzu pokrytym dywanem. Kiedy otwierała drzwi, na kółku zadźwięczały mosiężne klucze. Weszła do mieszkania i zamknęła zasuwę. W apartamencie panowała kompletna ciemność, a jednak czuła, że mieszkanie na nią czeka, ślini się z podniecenia, czujne, nieruchome jak martwa ostryga. Dotknęła ściany, szukając kontaktu, i nagle w ciemności rozległ się głośny wydech – odgłos przypominający przeciągły jęk. Chciała znowu otworzyć drzwi frontowe, by oświetlić hol lampami z korytarza, lecz nie mogła się poruszyć. Oddech w dalszym ciągu się rozlegał, nieco głośniejszy, po czym zmienił się w syk. Usłyszała szum wody spuszczonej w toalecie za ścianą, odprężyła się nieco i rozluźniła barki – były to po prostu dźwięki starych rur. Znalazła kontakt na ścianie i szybko go nacisnęła, na wypadek gdyby się pomyliła i w apartamencie ukrywał się intruz. Widziała pusty hol, który patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Gdzie jest George? Gdzie jest Jonathan?

Zagłędała do pustych, nieoświetlonych pokoi i wołała ich imiona w ciemności, spodziewając się, że nagle z nich wyskoczą, by ją nastraszyć.

Przyszła jej do głowy przerażająca myśl, że George postanowił ją szantażować i wziął Jonathana jako zakładnika. Otwierała drzwi szaf, gdy usłyszała klucz przekręcany w zamku i za jej plecami uchylły się drzwi frontowe. Poczowała lekki przeciąg i rozległy się wesole głosy.

– Kochanie! Jesteś w domu! – zawołał George. Pani March pobiegła w stronę syna, ocierając łzę palcem w jasnozielonej rękawiczce o barwie listków mięty.

Uklęła i objęła chude ciało Jonathana. Przycisnęła go do piersi, a później wbiła wzrok w George'a. Wyraz jej oczu i leciutki, chłodny uśmiech mówiły, że wszystko wie. Czy to tylko wyobraźnia, czy na jego twarzy coś się pojawiło: strach albo poczucie winy?

XXXV

Po podróży do Maine, wróciwszy z niczym z wyjątkiem bólu zęba, pani March nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście posunęła się do takich absurdów – kłamała, wsiadła do samolotu, podstępnie skłoniła zrozpaczoną rodzinę, by udzieliła jej lipnego wywiadu, udawała, że tańczy z chłopakiem, który był głównym podejrzanym w sprawie morderstwa. To na pewno tylko sen.

Była coraz bardziej pewna, że George jest winny. Utwierdzały ją w tym ukryte znaczenia jego słów i czynów. Przypadkowa aluzja do najnowszej powieści wydawała się szyderstwem. Kiedy po wzmiance o Sylvii zamknął się w gabinecie, był to oczywisty dowód współuczestnictwa w zbrodni.

Doszła do wniosku, że w którymś momencie popełni błąd, zdradzi się. List do Sylvii w dalszym ciągu znajdował się w zapieczętowanej kopercie leżącej w jednej z szuflad biurka. Ofiar na pewno było więcej. Człowiek popełniający takie morderstwa działa pod przymusem – dobrze to rozumiała. Powinna uważnie go obserwować, zachować cierpliwość. Prowadzić śledztwo jak zawodowa policjantka. Później, gdy nadejdzie właściwy moment, spełni swój obowiązek i odda go w ręce władz. George zostanie aresztowany, a media przedstawią ją jako wspaniałą, niewinną żonę – na początku naiwną, lecz później na tyle inteligentną (co za zimna krew!, co za odwaga!), by samodzielnie postawić go przed obliczem sprawiedliwości. Wyobrażała już sobie mowę, którą wygłosi przed

błyskającymi fleszami aparatów fotograficznych, gdy przynajmniej raz to ona znajdzie się w centrum uwagi. Rozpocznie od słów: „Przede wszystkim pamiętajmy o ofiarach”, ubrana w okulary przeciwsłoneczne i chustkę, by okazać pokorę – zachowywała się wulgarnie i niewrażliwie, gdyby próbowała skupić na sobie większą uwagę niż ofiary. Mimo to media i opinia publiczna uznają ją za główną bohaterkę całej sprawy.

Z godnością złoży zeznania na procesie George’a, który trafi do więzienia. Udzieli kilku wywiadów, po czym przeżyje resztę swoich dni w zapomnieniu, robiąc na drutach szaliki dla wnucząt.

Przychodziła jej również do głowy zupełnie inna scena. Spokojnie zmusiła George’a do przyznania się do winy, a on błagał ją, by została jego współniczką, śledziła i wybierała ofiary. Była dumna, że prawie natychmiast usunęła te obrazy z wyobraźni. Rozważała możliwość, że George ucieknie, gdy pozna prawdę. Przelotne obrazy George’a jako uciekiniera: zgoli brodę, ufarbuje włosy na jasny kolor, będzie jadł tłuste cheeseburgery w obskurnych motelowych pokojach, szukał swoich fotografii w gazetach, aż wreszcie zagubi się w najbardziej mrocznych, najbrudniejszych zakamarkach świata przestępczego Ameryki i nikt nigdy o nim nie usłyszy, choć w dniu urodzin Jonathana będzie dzwonił z życzeniami (ale telefonu nie uda się namierzyć).

Często zastanawiała się nad aspektami moralnymi swoich decyzji, nad tym, że żyje pod jednym dachem z groźnym psychopata – i naraża syna na kontakt z nim – ale dochodziła do wniosku, że nie ma sensu opuszczać w tej chwili George’a, bo nikt nie uwierzy w jej oskarżenia bez przekonujących dowodów. Zwłaszcza obecnie, gdy jego status literacki jest ugruntowany na całym świecie.

W przeszłości pani March delectowała się rosnącą sławą męża: obcy ludzie podchodzili do nich w restauracjach, ściskali dłoń George'a i prosili o autograf na egzemplarzu książki. Teraz jednak, gdy zbliżał się ktoś nieznajomy – co zdarzało się rzadziej, bo niezbyt często wychodzili razem – ogarniał ją strach, że jeden z jego fanów w końcu zapyta o Johannę w jej obecności. A George zacznie chichotać, grać na zwłokę i wykręci się sianem. Tak jak wymigał się od kary po popełnieniu morderstwa.

* * *

Pewnego ranka wracała do domu z zakupami, niosąc papierową torebkę z chlebem z oliwkami i ssąc kawałek lodu, by złagodzić ból zęba. Zbliżało się przyjęcie urodzinowe George'a i zastanawiała się, jak sprawić, by wypadło okazalej niż uroczysta kolacja z okazji premiery powieści. Może wynająć kwartet smyczkowy i przygotować menu inspirowane kolacjami wydawanymi przez Jackie Kennedy dla polityków? Warto by również utrzyć nosa gościom, którzy poprzednim razem okazali jej lekceważenie.

Mimo zimna na drzewach pojawiły się pierwsze zielone pędy. Uniosła dłoń i ściągnęła futro pod szyję. Pozostawiła je rozpięte w przyływie optymizmu: poranek wydawał się pogodny, wiosenny. Niebo miało głęboką, intensywnie lazurową barwę: wreszcie straciło smutny, niezdrowy wygląd, przestało przypominać spłowiałą pościel praną zbyt wiele razy.

Zwolniła kroku, zbliżając się do jednego z domów. Znajdowała się w nim duża witryna z ciemnoczerwonymi zasłonami, zwykle zaciągniętymi. Wielokrotnie mijała to miejsce i często bawiła się myślą, że mogłaby wejść do środka. Na ceglanej fasadzie wisiał szyld

z ozdobnym złotym napisem „Wróżka”. Oczywiście pani March uważała przepowiednie za bzdurę. Kiedy w dzieciństwie wyznała, że w nocy prześladowuje ją duch (miała na myśli Kiki, choć nie wymieniła jej imienia), matka kazała jej zapomnieć o zabobonach, o których nie mówi się na lekcjach religii. Cmoknęła, ujęła panią March za ramiona, pochyliła się nad nią i rzekła:

– Duchy nie istnieją, rozumiesz? Nie wierz w takie głupie rzeczy, bo wszyscy będą się z ciebie śmiali.

Powiedziała to w taki sposób, jakby miała osobiste doświadczenia tego rodzaju. Pani March zastanawiała się, czy ktoś wyśmiewał matkę, czy to ona wyśmiewała inne dzieci (znacznie prawdopodobniejszy scenariusz, bo panią Kirby trudno było sobie wyobrazić jako przedmiot żartów).

Stała przed wejściem do salonu wróżki. Lekko westchnęła. Gdyby ktoś przepowiedział jej szczęśliwą przyszłość, byłoby to zabawne.

Przycisnęła do piersi pogniecioną torbę z chlebem i oliwą z oliwek poplamiała futro. Otworzyła przeszklone drzwi.

W środku było cicho i dziwnie jasno mimo grubych zasłon. Stała przez chwilę w milczeniu, patrząc na kryształową kulę na niewielkim okrągłym stoliku. Zamknęła oczy i przez kilka sekund doświadczała uczucia, którego od dawna nie przeżywała. Zapomniała nawet jego nazwy.

– Dzień dobry! – rozległ się ochrypły głos obok niej.

Odwróciła się i ujrzała niską kobietę z absurdalnie długimi, gęstymi, czarnymi włosami. Jej głowę otaczał gruby warkocz, po czym opadał na plecy i sięgał talii, kończąc się miotłą kosmyków o rozdwojonych końcówkach.

– Chcę, żeby mi pani powróżyła – powiedziała pani March, która doszła do wniosku, że do wróżki należy mówić w taki sam zwięzły, rozkazujący sposób jak do rzeźnika.

– Naturalnie – odparła kobieta z wyraźnym wschodnioeuropejskim akcentem. – Z ręki? A może z kart?

– Ach... z kart.

– Ma pani jakieś życzenia? Rider Waite?

Pani March nie zrozumiała pytania, więc odpowiedziała po prostu:

– Tak.

– Proszę za mną.

Wróżka zaprowadziła panią March do mniejszego, ciemniejszego pomieszczenia odgrodzonego dwiema kotarami. Ściany były pokryte pasowymi tapetami o barwie fuksji. Pani March nie patrzyła na ozdabiające je krzykliwe kwiaty z obawy, że dostanie migreny.

Wróżka zaciągnęła kotary i znalazły się w prawie zupełnej ciemności. Po chwili zapaliła kilka świec stojących w różnych miejscach. Nagła jasność sprawiła, że pani March przestała cokolwiek widzieć, jakby miała za chwilę zemdleć.

Kobieta wskazała dramatycznym gestem niewielki stolik przykryty zielonym suknem, podobny do stolika do pokera. Pani March położyła torebkę i chleb z oliwkami na pobliskim stołku, po czym zajęła miejsce na maleńkim drewnianym krześle z aksamitnym haftowanym siedzeniem. Nie zaskrzypiało pod jej ciężarem i poczuła ogromną ulgę.

Wróżka usiadła naprzeciwko na fotelu z obiciem w tureckie wzory. Miała zdeformowaną lewą dłoń: kilka palców było karłowatych, splatały się ze sobą jak korzenie drzewa. Prawa ręka,

z długimi, eleganckimi palcami, wyglądała normalnie. Potasowała talię obiema rękami i odchrząknęła. Popatrzyła na panią March i rzekła:

– Niedawno pani wyjeżdżała, prawda?

Pani March nie okazała podziwu ani zdumienia (amatorskie błędy). Poruszyła się lekko na krześle i odparła:

– Tak.

– Znalazła pani to, czego pani szukała.

– Spodziewałam się czegoś więcej – odpowiedziała pani March, starannie dobierając słowa.

– Czuje pani w głębi serca, że w czasie podróży znalazła pani to, co najważniejsze – zauważyła wróżka. Czy mrugnęła do pani March? Pani March przypomniała sobie książkę z autografem George’a na półce Sylvii. – Może pragnęła pani znaleźć coś innego, ale czasem trudno odkryć prawdę. – Kobieta umilkła na chwilę i dodała: – Można odkryć więcej i znajdzie to pani. Pani intuicje, podejrzenia są słuszne.

Po usłyszeniu tych słów pani March poczuła dziwne skurcze, jakby zjadła za dużo deseru Baked Alaska. Spojrzała na tapetę kojarzącą się z burdelem, a później na swoje dłonie, które zaczęły się pocić. Oddychała coraz głośniej.

Wróżka skończyła tasować talię i zaczęła kłaść na stoliku zakryte karty. Wzór na koszulkach przypominał roztrzaskane szkło. Pani March ścisnęła ręce i popatrzyła na leżący przed nią rząd dwudziestu dwóch Wielkich Arkanów talii tarota Ridera Waite’a.

Wróżka odetchnęła głęboko i zamknęła oczy. Trzymała ręce nad kartami, mruczając pod nosem (co wywoływało rosnące zażenowanie

pani March). Mruczała przez kilka nieprzyjemnych sekund, a następnie otworzyła oczy i powiedziała:

– Proszę wybrać kartę.

Pani March nie spodziewała się, że będzie aktywnie uczestniczyć w seansie. Pochyliła się i na chybił trafił dotknęła karty leżącej najbliżej. Wróżka podkasła rękawy kaftana i z ostentacyjną powagą odwróciła kartę. Przedstawiała ona siedzącego potwora: górna część ciała należała do człowieka, a dolna miała włochate nogi kozła. Po obu stronach stały nagie, zakute w łańcuchy istoty ludzkie z rogami i ogonami. Na karcie znajdował się lakoniczny napis: DIABEŁ.

– Cóż, chyba mam kłopoty – zauważyła pani March. Miała nadzieję, że jej słowa zabrzmiały żartobliwie. Kiedy wróżka milczała, pani March pochyliła się do przodu i szepnęła: – Co to znaczy?

– Jak pani widzi, karta jest odwrócona – odparła kobieta. –

Odwrócony diabeł może się pojawić, gdy bada pani najbardziej sekretne, najgłębsze zakamarki duszy albo ukrywa pani najmroczniejsze tajemnice. Nie ujawnia pani swojej prawdziwej natury, bo jest pani zażenowana, pełna wstydu, więc pani dusza zdeformowała się w mroku. – Pani March wyobraziła sobie swoją duszę jako włochatą, kaleką istotę przykutą do ściany ciemnej piwnicy i poczuła przyływ litości do samej siebie. – Uważa pani, że jest już za późno, by ktoś poznał pani prawdziwą duszę.

Zapadło ciężkie milczenie, prawie słyszalne wśród kolorowych ścian.

– Cóż, to niezbyt mądre – powiedziała pani March.

– Powiem pani, jak wszystko naprawić – ciągnęła niezrażona wróżka. – Zwykle nie korzystam z dwóch kart. Rzadko to robię.

Posługuję się tylko jedną. Potrzebuje pani rady, która wpłynie na pani życie. Czegoś wyjątkowego, prawda? Pomogę pani.

Odchrząknęła, znowu zamknęła oczy, przez jakiś czas mruczała pod nosem, po czym poprosiła panią March o wybranie następnej karty. Odwróciła ją i tym razem ukazała się PAPIEŻYCA. Ciemnowłosa kobieta o surowym wyrazie twarzy, w rogatej koronie, z dużym krzyżem na piersi, z dłońmi na kolanach. Za jej plecami wisiał haftowany gobelin przedstawiający zielone palmy i owoce granatu.

– Papieżyca to strażniczka podświadomości – powiedziała wróżka. – Pilnuje tajemnic, o których pani nie mówi, ukrywa je tutaj i tutaj. – Dotknęła jednocześnie piersi i skroni. – Pojawia się, gdy potrzebuje pani wiedzy z głębin podświadomości.

Pani March popatrzyła na dwie karty leżące na stoliku, jedną odwróconą, jedną w normalnej pozycji. Wyglądały komiksowo, jak rysunki dla dzieci.

– Nie wybrać trzeciej karty? – spytała.

– Papieżyca wskazuje sposób, jak wszystko naprawić – odparła wróżka, pukając w kartę zdeformowanym palcem. – Trzecia karta nie jest potrzebna. – Kiedy pani March nie odpowiedziała, kobieta westchnęła i dodała: – Grozi pani niebezpieczeństwo. Ono narasta, rozumie pani?

Pani March zaczęła rozumieć. Pochyliła się do przodu, nieświadomie uszczypnęła się w szyję.

– Jeśli nie będzie pani ostrożna, niebezpieczeństwo przybierze przerażające rozmiary – ciągnęła wróżka – Rozumie pani, co mam na myśli?

– Tak, o tak – odpowiedziała pani March, zapominając o naukach matki. – Co powinnam zrobić?

– Musi się pani zabezpieczyć. Proszę odseparować się od tego, co panią rani.

– Uważa pani, że mnie zrani?

Wróżka spojrzała na panią March ciemnobrązowymi oczami.

– Już jest pani zraniona. Ale... może nie jest jeszcze za późno. Niech pani nie pozwoli, by dalej panią raniono. To niebezpieczne. Może zostać przekroczona granica. – Uniosła płasko dłoń i machnęła nią do góry, co miało symbolizować przekroczenie granicy. – Rozumie pani? Niech pani nie pozwoli, by dalej panią raniono.

– Nie pozwolę – odpowiedziała pani March. – Nie pozwolę...

– Jeśli wyczuje pani niebezpieczeństwo, musi pani prosić o pomoc.

– Pomoc? – Pani March popatrzyła na swoje brzydkie, spierzchnięte dłonie i popękane paznokcie. Zastanawiała się, dlaczego nieustanne wcieranie francuskiego kremu nawilżającego nigdy nie poprawiło ich wyglądu. Nawet zdeformowane palce wróżki wydawały się ładniejsze niż jej własne.

– Jeśli pani poczuje, że niebezpieczeństwo przekracza granicę, musi pani prosić o pomoc – zakończyła wróżka, gdy spostrzegła, że klientka zaczyna myśleć o czymś innym.

* * *

Pani March spodziewała się, że wyjdzie z salonu podniesiona na duchu, i rzeczywiście czuła ulgę – wynikającą z niewzruszonego przekonania, że mąż jest winny, że słusznie go podejrzewała i, co najważniejsze, że wcale nie jest wariatką. Kiedy zamknęła za sobą

przeszkłone drzwi i nagle oślepiło ją słońce, czuła, że ma prawo mu nie ufać, wściekać się. Nie zastanawiała się nad tym, że wróżka mogła równie dobrze mówić o grożącym jej nowotworze – jej słowa były niezwykle ogólne. Nie kwestionowała ich również później, w apartamencie, gdy w sekrecie wyjęła z jednej z szuflad nóż rzeźnicki i schowała pod poduszką.

XXXVI

Śledzenie George'a było dość wyczerpujące. Przez kilka dni próbowała chodzić za nim krok w krok, po czym przyrzekła sobie, że nie będzie więcej obserwować go na ulicach, na Manhattanie – w księgarniach, gdzie podpisywał książki, w supermarketach, kiedy kupował nowy kardigan, a ona kryła się za regałami. Pewnego wieczoru stała w lodowatym chłodzie pod murem ceglanego budynku, czekając, aż George zakończy nieśpieszną kolację ze swoim prywatnym bankierem.

Uważnie obserwowała go w domu. Sztywniała, gdy wchodził do pokoju albo coś mówił; analizowała sposób, w jaki odzywał się do Jonathana i unikał Marthy. Kilkakrotnie przeszukała gabinet w celu znalezienia dowodów rzeczowych, a raz nawet podsłuchiwała rozmowę telefoniczną z Edgarem (była sfrustrowana, ponieważ mówili tylko o najnowszej umowie na zakup praw filmowych do książki).

Kiedy George wychodził z apartamentu, pani March przemieniała się w Sylwię. Kilka dni po powrocie z Maine poszła do sklepu na rogu 75th Street i Lexington Avenue, gdzie kupiła czarną aksamitną opaskę na włosy. Wyszukała w supermarkecie ulubione perfumy Sylvii – widziała je na toalecie w jej sypialni. Była wyprzedza i nie mogła się oprzeć, by nie skorzystać z okazji. Aby zakończyć przemianę, nabyła perukę w sklepie z kostiumami w centrum miasta. Raz w tygodniu kupowała brzoskwinie, takiego

samego rozmiaru i koloru, jakie trzymała Sylvia na fotografii w gazecie.

W domu udawała Sylwię za zamkniętymi drzwiami sypialni. Przechadzała się na palcach po dywanie z wyprostowanymi plecami. Jadła brzoskwinie przed lustrem w łazience, uśmiechając się między kęsami, patrząc na sok spływający po podbródku. Czytała czasopisma o modzie, bo wyobrażała sobie, że Sylvia za nimi przepadała, i śliniła palec przed przewróceniem każdej stronicy. Czasem po prostu wylegiwała się na łóżku z wzrokiem wbitym w ścianę i myślała o śmierci. Odkryła, że kiedy się wyleguje, Sylvia się nudzi i niecierpliwi, a poza tym czuje się bardziej zmysłowo w jedwabnej halce niż zupełnie nago. Wypaliła ostatnie papierosy ze skradzionej papierośnicy – przekrzywiła głowę jak Gabriella, leniwie trzymała papierosa między palcem wskazującym a środkowym.

Później wietrzyła mieszkanie, by usunąć woń dymu i perfum. Niezależnie od tego, jak starannie się myła, stale czuła zapach Sylvii – drażniący, słodki aromat mający w sobie coś prowokacyjnego, który zdawał się maskować zgniliznę jak wtedy, gdy matka rozpyliła w łazience Chanel N°5, by ukryć smród przeciekającej rury.

Szorowała w łazience szyję i nadgarstki – mydliny spływały między piersiami i po plecach, a delikatna skóra wewnętrznej części nadgarstków łuszczyła się od ciągłego tarcia. Codziennie uzupełniała mydło w złotym dozowniku (wyjątkowo pewny siebie antykwariusz zapewniał, że należał niegdyś do Babe Paley). Później wielokrotnie się obwąchiwała, przystawała w holu i znowu myła się w toalecie dla gości.

W pewnej chwili, po umyciu w łazience dla gości coraz bardziej spierzchniętych dłoni okrągłym mydełkiem przywiezionym przez George'a z londyńskiego hotelu Ritz, zwróciła uwagę na obraz, który dawniej przedstawiał grupkę nagich dziewcząt kąpiących się w strumieniu i spoglądających z zawstydzeniem na widza. Teraz zobaczyła kobiety odwrócone plecami.

Wypuściła z rąk ręcznik. Podeszła do malowidła. Były to te same dziewczęta – doskonale pamiętała ich fryzury i kolor włosów – jednak w tej chwili nie widziała uśmiechniętych, świeżych twarzy i pulchnych, białych piersi, tylko pastelowe plecy i pośladki z rowkami. Wpatrywała się zdezorientowana w płótno. Czyżby kupiła dwa podobne obrazy i zapomniała o drugim? Nawet jeśli to prawda (wydawało się to mało prawdopodobne), gdzie się podział obraz, który wisiał w łazience od dziesięciu lat? Spoglądała przez kilka minut na malowidło i dotknęła go delikatnie czubkiem palca, jakby chciała je zmusić, by przybrało poprzednią postać.

Wyszła do holu, zastanawiając się, czy powiedzieć o tym George'owi i czy mógłby się z niej śmiać. Idąc w stronę sypialni, usłyszała głosy. Szepty. Stała jak wryta na środku korytarza i nadstawiła uszu. Dobiały z pokoju Jonathana.

– Ta gra jest nudna – rzekł Alec. – Pobawmy się w coś innego.

Podeszła na palcach do drzwi i przyłożyła do nich ucho.

– Chcę być policjantem – powiedział po drugiej stronie Alec.

– W porządku. Ja będę przestępcą – odparł Jonathan.

– Złodziejem?

– Nie. Czymś lepszym. Mordercą.

– Mordercą, ho, ho!

– Oddałbyś mordercę w ręce policji, gdybyś go zdemaskował? – spytał Jonathan.

Zasłoniła dłonią usta. Poczwała na wardze chłód obrączki.

– Co masz na myśli? – spytał Alec.

– A gdyby to był twój brat?

– Nie mam braci.

– No to matka.

– Nie doniósłbym na matkę – odparł zdecydowanie Alec, z lekką dumą, która wzbudziła zazdrość pani March.

– A jeśli powinienes tak postąpić? – spytał Jonathan.

– Nie wiem. Możemy zacząć grę?

Głosy ucichły i rozległy się ciche uderzenia. Pani March poczuła przypływ determinacji, odszukała George'a – czytał w salonie, w tle grał telewizor – i spytała wprost:

– Kto zamienił obraz w łazience?

– Hm? – mruknął George, bardziej do książki niż do pani March.

– Kto zamienił obraz w łazience dla gości?

Wydawało się, że George dalej czyta.

– Kochanie, jestem pewien, że w łazience od lat wisi ten sam obraz. – Pani March nie odpowiedziała. Zerknął na nią znad okularów w charakterystyczny dla siebie sposób, który zawsze ją irytował. – Dobrze się czujesz? – spytał.

– Oczywiście, że dobrze się czuję – odpowiedziała. – Po prostu pamiętam inny obraz, to wszystko.

– Cóż, wisi tam od tak dawna, że prawdopodobnie przestałaś zwracać uwagę na szczegóły.

– Tak – odrzekła, patrząc na George'a. – Zdaje się, że na tym polega cały problem.

Zacisnęła zęby, po czym wycofała się do sypialni i zamknęła drzwi. Ręce drżały jej z wściekłości, mimo woli stuknęła paznokciami w panele. Zaprzeczył, podobnie jak w przypadku martwego gołębia w łazience. Wszystkiego się wypiera.

Włożyła perukę, dotknęła kasztanowych loków i podziwiała się w lustrze łazienki. Nie uważa jej za godną zamordowania, a nawet zgwałcenia. Myśli, że jest głupia, brzydka, nudna, warta jedynie upokorzenia na kartach książki. Wyśmiania.

Założyła na perukę czarną opaskę. Aksamit był miękki jak ptasi puch.

– To mnie pragniesz – szepnęła.

* * *

Kiedy wszedł w nocy do sypialni, czekała na niego w ciemności, kimkolwiek była. Siedziała w fotelu w rogu pokoju.

– George... – powiedziała. Mówiła inaczej niż zwykle, jakby wymieniono jej struny głosowe.

Odwrócił się ku niej i zmrużył oczy. Blade światło księżyca wpadające przez okno kreśliło jasne linie na rękach i kolanach pani March.

– Nie możesz zasnąć? – spytał.

Podeszła do niego i objęła go w taki sposób, jak wyobrażała sobie zachowanie młodej dziwki złąknionej romansu ze starszym mężczyzną. Czowała między palcami fałdy koszuli George'a, wdychała jego zapach (whisky, woń starej drewnianej szuflady).

Ostrożnie dotknął loków peruki.

- Masz inne włosy - powiedział z nieszczerym podziwem. Wydawało się, że sypialnia ciemnieje coraz bardziej.

Tej nocy pani March uwiodła męża. Zachowywali się poufale, śmiali się, gryźli. Z początku wydawał się zaciekawiony, uprzejmie reagował na zaloty pani March, a potem angażował się coraz bardziej, drapał ją w szyję spiczastą brodą, wyczuwała bicie jego serca. Łopatki George'a były bardziej kościste niż zwykle, miała wrażenie, że za chwilę przetną jej skórę.

Poczuła krótki, ostry ból między nogami, kiedy w nią wszedł. Wyobraziła sobie kolczyk w uchu obrośnięty gładką skórą, wypukłą bliznę jak po amputacji.

Uderzała pięściami w materac i nagle zaczęły wpełzać z niej robaki - robaki Sylvii. Przypominały wilgotne, wijące się kluski.

Kołysała się do przodu i do tyłu, nucąc cicho. Kasztanowe loki Sylvii muskały jej obojczyki, aż Johanna odeszła.

XXXVII

Skradziona papierośnica Gabrielli zniknęła. Pani March gorączkowo szukała jej w szufladach – apaszki latały po garderobie niczym serpentyny, pot wsiąkał w jedwabne halki. Kurczowo chwyciła drzwi, obawiając się najgorszego, po czym przeszła przez hol i zaczęła szukać papierośnicy w garderobie Jonathana.

Grzebała chudymi palcami wśród bielizny z nadrukami z komiksów, aż wreszcie natrafiła na rysunki. Niepokojące obrazy ptaków dziobiących nagie, zakrwawione ciała kobiet, włosy łonowe narysowane kredkami świecowymi.

Wśród rysunków znajdowało się kilka wycinków prasowych dotyczących zaginięcia i zamordowania Sylvii. Były poplamione tłuszczem i pokryte drobinkami kawy, co wskazywało, że wydobyto je z kosza na śmieci w kuchni. Znalazła brakujący artykuł z gabinetu George'a. Kiedy dokładniej przeszukała garderobę, zauważyła pod jednym z granatowych swetrów notes George'a. Ucieszyła się, że wreszcie dopisało jej szczęście, ale po chwili zdała sobie sprawę, że to notes, który zabrała ze sobą do Maine. Jej własny notes.

Jonathan wszedł do garderoby i zobaczył matkę trzymającą sekretne rysunki w brzydkich, drżących rękach. Poczula nagły przyływ gniewu, ogarnęły ją mdłości. Nie chciała nawet myśleć o tym, że Jonathan mógł czytać napisane przez nią okropne słowa: „gwałt”, „uduszona”, „dziwka?”. Przeraziła się, że znalazł kasztanową

perukę – a nawet ją przymierzył. Tak wytrąciło ją to z równowagi, że o mało nie zwymiotowała i ukryła twarz w płaszczach wiszących w garderobie.

Kiedy uspokoiła się na tyle, by spojrzeć na syna, stał tuż obok. Wzdrygnęła się i cofnęła w głąb garderoby.

– Gdzie to znalazłeś? – spytała, machając mu przed nosem wycinkiem z gabinetu George'a. – Gdzie?!

Jonathan wzruszył ramionami.

– Wchodziłeś do gabinetu taty? Odpowiedz!

– Nie wiem. Czasami.

– Co jeszcze znalazłeś? – spytała. Wytrzeszczała oczy, w których pojawiły się łzy. – Znalazłeś coś jeszcze? – Nie odpowiedział, więc nim potrząsnęła. – Dlaczego narysowałeś te okropności?! – spytała, gniotąc rysunki. – Tata ci kazał?

Jonathan był zdenerwowany, on również zaczął płakać.

– Nie!

– Zrobił to, prawda?! Nie okłamuj mnie!

– Nie, to... to... – Nie patrzył jej w oczy, próbując wymyślić odpowiedź. – To Alec!

– Nie zwalaj wszystkiego na Aleca. Jeśli to tata, musisz mi powiedzieć!

– To nie tata! – Objął ją rękami w talii i pociągnął nosem. – Nie złość się na tatę!

Pani March nie odwzajemniła uścisku syna, lecz kontynuowała przesłuchanie. Czuła żółć podchodzącą do gardła.

– Powiedz mi, Jonathanie, dlaczego Alec kazał ci to narysować? – Kiedy nie odpowiedział, spytała: – Alec chce cię wpakować

w kłopoty?

– Tak!

– Dlaczego?

– On... on mi zazdrości, że tata jest sławny!

Pani March uklękła przed synem. Przytulił ją, opierając głowę na jej ramieniu. Nie protestowała.

– Alec naprawdę ci tego zazdrości, Jonathanie? – spytała, gładząc go po głowie.

– Tak – odparł. Czowała na szyi jego ciepły oddech. – Mówił, że jesteś strasznie wściekła o książkę taty i że wszyscy o tym wiedzą.

Pani March poczuła, że uginają się pod nią nogi. Jedną ręką dotykała głowy Jonathana, a drugą przyciskała do swojego boku. Zapadło milczenie. Po chwili owiał ją gorący, wilgotny oddech syna.

– Johanna – szepnął jej do ucha.

Odepchnęła go jednym szybkim ruchem, po czym cofnęła się, wytrzeszczając z przerażeniem oczy.

Postanowiła działać. Wstała, chwyciła Jonathana za nadgarstek i wyciągnęła z pokoju. Minęła hol, wyszła przez drzwi frontowe na korytarz pokryty wykładziną dywanową i dotarła do ozdobnej windy.

Kilka pięter wyżej zastukała do drzwi Millerów. Kiedy Sheila otworzyła, pani March natychmiast powiedziała:

– Obawiam się, że nasi synowie nie mogą się więcej przyjaźnić.

Sheila patrzyła na nią z ostentacyjnym zdziwieniem, marszczyła brwi i niespokojnie mrugała. Pani March miała ochotę ją spoliczkować.

– Nie chcę, żeby Alec spotykał się z Jonathanem – dodała pani March. Nie usłyszała odpowiedzi, więc wpadła w histerię: – Ma zły

wpływ na mojego syna! Demoralizuje go!

Sheila postanowiła się odezwać.

– Przepraszam? – spytała cichym, powściągliwym tonem i spojrzała na Jonathana, trzymanego mocno przez matkę. Wyraz smutku na twarzy syna jeszcze bardziej rozwścieczył panią March.

– Słyszałaś, co powiedziałam! – krzyknęła. Jej wrzask odbił się echem w korytarzu.

– No cóż... – odparła Sheila. Jej ramiona opadły nieco, jakby rzuciła niewidzialny ciężar. – Nie chciałam poruszać tego tematu, zwłaszcza w takich okolicznościach, ale zwracałam uwagę na relacje naszych synów, szczególnie na wpływ Jonathana na Aleca...

– Wpływ Jonathana...

– Tak! – rzuciła Sheila, przesywając panią March wzrokiem. – Jonathan ma... pomysły, dziwne pomysły, które szczerze mówiąc, trochę mnie przerażają. A poza tym sprawa jego zawieszenia w szkole... tak. – Pokręciła głową, w dalszym ciągu spoglądając na panią March, i zniżyła głos do szeptu: – Słyszałam, co Jonathan zrobił tej dziewczynce.

Pani March pochyliła się gwałtownie do przodu i z przyjemnością zauważyła, że Sheila się wzdrygnęła.

– Myślisz, że coś wiesz, ale tak naprawdę nic nie wiesz! – krzyknęła z wściekłością, bryzgając śliną. Jej wykrzywione wargi drżały. Usłyszała za plecami skrzypienie drzwi, obróciła głowę i zobaczyła kilku zaciekawionych sąsiadów wyglądających z apartamentów. Pociągnęła Jonathana w stronę windy, potykając się o wycieraczkę Sheili, i zawołała: – Nic nie wiesz!

* * *

Nie widziała karaluchów od tygodni, ale tej nocy otworzyła oczy i spostrzegła coś znacznie gorszego – pluskwy. Były ich dziesiątki, chodziły po jej ciele, między piersiami, między palcami nóg, po rękach i pępku. Okrągłe, czerwonawe, z brunatnymi łapkami, spuchnięte od krwi, wypęły ze szczelin w ścianach i szwów materaca na nocną ucztę.

Zawyła i nacisnęła kontakt na ścianie obok łóżka. Pluskwy znikły, ale zastąpili je oni. Klęczeli wokół łóżka – Sheila George rozplotkowana sąsiadka z supermarketu Gabriella Edgar bankier inwestycyjny z przyjęcia Jonathan dzienny portier Paula a nawet stara Marjorie Melrose. Wszyscy. Patrzyli na nią z otwartymi ustami, z których ciekła ślina.

Poczuła, że się dusi, obudziła się i usiadła na łóżku. Obróciła głowę i zobaczyła George'a leżącego obok. Policzyła do pięćdziesięciu, by serce się uspokoiło, po czym wsunęła dłoń pod poduszkę, szukając rękojeści noża rzeźnickiego. Kiedy wymacała palcami drewnianą rączkę – pękniętą od częstego mycia w zmywarce – odprężyła się i położyła na plecach.

Następnego dnia przy śniadaniu George spytał, czy miała koszmary.

– Zasypiałem i budziłem się, nie byłem pewien, czy to sen, czy jawa – powiedział.

– Nie, nie miałam koszmarów – odrzekła ostrożnie. – Bolał mnie ząb, to wszystko. – Nie było to kłamstwo, ból niedawno się nasilił. Był głęboki, przeszywający, pojawiał się zupełnie nagle, przypominał straszliwe skurcze przed urodzeniem Jonathana.

– Musisz się tym zająć – odparł George z wyrazem troski, który sprawił, że pani March na chwilę złagodniała.

– Tak – odparła.

– Poproszę Zeldę, by umówiła cię ze swoim dentystą. Jest najlepszy. Ma długą listę oczekujących, ale jestem pewien, że Zelda załatwi ci wizytę na jutrzejsze popołudnie.

– To nic pilnego.

– Powinnaś iść, kochanie – uśmiechnął się. – Inaczej ci się pogorszy. – Po wypowiedzeniu tej mrożącej krew w żyłach groźby udał się do gabinetu, by zadzwonić do Zeldy.

* * *

Nazajutrz w czasie kolacji pani March ponuro obserwowała Jonathana. Sine kręgi pod oczami i gęste, dziewczęce rzęsy syna budziły w niej odrazę. Niedawno przytył – granatowy sweter wybrzuszał się w talii, spodnie opinały uda i podjeżdżały do góry, gdy siadał na krześle. Tęgie łydki były posiniaczone, tu i ówdzie widziała czarne włoski.

Postanowiła wysłać go na weekend do teściowej. Pomyślała, że musi go chronić przed George'em. Dalej prowadzić śledztwo. Spakowała torbę syna – wepchnęła do niej mnóstwo skarpetek i bielizny, jakby miała nadzieję, że nigdy nie wróci – i w piątek rano odwiozła go do szkoły. Umówiła się z matką George'a, by odebrała chłopca po południu.

– Będę zachwycona, mając Jonathana tylko dla siebie przez cały weekend! – zawołała przez telefon Barbara March. – Planujecie coś szczególnego?

– Nic wielkiego – odpowiedziała pani March, nie wspominając o sobotnim przyjęciu urodzinowym. Uważała, że brzydka, tęga Barb

nie byłaby pożądanym gościem. Barb, nosząca tanie marszczone koszule i luźne spodnie.

Tego ranka, wychodząc z Jonathanem z apartamentu, lekko uszczypnęła go w bark. O nogi objęła mu się weekendowa torba. Łup-łup w windzie. Łup-łup w holu, zagłuszając powitanie portiera, Łup-łup-łup na ulicy, przez całą drogę do taksówki. Jechali do szkoły w milczeniu. Jonathan od czasu do czasu pociągał nosem albo pokasływał, a pani March dostawała dreszczy.

Kiedy przybyli na miejsce, nie wysiadła z taksówki, lecz patrzyła z tylnego siedzenia na odchodzącego chłopca, zaciskając usta i tak wysoko unosząc brwi, że czuła napiętą skórę na skroniach. Kiedy Jonathan zniknął w masie dzieci kręcących się na dziedzińcu szkoły, o mało nie zwymiotowała, lecz na szczęście zdołała się powstrzymać i wytarła o płaszcz palce, którymi dotykała syna.

* * *

Po powrocie do apartamentu zastała Marthę stojącą w holu z małą oliwkową torebką wiszącą na nadgarstku.

– Muszę złożyć wymówienie, proszę pani – rzekła służąca dziwnym, monotonnym głosem. – Bardzo mi przykro.

– Co takiego? Odchodzisz? – spytała pani March, myśląc o zbliżającym się przyjęciu, o stanie apartamentu. – Kiedy?

– Obawiam się, że to mój ostatni dzień.

– To niemożliwe. Powinnaś złożyć dwutygodniowe wypowiedzenie.

– Dwutygodniowe wypowiedzenie to grzecznościowy zwyczaj, ale nie jest wymagane przez prawo. Pytałam adwokata – odpowiedziała Martha. Z wielkim wysiłkiem patrzyła pani March prosto w oczy.

– Nic nie rozumiem – powiedziała pani March. – Czy zrobiliśmy coś niewłaściwego? Czymś cię uraziliśmy? – dodała, prawie chcąc urazić Marthę.

– Nie, nie, proszę pani. – Służąca spojrzała na swoje pomarszczone, różowe dłonie zaciśnięte na brzuchu. – Myślę, że powinna pani poszukać pomocy.

Kiedy pani March usłyszała te słowa, poczuła lodowaty chłód. Martha nie była zażenowana, wydawało się, że czuje lęk. Pani March przez wiele lat obawiała się służącej, jej pogardy, sądów. Czyżby sytuacja się odwróciła?

– Tak, to oczywiste. Nie mogę prowadzić domu bez pomocy. Apartament jest za duży. – Pani March mówiła rzeczowym tonem. Splotła ręce na piersi i patrzyła na Marthę, która otworzyła usta i zamierzała coś powiedzieć, ale ugryzła się w język. – Doskonale – dodała pani March. – A teraz, proszę, odejdz.

– Dziękuję za zrozumienie, pani March. Proszę przekazać moje serdeczne pozdrowienia panu Marchowi i Jonathanowi. Zostawię klucze na stole.

– Nie zapomnij o kluczyku od skrzynki pocztowej – rzuciła pani March. Jeśli Marthę wytrąciła z równowagi aluzja, że mogłaby podkraść pocztę, w ogóle tego nie okazała.

– Dziękuję – rzekła służąca, wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi.

Pani March poszła do szafki z lekarstwami i zażyła jedną z ziołowych tabletek uspokajających. Spacerując po holu, doszła do wniosku, że tabletki nie działają, i połknęła całą garść. Później pojechała do dentysty.

XXXVIII

Dzień dobry! Jestem zapisana. Nazywam się March.

Pani March kołysała się lekko, ściskając krawędź blatu biurka recepcjonistki w gabinecie stomatologicznym. Miała rozpięty płaszcz, ze spodni wystawała koszula.

– Ach, naturalnie! Jest pani żoną George’a Marcha! – wesoło odpowiedziała jasnowłosa dziewczyna. – Jesteśmy fanami pani męża! Czarujący mężczyzna, naprawdę. Zawsze powtarzam, że uszłoby mu na sucho nawet morderstwo! – uśmiechnęła się, ukazując olśniewająco białe zęby.

Pani March odchrząknęła.

– Mogę wejść do gabinetu?

Recepcjonistka przestała się uśmiechać.

– Proszę chwilę poczekać. Pan doktor panią poprosi.

Pani March usiadła na jednym z krzeseł w poczekalni, a pozostali pacjenci powitali ją ponurymi uśmiechami. Czekala i czekała, spoglądała w sufit, później na swoje buty, a w końcu na buty sąsiadek. Kobieta siedząca naprzeciwko malowała usta, przeglądając się w lusterku puderniczki. Miało to w sobie coś tak intymnego, że pani March odwróciła wzrok.

Zerknęła na zegarek i z rozczarowaniem spostrzegła, że minęło zaledwie osiem minut od wejścia do gabinetu. Westchnęła i pochyliła się nad kolorowymi czasopismami rozłożonymi na

stoliku. Wzięła jedno z nich i obojętnie je wertowała, aż nagle zobaczyła fotografię George'a, patrzącego prosto na nią z lśniącej stronicy. Nagłówek brzmiał: ODA DO BRZYDOTY, CZYLI JAK GEORGE MARCH SPRAWIŁ, ŻE BRZYDOTA STAŁA SIĘ PIĘKNA. Poniżej opublikowano pochlebny artykuł wychwalający frapującą złożoność psychiki Johanny, głównej bohaterki, „nie na tyle inteligentnej, by stać się czarnym charakterem, niewystarczająco szykownej, by elegancja zamaskowała liczne niedostatki jej urody, a jednak sympatycznej, rozkosznie odrażającej”. Po rozpoczęciu lektury „czytelnik natychmiast zanurza się w świecie Johanny, staje się aktywnym współuczestnikiem jej upadku”. Pani March zamknęła z trzaskiem czasopismo, rzuciła je na stolik, a później wsunęła pod inne magazyny. Poprawiła kołnierzyk koszuli, jakby lubieżnie spoglądał na nią nieznajomy mężczyzna, po czym wstała i podeszła do biurka recepcjonistki.

– Przepraszam, długo to jeszcze potrwa? Bardzo się denerwuję. – Mówiła trochę bełkotliwie, lecz dziewczyna zdawała się tego nie zauważać.

– Powiem doktorowi, że jest pani zdenerwowana. Może przyjmie panią trochę wcześniej – odparła recepcjonistka. Pani March litowała się nad sobą, czuła ściskanie w gardle, oczy zaszkliły jej się łzami.

– Chciałaby pani napić się wody, pani March?

Po kilku sekundach wróciła na miejsce, trzymając plastikowy kubeczek z wodą. Zerknęła na niego i zobaczyła odbicie własnego oka. Westchnęła, z jej ust wyrwał się drżący jęk, miała wrażenie, że widzi miraż wywołane przez fale rozpalonego powietrza. Wyjęła z kieszeni kolejną tabletkę, łyknęła i popiła wodą.

Kiedy w końcu wypowiedziano jej nazwisko, przeszła przez parę dwuskrzydłowych uchylnych drzwi i znalazła się w gabinecie, w którym stał fotel dentystyczny, na którym miała usiąść. Wszystko było białe – ściany, aparatura, skórzane obicie fotela. Wszechobecna biel wydawała się niemal niestosowna w miejscu, gdzie pacjenci ślinią się, krwawią, obnażają pożółkłe zęby.

Pojawił się dentysta – opalony na nienaturalny ciemny brąz, z siwiejącymi jasnymi włosami i wypiełgnowanymi paznokciami. Poprosił, by otworzyła usta. Posłusznie wykonała polecenie, po czym obejrzał jej zęby, trzymając ją za podbródek i stanowczo przekręcając głowę w obie strony.

– Cóż, zbyt długo ignorowaliśmy ten problem, prawda, pani March?

– Tak – wykrztusiła z trudem z otwartymi ustami. Kiedy dentysta puścił podbródek, dodała: – Przykro mi, panie doktorze. Powinam była zająć się tym wcześniej, ale wizyty u stomatologa bardzo mnie stresują.

– Słyszałem, że jest pani zdenerwowana – rzekł. Wstał i włożył gumowe rękawiczki. – Proszę się nie obawiać. To nie będzie bolało. Mogłoby boleć, ale do tego nie dopuścimy. Nie ma absolutnie żadnego powodu, żeby pani cierpiała, skoro można tego uniknąć. Właśnie taka jest rola medycyny. Mamy pani pomóc, pani March, a nie zadawać ból. Siostro, leczenie kanałowe.

Pielęgniarka zarzuciła jej na szyję papierową pelerynkę, a dentysta szykował narzędzia. Pani March cicho się rozplakała.

– To nie będzie bolało – powtórzył stomatolog. Pielęgniarka przyłożyła jej gumową maskę do twarzy i pani March przez dziesiątą sekundę myślała, że to pułapka, że George kazał ją zamordować,

upozorować wypadek. Była to jej ostatnia myśl przed utratą przytomności: Ariadna zgubiła kłębek przędzy i zabłądziła.

* * *

Tabletki, które wcześniej zażywała, musiały spotęgować działanie narkozy podanej przez dentystę, bo po opuszczeniu białego gabinetu była oszołomiona i kręciło jej się w głowie. Nasiliło się to po wyjściu na chłodną ulicę. Skręciła nieprzytomnie w stronę krawężnika. Miała wrażenie, że dentysta wywiercił jej otwór w czaszce, a potem napchał do środka waty. Lodowaty wiatr smagał jej twarz, rozwiewał włosy. Wiosna jednak nie przyszła, oszukała panią March i resztę nowojorczyków.

Jedną ręką zaciskała płaszcz pod szyją, a drugą dotykała włosów. Szła ulicą i wypatrywała taksówki wśród nadjeżdżających samochodów, gdy nagle usłyszała chłodny, beznamiętny męski głos, tak wyraźny, jakby nieznajomy stał tuż obok niej: „Szła ulicą”.

Obróciła się gwałtownie, prawie tracąc równowagę, lecz nie mogła zlokalizować źródła głosu. Mężczyzna znowu się odezwał afektowanym brytyjskim akcentem: „Dalej szła ulicą”. Zachwiała się, próbując się rozejrzeć, zaplątały się pod nią nogi, półbuty uderzyły o siebie.

Zatrzymała taksówkę. Tajemniczy narrator opisał to, co zrobiła. Zatrzasnęła drzwi i natychmiast znalazła ukojenie w ciszy panującej w aucie. Patrzyła przez okno na przechodniów, szukając jakiejś wskazówki – czegokolwiek – próbując się zorientować, co się dzieje. Samochód pędził obok rozmazanych plam będących ludźmi – a może byli to ludzie przemienieni w rozmazane plamy? Kiedy auto podskakiwało na wybojach, miała wrażenie, że wypływają jej oczy.

Dotknęła chłodną ręką opuchniętego policzka, co przyniosło chwilową ulgę. Spojrzała z tylnego siedzenia na swoje odbicie w lusterku wstecznym i zobaczyła obcą osobę – nieznaną kobietę siedzącą z tyłu taksówki – i pomyślała, że doszło do koszarnej pomyłki, bo jeśli w tej taksówce jest inna kobieta, można założyć, że pani March siedzi w innym aucie. Jednak po chwili zdała sobie sprawę, że naprawdę widzi panią March, uśmiechała się ona dość agresywnie. Kiedy zacisnęła usta, odbicie nie zrobiło tego samego. W czasie reszty jazdy do domu wyglądała przez okno.

Zapłaciła kierowcy, wyszła na chodnik i zobaczyła przed sobą nie jedną, lecz dwie kamienice. Zastanawiała się, w której mieszka. Kiedy w końcu rozjaśniło jej się w głowie i podjęła decyzję, poczuła przypływ optymizmu. Wbiegła do budynku po lewej stronie i wesoło powitała umundurowanego portiera.

W windzie pełnej luster odbicia pani March nie patrzyły jej w oczy i nieustannie odwracały głowy. Drzwi rozsunęły się na piątym piętrze, ale wyjście na korytarz zajęło pani March trochę czasu, bo najpierw chciała ustalić, która z kobiet w lustrach jest nią. Kiedy uniosła rękę do twarzy, by się rozpoznać, odbicia pokrzyżowały jej plany, powtarzając gest.

Skręciła w prawo i odczytywała numery na drzwiach, lecz wydawały się absurdalne, jakby ktoś dla zabawy je pozmieniał, może dzieci. Zatrzymała się przed apartamentem numer sześćset sześć (taką przynajmniej miała nadzieję) i obróciła gałkę.

Mieszkanie pulsowało w tym samym rytmie jak ból w jej głowie. Potarła pięściami oczy i nagle usłyszała ciężkie stękanie, jakby ktoś się dusił. Poszła w stronę salonu, skąd dobiegały dźwięki. Zataczała

się lekko i próbowała się opierać o ścianę, ale bez przerwy się od niej oddalała.

W salonie zasłony były częściowo rozsunięte. Oślepiło ją jaskrawe światło. Stękanie stało się głośniejsze, bardziej dramatyczne. Kiedy odzyskała zdolność widzenia, zobaczyła George'a leżącego na nagiej Sylvii z dłońmi na jej szyi. Krzyknęła, a George i Sylvia obrócili głowy. Sylvia jęknęła, chwytając ustami powietrze. George zrobił to samo, po czym powiedział:

– O, do licha, kochanie, nie miałaś tego zobaczyć...

Pani March nie zdążyła odpowiedzieć. Poczowała, że leci w przepaść. Upadek okazał się zaskakująco łagodny. Patrzyła na sufit i zastanawiała się, czy nie zamówić kopii nowoczesnych lamp wbudowanych w sufit jak w mieszkaniu Shelli, choć przecież jej własne lampy były dobre.

– Lampy są dobre, prawda? – spytała George'a. Wciągał marszczone spodnie, a Sylvia leżała nieruchomo z ciemnymi włosami opadającymi na piersi.

O, do licha, rzeczywiście...

Dokąd mam skręcić w dziwnym labiryncie?

Drogi są wszędzie, a ja zagubiona.

Mary Wroth, *Wieniec sonetów o miłości*,

przeł. Tomasz Wyżyński

XXXIX

Pani March obudziła się w sypialni. Chociaż ciężkie stopy były zaciągnięte, czuła, że jest wieczór. George siedział na skraju łóżka, trzymając głowę w dłoniach. W pokoju panował półmrok. Mąż znajdował się w cieniu i z początku wątpiła, że to rzeczywiście on. Powoli uniosła kołdrę i spostrzegła, że ciągle ma na sobie dzienne ubranie. Rozdarcia w cielistych rajstopach przypominały blizny.

George zauważył jej ruchy i obrócił głowę. Kiedy zrozumiał, że się obudziła, wstał i podszedł do łóżka, ona zaś uniosła się i oparła plecami o poduszkę.

– Jak się czujesz? – spytał.

Poczuła nagły gniew na George'a, ale nie wiedziała dlaczego. Wyplątała się z pościeli i wstała, lekko się kołysząc.

– Kochanie? – odezwał się.

Poszła do łazienki i włączyła światło. Widziała w lustrze, że jej szczęka jest tylko opuchnięta. Pomyślała, że wystarczy kostka lodu i na jutrzejszym przyjęciu nikt niczego nie zauważy. Jednak reszta twarzy wyglądała koszmarnie: skóra na podbródku się łuszczyła, podkład się zwarzył, ukazało się kilka krostek, a policzki były poplamione ciemnymi strugami mascary.

– Kochanie? – zawołał z sypialni George. Spojrzała na niego przez drzwi. Stał przy końcu łóżka. – Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

O tym, co się dzisiaj wydarzyło. O tym, co widziałaś. Tak naprawdę o wszystkim.

Zaczęła doprowadzać do porządku twarz, wycierać mascarę wilgotnym wacikiem, a później maskować duży ślad po kroście grubą warstwą podkładu.

– Posłuchaj – ciągnął George. – Po powrocie do domu byłaś kompletnie nieprzytomna, więc nie jestem pewien, co widziałaś, a czego nie widziałaś, lecz to prawda, że mam romans.

Przerwała nakładanie pudru, trzymając puszek z pudrem w połowie drogi do twarzy. Miała wrażenie, że jej serce zatrzymało się na znak solidarności. Musiała wysłuchać słów George'a. Czuła na sobie jego wzrok, ale nie obróciła głowy, żeby na niego popatrzeć.

– Od pewnego czasu z kimś się spotykam i dziś po południu mnie przyłapałaś, to znaczy nas – rzekł. – Jest mi okropnie przykro, że dowiedziałaś się w ten sposób. Myślałem, że wrócisz później... –

Pokręcił głową. – Albo sam nie wiem, może chciałem, żebyś to odkryła? Podświadomość bywa zabawna, prawda?

Pani March położyła puszek w zlewie.

– Bardzo mi przykro, kochanie, mówię poważnie. Na początku lekceważyłem tę sprawę jako przelotny romans, związek czysto fizyczny, kryzys wieku średniego, jeśli chcesz to tak nazwać. Ale obawiam się, że... darzę tę kobietę autentycznym uczuciem.

– Gabriellę? – spytała ostrożnie, cicho, zgrzytliwie. Jej normalny, miły głos brzmiał zupełnie inaczej i zerknęła w lustro, by sprawdzić, czy to ona wypowiedziała to imię.

– Nie, nie Gabriellę – odparł George. – Pracuje w agencji Zeldy. Od pewnego czasu jest stażystką...

– Stażystką?! – spytała pani March. Tym razem zaskrzeczała. Cisnęła puderniczkę na podłogę i weszła do sypialni. – Chcesz powiedzieć, że masz romans ze stażystką?!

Kiedy wykrzyczała ostatnie słowo, na twarzy George'a wylądowała kropelka śliny. Szczególnie rozwścieczyło ją to, że wydaje się dziwnie zadowolony z jej gwałtownej reakcji. Pragnęła znowu spokojnie zająć się nakładaniem makijażu, nie okazywać emocji ani słabości, naśladować pełną wdzięku obojętność matki, która nigdy w życiu nie wpadła w furję. Jednak nie była w stanie udawać, co jeszcze bardziej ją złościło.

– Przykro mi – powiedział George. – Naprawdę bardzo mi przykro. Potraktowałem cię niesprawiedliwie. Ale... my się kochamy – dodał, szczypiąc się w grzbiet nosa.

Pani March przycisnęła pięści do skroni. Przykucnęła, obawiała się, że zwymiotuje. Wydała głęboki, ochryply jęk.

– Nie, nie, nie, nie... TY ŚWINIO! – zawołała. Później, zaniepokojona, że mogą ją usłyszeć sąsiedzi, powtórzyła ciszej: – Ty świnio...

– Wiem, wiem, nie można tego usprawiedliwić, nie zamierzam nawet próbować się usprawiedliwiać. Ale w ciągu ostatnich kilku lat byłaś odległa, a ja próbowałem...

Przestała słuchać i zaczęła przypominać sobie chwile, gdy George mógł ją zdradzać, a nie mordować kobiety. Czy to możliwe? Naprawdę? To z pewnością tylko wyjątkowo sprytna, wyjątkowo wiarygodna wymówka, by ukryć to, co zrobił.

– Gdy mówiłem, że jestem z Edgarem w domku letniskowym, byłem...

– Co takiego?! – syknęła, czując bolesne pulsowanie dziąseł. – Kiedy?!

– Kilka razy. Przed Bożym Narodzeniem, kiedy wróciłem z polowania z pustymi rękami, tak naprawdę byłem z Jennifer w Nowym Jorku, w hotelu Plaza. – Pani March zadrżała, słysząc imię kobiety. – Nie jestem z tego dumny i wtedy też nie byłem dumny. Właśnie dlatego wróciłem wcześniej. Chciałem ci powiedzieć. Niewiele brakowało, bym to zrobił.

Wszystkie elementy łamigłówki zaczęły się układać w przerażającą całość. Poplamiona koszula George'a: szminka, nie krew. Dziwna mina: wstyd, nie groźba.

– Przecież mówiłeś, że policja pytała cię o zaginioną dziewczynę – odpowiedziała, wskazując jego głupawą twarz, głupawe szylkretowe okulary. – Mówiłeś, że wszędzie leżały ulotki, że byłeś przesłuchiwany. W sprawie Sylvii.

Pokręcił głową. Miał wilgotne oczy.

– Nawet nie pamiętam, co ci wtedy powiedziałem. Chciałem przyznać się do wszystkiego już w przedpokoju. Nie zrobiłem tego, bo... cóż... to zabawne, czułem, że przejrzałaś moje kłamstwa i wolisz, żebym kłamał dalej, bo obawiasz się skandalu. Wiem, jak ważne są dla ciebie pozory. Jestem już zmęczony udawaniem. A ty nie?

Jęknęła. Serce waliło jej tak mocno, że przyłożyła dłoń do piersi z obawy, że wyrwie się z ciała.

– Przestałem rozumieć naszą grę. Nie wydaje się uczciwa – dodał.

– Przecież, przecież... – Pani March uniosła dłonie i przyłożyła pięści do skroni. – A wycinek z gazety? – spytała. – Miałeś artykuł... w gabinecie. O Sylvii Gibbler.

– Zbierałem materiały do następnej książki – odparł. – Wzięłaś wycinek z gabinetu? – spytał, jakby nagle coś sobie przypomniał.

– Och, przestań udawać, George. Przestań udawać! – Roześmiała się. – Znałeś Sylwię. Podpisałeś jej książki. Miała twoje autografy, George!

– Co takiego? Ale skąd ty... – Jego uśmiech zbladł. – Co ty właściwie zrobiłaś?!

Pani March myślała przez chwilę o nocnym portierze, o tym, jak uprzejmie się zachowywał. Na pewno wiedział o kochance George'a, widział go całującego ją w drzwiach windy i klepiącego po tyłku, gdy wsiadała do taksówki. Jakże musiał współczuć pani March! Spacerowała w kółko po sypialni, czując głęboki wstyd. Co się z nią teraz stanie? Wyobraziła sobie, jak wraca do pustego apartamentu. Czy zdoła zatrzymać mieszkanie? A może będzie musiała się przeprowadzić? Czy potrafi wychowywać Jonathana samotnie? Na pewno wolałby zostać z ojcem, a ich znajomi to głównie przyjaciele George'a. Wyobraziła sobie, jak omija wszystkich z daleka w supermarkecie... i wszyscy omijają ją z daleka. O mało nie runęła na podłogę.

„Ciagle jest szansa, że popełnił zbrodnię” – pomyślała. Ukrył w notesie wycinek z gazety, Jonathan może to potwierdzić. Podpisał książki znajdujące się w pokoju Sylvii, co potwierdzi Amy Bryant. Zwłoki znaleziono w pobliżu domku letniskowego Edgara. Zbyt wiele zbiegów okoliczności, by nie przeprowadzić śledztwa. Powinna przekazać te informacje policji. Zniszczy go, nawet jeśli nie zostanie skazany.

– Wiem, że zabiłeś tę dziewczynę! – warknęła, machając mu palcem przed nosem.

Uniósł ze zdziwieniem brwi.

– O czym ty, do licha, mówisz?! – spytał. Jego cichy głos lekko drżał. – Przerażasz mnie.

– Zabiłeś tę biedną, bezbronną...

– Posłuchaj. Wiem, że cię zraniłem, ale chcę ci pomóc. Ze względu na ciebie, na Jonathana...

Uniósł rękę, by jej dotknąć. Cofnęła się.

– Nie zabijesz mnie! – rzuciła, wysuwając podbródek i obnażając dolne zęby. Odepchnęła go i podbiegła do łóżka. Zastanawiała się, czy nie skoczyć z okna. George położył jej dłoń na ramieniu. Wrzasnęła. Usiłował ją przekonywać. Znowu go odepchnęła. Szukała sposobu wydostania się z matni – jakiegokolwiek sposobu – i szarpała zasłony. Przyszło jej do głowy, że mogłaby się na nich powiesić.

– To nie musi być koniec świata, traktujmy to jako nowy początek – rzekł. Z gardła pani March wyrwał się przeciągły, żałobny jęk. – Nie byliśmy szczęśliwi. Zaslужujemy na szczęście. Możemy je osiągnąć. Po prostu z kimś innym.

Odpychała go, drapała po twarzy, strąciła mu okulary. Kiedy się pochylił, by je podnieść, znowu go odepchnęła. Upadł na podłogę. Uderzała dłońmi w ściany, wyjąc i zawodząc. Kiedy wstał i ruszył w jej stronę z wyciągniętymi ramionami i zakrwawionymi policzkami, zaczęło jej dzwonić w uszach. George coś mówił, ale nic do niej nie docierało: słyszała tylko swój chrapliwy oddech, głośny, wszechobecny.

Popatrzyła w róg sypialni i zobaczyła samą siebie. Stała tam inna pani March, w futrze, rajstopach i półbutach, z opuszczonymi ramionami. Obok niej stała naga pani March z wanny, z obwisłymi

piersiami; na dywan kapała woda. Potem zobaczyła panią March w koszuli nocnej, w weneckiej masce z ptasim dziobem. W otworach otoczonych piórkami widać było mrugające oczy. A także zalaną krwią panią March, którą widziała przez okno w przeciwnym budynku, z lekko rozchylonymi ustami i brwiami pokrytymi zakrzepłą krwią. Stał przed nią rząd pań March. Przypominały grecki chór. W milczeniu wskazały George'a. Pani March spojrzała na męża. Przemawiał, gestykulował, wbijał wzrok w podłogę, poprawiał okulary.

Popatrzyła na panie March. Jednocześnie uniosły prawe ręce do twarzy i zasłoniły oczy. Uśmiechnęła się. Zabawa sprawiała jej przyjemność. Poszła za ich przykładem: ona również uniosła prawą dłoń i zasłoniła oczy.

XL

Kiedy opuściła rękę, przez okno sypialni wpadały oślepiające promienie słońca. Miała migrenę, czuła tępy ból zęba po leczeniu kanałowym i dyskomfort w najdziwniejszych miejscach: szyi, górnej części ramion, palcach. Cicho zakłęła na myśl o dentyście i narkozie.

– George?! – zawołała.

Zaczęła wkładać szlafrok, po czym przypomniała sobie, że Martha dziś nie przyjdzie, nigdy nie przyjdzie. Może chodzić po apartamencie w negliżu, służąca nie będzie się jej przyglądała.

Zjadła śniadanie w jadalni – zimne płatki zbożowe i czerstwe rogaliki. Nie zawracała sobie głowy czesaniem ani myciem twarzy. Spodziewała się, że lada moment George wejdzie z kwiatami, by ją przeprosić, bo mętnie pamiętała, że poprzedniego wieczoru doszło do koszmarnej awantury.

Ciszę przerwało głośnie brzęczenie. Popatrzyła na talerz. Na rogaliku siedziała mucha. Poruszała nogami, miała naderwane skrzydełko. Czy to ta sama mucha, którą słyszała w czasie zamieci, lecz nigdy jej nie wypatrzyła? Doszła do wniosku, że to niemożliwe. Muchy domowe nie żyją tak długo.

George nie pojawił się przez cały ranek. Musiał wyjść, ale powinien wkrótce wrócić. Dziś wieczorem jest jego przyjęcie urodzinowe. Skończył pięćdziesiąt trzy lata, przeżył ojca. Nigdy nie

zrezygnuje z udziału w uroczystości z powodu niemądrych słów wypowiedzianych pod wpływem chwilowego rozgorączkowania.

Pani March poczuła lekki przyływ optymizmu, zadzwoniła do salonu fryzjerskiego i umówiła się na pierwszą po południu. Podlała fikusa w salonie, choć po chwili przypomniała sobie, że jest sztuczny. Nadgryzła małą kostkę masła, czego nigdy by nie zrobiła w obecności Marthy, bo służąca zauważyłaby ślady zębów.

Chciała zjeść wczesny lunch i wyjęła z lodówki kawałek mięsa, ale okazało się zepsute. Dokładnie umyła ręce, lecz przez długie godziny jej palce pachniały zgnilizną. Zapach wisiał w powietrzu, wsiąkał w obicia mebli.

Wyszła, czując niejasną nadzieję, że po powrocie wszystko jakoś się ułoży.

* * *

W salonie fryzjerskim panował wszechobecny gwar, słychać było paplaninę klientek i wysoki pisk suszarek do włosów.

Recepcjonistka serdecznie ją powitała (ale nie wystarczająco serdecznie, pomyślała pani March). Kiedy usiadła na fotelu, poprosiła o fantazyjne upięcie włosów i, pod wpływem dziwnego kaprysu, zrobienie pasemek.

Nigdy nie zdecydowała się na bardziej wyszukaną fryzurę. Raz poprosiła o loki, zainspirowana widokiem wychodzącej klientki, ale nie było jej z nimi do twarzy. Wyglądała, jakby włożyła tanią perukę kłowna. Udała, że jest zadowolona, po czym wyszła i pozbyła się loków w domu, polewając głowę prysznicem nad wanną. Jednak dzisiaj, siedząc na fotelu w białej pelerynce, była dobrej myśli.

Zadanie umycia jej włosów zlecono jednemu mężczyźnie zatrudnionemu w salonie. Był uprzejmy, ale nieśmiało dał do zrozumienia, że jest nowicjuszem. Pani March poczuła irytację, że oddano ją w ręce niedoświadczonego pracownika. Niezgrabnie mył jej głowę, jakby głaskał psa. Użył za dużo szamponu, a woda była zbyt chłodna, lecz pani March nie wyraziła niezadowolenia i przygryzała policzki, aż zaczęły krwawić.

Po umyciu głowy, z zimną wodą spływającą po szyi i plecach, fryzjerka zaprowadziła ją na fotel. Po drodze spostrzegła kobietę siedzącą pod suszarką hełmową i czytającą książkę George'a. Trzymała ją obiema rękami, a suszarka owiewała jej włosy ciepłym powietrzem. Pani March zauważyła długi rząd kobiet siedzących z założonymi nogami pod suszarkami. Każda trzymała w wypielegnowanych dłoniach egzemplarz powieści George'a i wpatrywała się w książkę.

– To mąż tej pani napisał tę powieść – powiedziała fryzjerka, sadzając panią March na fotelu naprzeciwko podświetlonego lustra. Kobiety pod suszarkami jednocześnie spojrzały na panią March.

– Na pewno jest pani bardzo dumna – odezwała się jedna z nich.

– Proszę nie zdradzać zakończenia! – dodała druga.

– Pani mąż ma dość mroczną wyobraźnię – zauważyła kobieta siedząca najbliżej pani March.

– Och, nie ma pani pojęcia, jak bardzo! – odparła pani March i spojrzała na siebie w lustrze.

* * *

Pasemka wyglądały dziwnie i fryzura nieco przypominała sierść skunksa, ale pani March łaskawie przyjęła komplementy fryzjerki i,

w przyływie fantazji, wzięła ze stojaka za ladą śliczną brzoskwiniową szminkę.

– Chciałaby pani zrobić sobie profesjonalny makijaż u jednej z naszych kosmetyczek? – spytała recepcjonistka.

Pani March zerknęła na zegar wiszący na ścianie. Czemu nie? Pomyślała, że warto specjalnie się postarać z okazji przyjęcia.

– Tak, chyba się zdecyduję – odparła i znowu zaprowadzono ją do fotela stojącego naprzeciwko lustra.

* * *

Dzięki temu po kilku godzinach siedziała w jadalni z pastelową, kremową twarzą przypominającą ciastko. Rozciągał się przed nią długi stół, a stary zegar stojący odmierzał sekundy.

Po wejściu do pustego apartamentu była nieco zaskoczona, że jej problemy nie zniknęły. Nie mogła uwierzyć, że musi wydać przyjęcie zupełnie sama. Półki pokrywał kurz, łóżko nie było pościelone. Salon powinien wyglądać nieskazitelnie. Potrawy i wino pierwszej jakości. Zamówiła przekąski w restauracji Tartt's i zostały szybko dostarczone przez dość kosztowną firmę kurierską (podyktowała przez telefon numer karty kredytowej George'a). Kelnerzy mieli przybyć punktualnie o piątej trzydzieści. Kupiła najnowsze numery ulubionych czasopism – a właściwie takich, które goście powinni uważać za jej ulubione czasopisma – i położyła je na stojaku obok kominka. Przetoczyła telewizor z salonu do sypialni. Włączyła go, by dotrzymywał jej towarzystwa w trakcie sprzątania. Fotografia Pauli znowu została relegowana na najwyższą półkę, gdzie leżała twarzą w dół.

Zegar stojący wybił piątą. Wkrótce przyjadą kelnerzy. Spojrzała na przerwanego pasjansa na cedrowym stole w jadalni. Na królowej pik siedziała mucha. Zastanawiała się, czy jej nie zabić, ale pozwoliła jej przejść na kciuk z paznokciem świeżo polakierowanym przez manikiurzystkę. Mucha odleciała. Pani March wstała i próbowała się skontaktować z George'em. Zadzwoiła do jego matki – rzekomo po to, by zapytać o Jonathana – później do fryzjera męskiego, gdzie często strzygł brodę, a nawet do Edgara – postanowiła się upewnić, czy przyjdzie na przyjęcie. Zatelefonowała również do klubu dla dżentelmenów, który czasem odwiedzał: przepisała numer z wizytówki znalezionej w biurku George'a.

Odpowiedział bezbarwny męski głos.

– Halo, nazywam się March. Chciałabym sprawdzić, czy mój mąż jest w klubie. George March. Wspominał, że może wpaść do państwa po południu.

– Naturalnie, madame, sprawdzę, czy jest u nas – odparł mężczyzna. Ton jego głosu sugerował śmiertelne znudzenie. Pani March podejrzewała, że jest przyzwyczajony do telefonów zazdrosnych żon, które pytają o mężów. Mógł nawet mieć przeciwzoną standardową odpowiedź w imieniu członków klubu. Wyobraziła sobie George'a pijącego whisky z zaczerwienioną, spoconą twarzą i szklistymi oczami, jak zawsze, gdy był podchmielony. Znudzony mężczyzna mówił: „Telefonuje pańska żona, sir. Co powinienem powiedzieć?”. George milczał przez chwilę, zastanawiając się, jak zareagować, a później doszedł do wniosku, że zagra żonie na nosie. „Proszę powiedzieć, że przed chwilą wyszedłem. A jeszcze lepiej, że w ogóle mnie nie było”.

– W ogóle go nie było, madame.

Zapadła chwila ciszy. Pani March zastanawiała się nad uzyskaną informacją.

– Ach, w porządku, dziękuję – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Zacisnęła ręce i z powodów, których nie potrafiła do końca wyjaśnić, poszła w stronę sypialni, z której dobiegały dźwięki telewizora.

Pokój brzydko pachniał, kojarzył się z nieświeżym oddechem. Otworzyła okna, by trochę przewietrzyć, jak zrobiłaby Martha. Później zatrzymała się i spojrzała na masę skłębionej pościeli. Nigdy nie lubiła widoku nieposłanego łóżka, ale teraz szczególnie ją niepokoiło. Przez cały dzień unikała skotłowanego łóżka, nawet na nie nie patrzyła, lecz stale pojawiało się w jej myślach jak natrętna mucha. Dotknęła drżącą dłonią kołdry i pociągnęła. Wydawała się przylepiona do materaca. Szarpnęła mocniej i kołdra poleciała na bok.

Ciało, martwe od niespełna dwudziestu czterech godzin, miało już delikatny zielonkawy odcień, skóra wydawała się luźna, przypominała niedopasowaną osłonę na deskę do prasowania.

Dźgnęła go nożem. Teraz sobie przypominała. Dźgnęła go nożem rzeźnickim. Na początku delikatnie, prawie czule, później mocniej, szybciej, wiele razy. Drewniana rękojeść otarła jej dłoń, miała na niej bąble, wspomniała o tym manikiurzystka w salonie.

Z gardła pani March wyrwał się piskliwy krzyk, zasłoniła usta rękami.

George leżał bez ruchu z wytrzeszczonymi oczami i zapadniętymi policzkami. Jego głowa przypominała łeb prosiaka podanego niegdyś w madryckiej restauracji specjalizującej się we flakach i podrobach. Pani March pamiętała smak i kolor duszonego żołądka, języka

i uszu, chrząstki trzeszczące między zębami. Łeb prosiaka upieczony we własnym tłuszczu miał takie samo puste spojrzenie i sterczące zęby jak w tej chwili George. Skóra ugiwała się pod naciskiem widelca, mięso było zdumiewająco miękkie, prawie spływało z czaszki.

Wybiegła do holu i zwymiotowała, pozostawiając na podłodze ślady rzygowin. Kobiety na obrazie na ścianie toalety dla gości tym razem miały zgniłe, obwisłe piersi. Wykrzywiały usta, z oczu spływała im krew. Słyszała ich krzyki.

Zwymiotowała po raz ostatni, wypluwając ciemną, gęstą żółć przypominającą smołę. Poczuła, że wypada z niej coś podobnego do luźnego kamienia. Chwyciła skraj muszli klozetowej, dysząc ciężko. Obrączka ślubna uderzyła z brzękiem w porcelanę.

Usłyszała za ścianą kroki sąsiadów i przycisnęła rękę do ust, by uciszyć chrapliwy oddech. Dwukrotnie spuściła wodę i wyszła do holu.

Rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Otworzyła je i ze zdziwieniem ujrzała grupę kelnerów w białych marynarkach. Przeofilowali obok niej, nie zwracając na nią uwagi, i pomaszerowali do kuchni, gdzie zaczęli rozpakowywać przygotowane potrawy.

Popatrzyła na stary zegar stojący. Miała wrażenie, że głośnie tykanie oskarża ją o zbrodnię. Uśmiechnięta, rumiana twarz w kształcie księżycy mrugnęła do niej.

– Czego chcesz? – spytała. W tej samej chwili w telewizorze w sypialni rozległ się perlisty śmiech. Podążyła z lękiem w stronę dźwięku. Nadawano cykliczny program muzyczny prowadzony przez Lawrence'a Welka. Uśmiechnięty chór ubrany w kanarkowożółte

stroje – kobiety w sukienki z tafty, mężczyźni w poliestrowe garnitury – kołysał się z boku na bok i śpiewał: „Gorzkie jest nasze rozstanie... lecz w mym sercu na zawsze twój obraz zostanie...”.

Firanki z gazy poruszały się eterycznie w podmuchach wiatru wpadającego przez okno sypialni. Pani March usiadła w nogach łóżka. Spuchnięty, zielonkawy George leżał za jej plecami, przykryty perłową kołdrą.

Popatrzyła na zegarek. Lada chwila przyjdą goście. „W porządku, w porządku” – pomyślała. „Poradzę sobie”. Jak Jackie Kennedy, pełna wdzięku i dystyngowana, pogrążona w żałobie, z plamkami krwi męża na koszuli, patrząca na Johnsona składającego przysięgę prezydencką na pokładzie Air Force One.

Zastygła, przygarbiona, w karykaturalnej pozycji baletowej – złożone pięty i kolana, stopy skierowane na zewnątrz, opuszczone ręce – i czekała, aż zapukają pierwsi goście. Chór śpiewający w telewizji uspokajał, rozległy się figlarne dźwięki fletu, życzyły dobrej nocy, zęgały się.

Kiedy zapadła cisza, rozległo się pukanie do drzwi frontowych. Za chwilę zaczniesz się przyjąć.

„Co ty zrobiłaś?” – pomyślała. „Co ty zrobiłaś, Agatho March?”

Podziękowania

Dedykuję swoją debiutancką książkę ojcu, który jako pierwszy opowiadał mi bajki, i matce, mojej pierwszej czytelniczce.

Dziękuję, że wspieracie mnie od dnia narodzin, we wszystkich znaczeniach tego słowa. Proszę, przestańcie płacić za mnie rachunki telefoniczne.

Dziękuję swoim cudownym, obsesyjnym braciom. Dziękuję Dani za to, że słuchała mojego rozedrganego głosu w czasie wielu długich rozmów telefonicznych. Dziękuję Oscarowi, który nauczył mnie podążać za marzeniami (choć przy okazji trochę zrzędził).

Dziękuję Kentowi D. Wolfowi za ogromne zaangażowanie na rzecz książki (i autorki). Jego wsparcie było tak niezachwiane, że wręcz alarmujące. *Pani March* leżałaby w szufladzie, gdyby nie błyskotliwy, zabawny, niewiarygodny Kent, człowiek o niezliczonych talentach.

Dziękuję swoim cudownym redaktorkom, Ginie Iaquinzie, łagodnie starającej się wydobyć ze mnie to, co najlepsze, oraz Helen Garnons-Williams, zawsze skupionej na mrocznym świecie podświadomości. Nasze trójstronne dyskusje na marginesach to jedna z najzabawniejszych części pracy nad książką.

Dziękuję łobuzerskiemu zespołowi wydawnictwa Liveright, który od pierwszego dnia walczył w moim imieniu – natychmiast poczułam się wśród Was dobrze. Dziękuję Marii Fasce z wydawnictwa Lumen za pasję, dobroć i entuzjazm. Dziękuję Teresie, śmiejącej się z moich żartów, co mnie wzrusza. Dziękuję

Lizzie i Lindsey, wielkim orędowniczkom *Pani March*, które pozwoliły mi spojrzeć na tę historię z innego punktu widzenia. Dziękuję panu McNally'emu, mojemu czytelnikowi i krytykowi od chwili, gdy skończyłam piętnaście lat, za to, że ocenił pierwszą wersję książki. Dziękuję Charlesowi Cummingowi, zawsze gotowemu do pomocy (choćbym wcześniej sama sobie poradziła).

Dziękuję Moni za przysłanie kwiatów i Pacheco za otwarcie szampana.

Por encima de todo gracias, Lucas. Todo es por y para ti.